Nagroda
Redakcji Kurjera Warszawskiego
przyznana
Pani Jadwidze Kwiękowej
(z Cukrowni Dobrzelin)
Za dobre rozwiązanie wszystkich zadań, działu „Rozrywki umysłowe", umieszczonych w „Kurjerze" w ciągu m. Kwietnia r. b.

ZAWZIĘTY LASOWIAK

Redaktor
[illegible signature]

Kierownik działu zadań
H. Pianowski

Warszawa
22/5 - 1930

TEGOŻ AUTORA:

„SZKICE I NASTROJE“. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. 1904. (Wyczerpane).

„Z CHŁOPSKIEJ NIWY“. Serja I. Z przedmową Kazimierza Tetmajera. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. (Wyczerpane).

„WALKOWE KOCHANIE“. Z serji II. „Z chłopskiej niwy“. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1917. (Wyczerpane).

„LEGENDY“. Z serji II. „Z chłopskiej niwy“. **„Zdrada“.** Kraków. Gebethner i Wolff. 1924.

EDMUND ZECHENTER

ZAWZIĘTY LASOWIAK

(„Z CHŁOPSKIEJ NIWY“)

KRAKÓW 1930

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO „POLSKI ZNICZ“

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA, KRAKÓW, ZIELONA 7

Ha! myślicie, że kto k o c h a
I u m i e r a , ten już g i n i e ?
Krasiński.

Świetlanej pamięci
przedwcześnie zgasłej

Żony mojej Zofji,

która była jedynem Szczęściem zachodu życia mojego, Natchnieniem mojem
i Współautorką tych utworów

w Miłości, Hołdzie i Czci

poświęcam.

Dochód z rozsprzedaży książki, wzgl. honorarjum autorskie, przeznaczone na rozszerzenie Żłóbka miejskiego dla dzieci w Krakowie, jako cegiełka ku czci Zofji Zechenterowej.

ZAWZIĘTY LASOWIAK

I.

Gdy Franek Zybura oddalił się od stacji kolejowej, gdzie wysiadł z pociągu, o jakie pół mili i ostatnie domy przy dojazdowym gościńcu zostawił za sobą, zdało się, rety, skrzydła wyrosły mu u ramion i niesą go, niesą coraz hyżej do dom, do swoich, do Zalesia...

Cosi kiejby go duchem przyzywało, nie dając ani na moment przystanąć.

— Pospieszaj! pospieszaj! — wołały w nim jakieś głosy radosne — toli już wracasz po trzech rokach wojaczki, toli już lasy naprzeciw ciebie wyległy, twoje lasy cię witają...

Jakoż zdala na równinie gładkiej, jak stół, roztoczyła się przeogromna ściana boru, oświecona na ukos od zachodu — bo już odwieczerz był — słonkiem lipcowem.

— Hej, lasy nasze, lasy!...

A Franek im bliżej lasu był, tem pełniej młodą piersią oddychał, kiejby z jakiejś wielgachnej, ciemnej gruby wyzwolony; tem większą radością

jarzyły się jego czarne ślepia. Rozdął chrapy jak koń ułański i pił chciwie zapach sośniny, wchłaniał w siebie las umiłowany...

Krótko rzucał żniwiarkom na polach przydrożnych „Szczęść Boże!", krótko odpowiadał, że wraca już z wojny, do dom, do Zalesia; nie zatrzymywał się ani na moment kóli pogwarki.

Na skraju boru po obu stronach drogi stały sędziwe sosny z krzywemi, pokręconemi pniami, teraz lśniącemi czerwono od blasków zachodu. Znajome od tyla roków, od dziecka przy tej dródze leśnej... Wracał tędy nieraz z tatusiem z jarmarku... Na jednej wisiał zczerniały, ten sam co ongi, obrazek Matki Bożej.

Zdjął swą wojskową wypłowiałą czapkę rogatą, przystanął na chwilę.

— Matko Najświętsza — westchnął — coś mnie łońskiego roku przy onym strasznym śturmie pod Warsiawą ochroniła... daj, coby mi się Zośka nie odmieniła... Niechże będzie, jako była przódzi... ta jedyna we świecie...

Ale mu spieszno było, okrutnie spieszno. Przeżegnał się i w czapce na bakier, z małym węzełkiem w ręce, puścił się ścieżką za przykopą, bo środkiem juści dróga piaszczysta — nie porada było raźno po gębokim piachu iść...

Owiał go luby, rzeźwiący chłód w cieniu leśnym. Słońce gdzieś tam za lasami zachodziło, ino wierzchołki sosen i świerków pałały kiej ży-

wym ogniem w ostatnich czerwonych blaskach. Ptactwo tłukło się po gałęziach; cichły ćwierkania i poświsty.

Blisko dwie mile miał jeszcze Franek przed sobą, drógą bez puszczę. Ale co mu tam była tyla dróga! Dziękować Bogu, cały z wojny wyszedł, ino mu kulka bolszewicka kawałek palca u ręki oderwała. To mu w robocie nie zawadzi. Zdrów był, młody, silny, krew, życie, ochota w nim grała! I do wsi wraca, do wsi rodzonej!... Hej!...

...Ino Zośka... Czy się aby nie odmieniła?... czy nie zabaczyła o nim?... czy ktosi się kole niej nie kręci?... Gdy szedł do wojska, miała dopiero siedmnaście roków... A bez te trzy roki kiela to mogło się stać?!... Nie pisała od godnich świąt... nikto mu o niej żadnej wiady nie dał...

I jak to jasne słonko, co go zakryje wielgachna chmura, tak jego dusza, rozradowana powrotem do Zalesia, zaćmiła się nagłą zgryzotą o Zośkę. Jęła go trapić przesądna obawa, czy go teraz jakasi okrutna kara za to nie spotka, że... na wojnie... jak na wojnie... różnie bywało... Na noclegach... kwaterach... po wsiach, hen, daleko, na wschodzie... Ha, i latoś jeszcze z wiesną... Trefiła się kajniebądź żołnierka, co o jej chłopie słych zaginął... Baba młoda, pokuśna... jedna, druga, dziesiąta... A tu wojna, człek w marszu... dzisia haw na kwaterze... jutro kajindziej... Nie dawały mu spokoju... juści udawał się każdej... Eh,

bo to prawda... i on, jucha, sam zaczynał... Rety, zabaczył o Zośce, tyla razy zabaczył!... Ale dzisia widzi, że tamto, to co inksze... Niebo a ziemia... Którejże by to było do niej?... i przeznawał teraz, kiej do dom wracał, dokumentnie, co przez tej dzieuchy, nijakby mu było już wyżyć... Zośka, Zośka najmilejsza!... Ciche to a dobre — prawy janioł!... a urodna, rety, z tą bialuśką gębusią, z temi niebieskiemi, niewinnemi kiej u dziecka ślepiami... Skoro się przy niej na ojca źlił bez to, co stary skróś jej chudobności już przede trzema rokami, o niczem słychać nie chciał, to go tak smyślnie a słodziuśko łagodziła, kiejby miód wlewała do serca... Ukrzepiony od niej wracał, niby po modlitwie w kościele...

Ale tera z ojcem inksza będzie sprawa... Coby ino Zośka nie zabaczyła o tem, co było przódzi... coby była ta sama!... Ociec juże mu się nie mogą przeciwić... Dzisia on nie ten, co przed trzema rokami... Z wojny wraca, krzyż za waleczność dostał... w tylu bitwach był... w szturmach pruł bagnetem bolszewickie brzuchy... I honory na niego szły!... Abo to z samym Naczelnikiem w okopach nie gadał?... Abo to generał przed frontem krzyża mu nie przypinał?! Jak to w chałupie opowie. i tyla, tyla jeszcze...

Teraz co inksze...

Idąc coraz prędzej, bo gnały go tęsknota i niecierpliwość, jak ją zastanie — czuł, że zdwaja się

w nim nieustępliwa moc... Zacisnął pięście, żyły mu na szyi i czole krwią nabiegły, jakby lada moment miał wściekły runąć na wroga...

— Żeby nie ino ociec, ale sam djabeł się przeciwił — weźmie Zośkę za ślubną, weźmie — rety! — bo gorze temu, ktoby mu w drógę wlazł... A kiejby jaki parobek wsiowy kole niej się kręcił — nie zdzierży, ino tym ostrym nożem, co se go z wojny niesie... w te razy... niechsta się krew leje... nie zdzierży...

Tak się w tej srogiej zawziętości zapamiętał, że ani spostrzegł, jak las się rozstąpił, a on przeszedł wzdłuż rzędu białych chat, słomą krytych, i znów utonął w ciemnej puszczy.

Za jakiś czas znowu wynurzył się z boru. Przystanął — patrzy — ostatnia wieś przed Zalesiem — Jaglińce. W okienkach chałup się świeci, z nad mokradeł głosi się kumkanie i rechot żabi. Wietrzyk chłodzi mu rozgrzane daleką drogą lica. Idą za nim poszumy leśne, głębokie poważne... cosi se sosny, kiejby stare kumy, gwarzą tajemnie. Jasne, gwiaździste niebo na wysokościach. Noc.

Zapadł raz jeszcze w niewielki już kawał boru. Znów środkiem wiedła droga znojna, piaszczysta. Ciemność aże za oczy łapała. Brnął w głębokim piachu, ale brnął raźnie, choć zgrzany był setnie. Z każdego włoska spływał mu pot

gorący. Oczy wbijały się w ciemność, wypatrując, rychło-li bór się skończy i w te razy na granicach zabieli się niska, w ziem zapadnięta chałupa gdowy Zającowej.

Pewnikiem nie śpią jeszcze... Późno ode żniwa wróciły... Poźry w okienko — wypatrzy ślepia bez szybkę... Jakaże ona po trzech rokach?! jaka?...

Nareszcie wydarł się z czarniawy drzew. Odetchnął szeroko.

— Jezu, to juże haw!

Poświata gwiazd rozlewała się po równinie dalekiej; Zalesie majaczyło w białych oparach. Przed nim ścieżka wiadoma... Biała, chudobna chałupa... jakby czekała na niego... jasno w okienku...

Wichrem do niej doleciał. Skradał się cicho aże pod samo okienko, coby zaś kroków nie usłyszały. Pod bluzką żołnierską, na której wisiał krzyż waleczności, serce waliło jak cepem.

Gdy Zośkę ujrzał, mało nie zatoczył się jak pijany.

Dziewczyna z rozpuszczonemi jak złoto warkoczami, w koszuli zgrzebnej i kiecce — ta sama, ale już inksza, niż przódzi, bo teraz niby ten kwiat do krzty rozwinięty — klęczała przed łóżkiem i obrazami i mówiła pacierz wieczorny. Ręce pobożnie złożone — oczy niebieskie — te dobre oczy wzniesione na Matkę Bożą.

Radość jak płomień przeszła przez lica i czarne ślepia chłopaka.

Nie wiedział kiedy zaburzył w okienko, kiedy zawołał: „Matko, Zośka, puszczajcie duchem, to ja, Franek, z wojny"; kiedy wpadł do izby, jak burza i nie powitawszy matki, porwał Zośkę jak była, w tej zgrzebnej koszulinie i starej kiecce, zacałował twarz całą, podniósł w górę, obrócił wokół siebie, a cięgiem — szepcąc tylko: „Zośka! Zośka!" — patrzał, patrzał przez opamiętania w te śliczności jagody, teraz w żniwny czas bardziej opalone, w te słodkie ślepia, kiej z nieba rodem, aże dopatrzył dokumentnie, przeznał, pojął w głowie, odczuł w każdej kropli krwi, że ta najmilejsza nawidzi go jak przódzi, że uradowana nim tak samo, jak i on nią, bo oto tchu złapać nie może, a serce pod zgrzebną koszulą i twardą piersią dziewczęcą łomoce z okrutnej radości, mało do niego nie wyskoczy...

Wówczas puścił Zośkę i zdyszany, z płonącemi licami, dosłyszał i wyrozumiał, że stara Zającowa krzyczy i odkazuje się okropnie, co nie wolno mu z dziewuchą tak se obces poczynać. Potarł ręką czoło, cisnął czapkę żołnierską na ławę, spojrzał przytomnie dookoła i dopiero pozdrowił obie kobiety:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

II.

Już dobrze było po północy, gdy zbliżał się do ojcowej chałupy. Noc cicha, gwiaździsta, stała nade wsią, żaby kumkały w sadzawkach, tu i ówdzie naszczekiwały psy, kajniebądź kogut spóźniony, co se zadrzymał o północku, piał hałaśliwie raz po raz, aże się rozlegało.

Franek był okrutnie rad ze swojej Zośki — rety, Jezu — jakże był rad, jacy zgryzota go żarła, co będzie z ojcem. Nasłuchał bo się dopiero co od Zającowej, że ociec za nic nie dozwolą, coby Zośkę za ślubną babę brał. Bo gdzie tam chudobnej gdowie, co na dwóch morgach piasku siedzi, i z dzieuchą ino wyrobkami chodzi, do takich Zyburów, pierwszych we wsi gospodarzy! Stary Frankowi ani tego grontu, co mu się po niebożyczce matce patrzy, nie popuści — a kajby mu zaś później, że to najstarszy był, całe gospodarstwo zdał!

...Juści, — medytuje Franek, rozważając labiedzenie Zającowej — ciężki będzie termin z ojcem... Stary był uparty i zawzięty, ale i Franek kwardą zawziętość i upór okrutny w duszy nosił, i ani w pomyśleniu tego nie miał, coby skoro o Zośkę już na ostre pójdzie, stary mu zdzierżył. Nie wiedział jeszcze, jako to będzie, ale kiej mu to bez głowę przechodziło, w ten moment pięści zaciskał, a taka burza okrutna wstawała

mu w piersi, że zdało się, na cały świat runie, wszyćko, co mu w dródze stanie, poobala, stratuje — a od Zośki nie odstąpi, za nic nie odstąpi! Choćby całe piekło wyległo przeciw niemu, nie da się zmóc i choćby jasne pierony biły, to, psia krew, na swojem postawi i Zośkę weźmie!

Zbudziło go z tych rozmyślań gwałtowne ujadanie psa, który go dopadł tuż, tuż i omal za nogę nie złapał. Poźry Franek na kundla — adyć to Wierny, ich stary pies.

— Wierny, cóże to? nie przebaczasz se mnie? ozwał się do psa — Wiernuś, jak się masz...

Na moment pies zamilkł, jął go obwąchiwać, pogonił parę kroków w tył, węsząc jego ślady — i naraz, jak mu się z okrutną uciechą nie rzuci przedniemi łapami na piersi, coby go juści po gębie liznąć — tak aże cofnął chłopaka o krok, bo psisko było wielkie i mocne. A jak przytem nie weźmie szczekać i skuczeć, a wyskakiwać na niego — zdało się, do krzty pies zwarjował.

Nadarmo go Franek ciszył jak mógł, Wierny szczekał jak oszalały i byłby wnetki wszystkich w chałupie pobudził, ba, pół wsi zerwał na nogi. Musiał wreszcie kucnąć na drodze, psa przygarnąć, kufę mu zatkać dłonią. Ale Wierny się wyrywał, lizał go przez miary po rękach i gębie, obracał się kiej w tańcu, a kitą walił po głowie, aże mu czapkę na ziem strącił.

Wreszcie uspokoił się i zamilkł, że Franek, nie budząc nikogo, bo pośpieni byli mocno, wlazł w obejście i podszedł legnąć na szopę, której wrota były uchylone. A Wierny rzetelnie mu towarzyszył, ciągiem liżąc po rękach i waląc kitą po kolanach.

W szopie się zezuł, legł na sianie i, że to setnie był uznojony, z lubością wyprostowywał kości — ale pies go nie odstąpił, lizał dalej po rękach i twarzy gorącym jęzorem, a kręcił się wele niego, to znów kładł się przy nim, opierał mu łeb na piersi, a gdy się nie odzywał, drapał łapą, coby go przecie głasnął a dobre słowo rzeknął. Brała już Franka na to niecierpliwość, boby już był usnął, ale za tyla psiego umiłowania, nie miał sumienia zdzielić Wiernego bez łeb i ze szopy wyżenąć.

Dopiero przed samem świtaniem pies odszedł od niego, przywarował w uchylonych wrotach, postawił uszy, a Franek nagle zapadł w twardy, kamienny sen.

Cosi mu się jęło pleść — niby o bitwach, atakach, pościgach z bagnetem za Moskalem, ale kiejby na dródze w Zalesiu — a wśród tego raz wraz jawiła się Zośka w tej zgrzebnej koszulinie i starej kiecce...

Naraz wyrosła przed nim cała kampanja nieprzyjacielska, a między żołnierzami znowu Zośka, ale spłakana, z roztarganym warkoczem, bo

ją kajsi porywają, wleką... Jak się Franek nie rzuci, coby ją odbić, jak nie weźmie wichrem gnać — rety, co za mąt, co za pieroński śturm! Już dopadł tego, co ją wlókł, już uchycił karabin za lufę, coby kolbą łeb mu roztrzaskać — a tu ten Moskal staje — obziera się nagle — Franek patrzy mu w ślepia — Jezu! adyć to nie Moskal — to ociec!...

Spuścił na ziem karabin, a nogi mu się trzęsą, mało nie padnie... Serce kuje w piersi, kiej młot kowalski.

— Ociec?! — chce to wyrozumieć — gdy w te razy, jak cosi huknie kole niego ni to pieron ni harmatni strzał...

Siadł raptem na sianie — przeciera oczy — dzień! On doma, na szopie pierwszą noc przespał... We wrotach stoi kulawy Jacek, ich parobek. On to z taką breweryją strzelił wrotami — bez to przyśnił mu się harmatni strzał. A Wierny widząc, że Franek się obudził, dalejże naszczekiwać, i doskakiwać to do Franka, to do parobka, jakby mu chciał pokazać, kto to do chałupy wrócił...

— Gospodarzu! adyć syn wasz doma — huknął Jacek na całe obejście. — Nocą juści przyszedł, na szopie spał... Chodźcie haw duchem!...

Stary Zybura nie wyszedł, bo jeszcze dolegiwał, a że była niedziela, w pole się nie szło, chciał

se lepiej wypocząć. Na progu stanęła macocha, pięćdziesięcioletnia, dobrze obstarnia baba i ta pierwsza Franka zwitała.

— Jakoże się masz, Franuś? dobrześ zdrów, cały? No, dziękować Panu Jezusowi! A choć-że duchem do ojca, uradują się okrutnie, bo akurat żniwa, roboty huk, przydasz się strasznie...

— A wy, matuś, widzę, zdrowiście... A pan ociec? a Wojtek? a Tekla, a Haźbieta?...

— Wszyscy z wolą boską zdrowi... Chodź-że na izbę...

Stary zepchnął w nogi pierzynę, oparł się na łokciu i tak leżąc na szerokiem łóżku pod rzędem obrazów, czekał na Franka.

Ten wchodząc, pochwalił Pana Boga, podszedł do łóżka, rękę ojcu ucałował, a stary przygarnął go do siebie i parę razy pocałował w czoło.

Rozjaśniły mu się bure oczy pod krzaczastemi, siwiejącemi brwiami.

— No, skoro Franek mi wrócił, będzie dziś u nas święto! Stara, coby mi była na odwieczerz w chałupie gorzałka i piwo jak się patrzy, bom straśnie rad... Franek, rety!... a dawajże gęby... Siednij se wele mnie haw, na łóżku i rozpowiadaj... Małoś pisał — jużci ciężko było... ale tera się ugwarzywa za wszyćkie czasy... Całyś to? ręce, nogi zdrowe?

— A zdrowe, panie ojcze, ino ten palec ociupinę ustrzelony...

Stary bacznie palec obejrzał.

— Ale w robocie nie będzie gawędził?...

— Juści! Cóże to kawałek palica...

— Dziękować Panu Jezusowi! A stara, pamiętaj, zakrzątaj się, a żywo, bym ci zaś nie dołożył, skoro by nie było po mojej woli... Po sumie zaprosiwa kumotra Kulę, twego chrzestnego ojca — on tera wójtem, wiesz? — Teklę z chłopem, Haźbietę z chłopem, Korca Maćka, bo juści gospodarz...

— A możeby już zadość było tych gości — przerwała Zyburowa od komina, bo warzyła już śniadanie — dyć tera we żniwa cięgiem i wódka i ser, masło la robotników potrzebne — jakoże nastarczyć...

— Cicho! — ofuknął ją Zybura — będzie, jako przykazuję!... Ty mi się nie wrażaj do tego, skoro mój chłopak cały wrócił! A kiejby go kulka dosięgła — cóżeby było?! Wielka łaska Pana Jezusowa!

— A Wojtek, śpi jeszcze? — ozwał się Franek, odwracając się ku uśpionemu na małem wyrczu dwunastoletniemu bratu.

— A śpi, ciamajda... ciężko go zawdy dobudzić... Wytnij go, stara, bez łeb, adyć brat przyjechał...

— Dajcie pokój — wstawił się Franek — niech se dośpi. A dy to dziecko...

— Niech ta będzie na twojem, skoro tak chcesz... Dzisia, kiejś wrócił, twoja wola w chałupie — uśmiechnął się stary.

— A cóże u was słychać? w gospodarstwie... we wsi...

— Różnie, jak to u nas... Choć ta gronta suche, poślednie, ale dziękować Panu Jezusowi, deszcza było dość, urodzaj niezły... Pod zimę dokupiłem krowę, mawa ich pięć z przychowkiem i parę koni — te same co jeszcze za ciebie były, zanimeś do wojska poszedł... W gospodarstwie nic się nie potyrało...

— A we wsi — pokiwał stary głową — Staszek od Warchała od Błażka, Józek Mateja z Brzegów i Jantek Morawiec, ten na Skibach nie wrócili z wojny, jako wiesz... Kajsi daleko ziemię gryzą... Walek Cholewa wrócił, ale przez nogi, a Kazek Mościk ode młyna także kaleka... rękę mu urwało... A tyś cały — wielka łaska Boska... Pomarło cosi ta bab, chłopów... stary Biedroń, co se juże dziewięćdziesiąt liczył... pochowany dwie niedziele temu, a wiesz i Orszulak, organista latoś na Gromniczną pomar. Nawidziłem go, bo choć rad do kieliszka zaglądał, ale chłop był śpasobliwy i beśte-franty lubił. Ino bez tę głuchość, bo do krzty juże na ostatek ogłuchł — nijak se jegomość ś-nim nie wydolili poradzić. Co się

w kościele nie wyrabiało, kiej wzion grać a śpiewać — niech Pan Bóg uchowa! Jegomość na nieszporach intonują psalm — cały kościół za nim śpiewa, a Orszulak nic... Juści nie słyszy... Jak potem naraz nie zagra, jak nie huknie na cały głos inszą pieśń — tak w kościele rozruch, ludzie się na chór obzierają, chłopaki w śmiech... Jegomość woła od ołtarza: A cicho tam na chórze! — a Orszulak gra se dalej swoje, pokiel go od organów nie oderwą. A jakie to smyślne przygrywki i krakowiaki kiejniebądź se na sumie, abo na nieszporach wygrywał! Wesoło bywało w kościele — juści — ale zgorszenie i obraza boska... I lepiej, co mu się zmarło, bo coby głuchy, stary, samiuteńki na tym świecie robił...

— No, a tera Franek, gadaj o sobie... jako-że ci się na tej wojnie wiedło?...

Więc Franek jął opowiadać o bitwach, dalekich marszach, o tem jak się bił pod Warszawą, jak krzyż waleczności jeden w całej kompanji dostał, jak krwawił swój bagnet w straszliwych atakach pierś o pierś, ilu to wrogów w walkach uśmiercił... Prostował się przytem chełpliwie, wąsika podkręcał, wstawał, chodził po izbie, a płomienie nieustępliwej zawziętości pełzały mu po licach, czarne ślepia jarzyły się jak u wilka, białe kły błyskały z za czerwonych, młodych warg... Zapamiętał się w swem opowiadaniu, zda

się na nowo przeżywał one boje okrutne, poczuł zapach krwi, którą sam przelał...

A stary słuchał, wodził za nim oczyma, nie przerywając. I patrzał bystro w twarz najstarszego syna, przyszłego dziedzica jego dobra. Im dłużej zaś patrzał, tem bardziej poważniał, lica zdały się szarzeć i twardnieć, na czole rysowała się głęboka zmarszczka...

W tem Zyburowa zawołała, że śniadanie gotowe.

Franek, idąc ku uśpionemu Wojtkowi, by go obudzić, kończył:

— Bo tak, panie ojcze. Bez całą moją wojaczkę nikiejem nie ustąpił!... Inksi się cofali — ja nie!... Taka zawdy moc mię rozpierała, takem dufny był... Krew ludzka, trupy — to mi za nic... Musiałem, co trza było, przemóc i zawdy przemogłem...

— Toć widzę Franek, żeś jakisi inkszy jak przódzi, odmieniony... będą się ciebie haw ludzie bać — rzekł stary, gramoląc się z łóżka.

Bruzda na czole pod siwemi, równo przystrzyżonemi włosami, nikiej ta koleina na polnej drodze, pogłębiła mu się jakąś ciężką troską.

Cicho westchnął.

A Franek jął budzić małego Wojtka i śmiejąc się, wymyślać mu od śpiochów i wałkoniów, co cięgiem śpi i śpi, choć brat po tylu rokach do dom wrócił.

III.

Na skraju małej polany, wśród gęstego poszycia leśnego, cosi zaszeleściało.

— Sarna, człek, abo co... — pomyślał Franek. — Jużci nie dojrzał zrazu, choć żbicze ślepia ostro puścił przed siebie, bo po zachodzie wstały nad polanką białe opary i mrok szarawy już padał na świat.

— A może Zośka... może se przybaczyła...

Gdy się zbliżył, posłyszał jej głos:

— Franuś, to ja haw...

Poskoczył, jak z procy wystrzelony. W oczymgnieniu był już przy Zośce i z całej mocy dzieuchę przygarnął do piersi.

— Haweś, Zośka? Wiedziałaś, że haw przyńdę?

— A wiedziałam... Cosi kiejby za rękę mnie wiedło... Abośwa to kajindziej się schodzili, zaczem cię wzięni do wojska?

— A ino. Zawsze haw. Blisko waszej chałupy, wieś obdalno... Wczoraś pewnikiem nadarmo czekała. Nijak z chałupy, choć niedziela była, nie wydoliłem się wyrwać pod wieczór, bo skróś mego powrotu ociec sprosił gości. Mieliśwa ich aże do północka. Tekla i Haźbieta przyszły z swymi chłopami wraz, mój chrzestny ociec Kuba, Maciek Korzec z babą i inksi. Straśnie się przy gorzałce, piwie i kiełbasie ochocili i do mnie

furt przepijali... Mnie się we łbie od gorzałki zamroczyło, alem ciągiem o tobie myślał i cniło mi się okrutnie...

— To i dobrze mójeśty, co pan ociec tak się tobą uradowali... gości sprosili...

— Ano, ociec jak ociec. I rano radzi mi byli, skorom przespawszy co nieco w szopie, na izbę wlazł... Ale przy gościach, kiej se tęgo podpił, już cosi przerzekał o Jewce Korcównie, co to za nią dziesięć morgów idzie i kawałek łąki za smętarzem... A mnie w te razy taki jankór brał...

— Daj-że Franuś pokój... nie źlij się... Dyć zawdyś jak ten ogień... Gadał se ociec, to gadał... Ale chodźwa stąd ku chałupie, już szczera noc... Hań się ugwarzywa... przy mojej matusi... Dy cię nawidzi kiej rodzonego... Potem cię wyprowadzę.

— Moja Zośka! Moja najmilejsza...

I przygarnął ją ku sobie i całował przez opamiętania lica, oczy, włosy, usta, aże obojgu tchu brakło...

— Puść już... puść, bo nikiej nie wyńdę i... nie będę cię wyprowadzać z chałupy... ty, ty... zbereźniku utrapiony... ty... zgryzoto kochana... com tyla czasy przez ciebie, kiej przez własnej duszy chodziła...

— Tak to było, Zośka, tak? prawdę mówisz?

— Eh, Franuś, Franuś... Abo się to da tak wszyćko... dokumentnie... eh, Franuś... jedyny...

I porwał ją nagły żal, odżyły wspominki tęsknot, strasznych niepokojów, złych przeczuć, dojmującej zgryzoty, gdy był jeszcze na wojnie. Łkanie poczęło wstrząsać ramionami dziewczyny.

— Żywemu Bogu płakałam, Franuś... kiela razy Msza się odprawiała na twoją intencyję, byś haw zdrowy powrócił... A skorom się zbudziła w nocy, jakeś mi się źle obśniewał, tom złaziła z pościele i krzyżem do rana leżałam, by cię Pan Jezus ochraniał... Matusia nie wiedzą... kwardo spali... I przy każdziusieńkiej robocie, w polu, na zagonach, w lesie ze mną byłeś, ciągiem ze mną, Franuś... kiejbyś stał pobok... Gwarzyłam z duszą twoją...

Wyszli z lasu. Niepewne światło gwiazd spoczęło na jasnej głowie dziewczyny, na licach, po których spływały łzy nieotarte...

Franek, trzymając Zośkę w pół, szedł miedzą wśród pól, jak urzeczony, słuchając co mówiła. Czuł się w skrytości myśli tej bez miary przywiązanej i ufnej dziewczyny niegodny, on, co na wojnie za żołnierkami i dzieuchami ladajakiemi gonił...

I przysięgał w duszy niezłomnie i uroczyście, kiejby już przed ołtarzem w kościele, co jej za nic nie opuści, choćby się samo piekło przeciw niemu sprzysięgło.

I w tem zapamiętaniu na moment przygarnął

dziewczynę z taką mocą, aże krzyknęła z bólu i wyrwała się.

— La Boga, Franuś, a cóż to?!

— Nic Zośka, nic — odparł z powagą — inom se przysięgał, co cię, pokiel żywota, nie poniecham... Tak mi, Panie Jezu, dospomóż. Ja se przysiągł już przódzi — ale tera, Zośka — tera... kiejś mi tak wiary dochowała, na Msze dawałaś, krzyżem nocami leżałaś modlący... Jabym cię poniechał?...

IV.

Minęło parę niedziel. Już przeszły żniwa; żyta, jęczmiona i owsy ludzie zebrali. Poniektóry zorał żytnisko i zasiał wyki na świeżą paszę la bydła, poniektóry sposobił się do orki pod oziminę.

U Zyburów, jako i wszędy, robota robotę gnała, szły jedne za drugimi pracowite chłopskie dni. Ino w niedziele ludzie se odpoczywali, a po nieszporach, kto gorzałkę lubił a grosz miał przy duszy, folgował se jako chciał.

Franek rzetelnie w gospodarce pomagał. Poczuł to naprzódzi kulawy Jacek, bo wiele pracy syn gospodarza mu ujął; poczuł też i stary Zybura. Ale chociaż robota synowska sama prosiła się o jakąś nagrodę, choć o to dobre słowo, stary

cięgiem był zasumowany, zamknięty w sobie, mało się w chałupie obzywał, a do Franka, to nieraz, bywało, ze trzy dni miną, a nie przerzeknie nic, ino to co wele gospodarstwa patrzy się zrobić, co przódzi, a co na sposobniejszy czas ostawić.

Głęboka bruzda, zdało się, juże staremu worała się w czoło do imentu. Juści wiedział, co się święci. O nic Franka nie pytał, nie zakazywał widywać się z Zośką, ale baby mu wszystko donosiły co, kaj i jak. Nieraz ino, skoro razem połedniowali, abo przy wieczerzy siedzieli, pojrzy na syna tak, kiejby go do ziem temi złemi ślepiami chciał przywalić. Ale Franek oczu nie spuszcza — wytrzyma ojcowy wzrok i odkaże się takiem ogniem w czarnych ślepiach, taką kwardą zawziętością, co aże starego odepchnie i sam oczy spuści na miskę.

Jak chłopy mocarne a okrutnie zawzięte, barują się z sobą, aże ten, co więcej mocy w kościach ma, przeciwnika zmoże, tak Franek zmagał się z ojcem, piorunem w ślepiach odpierając jego groźby, co z pod krzaczastych brwi starego kiej te razy aby i najokrutniejsze w niego godziły.

Macocha wiedziała też dobrze co się święci, ale się do tego nie wrażała, bo bała się starego, a może bardziej Franka, a ten ino z Zośką i jej matką kiejniekiej o tem przerzeknął, ale dufny

cięgiem w siebie był i fantazyję zawdy dobrą miał.

Raz wieczorem, gdy szedł ku ojcowej chałupie, zdybał na miedzy nad sierpem pochyloną starszą siostrę Teklę, dawno już za chłopa wydaną. Sposobiła trawę dla krów do doju. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, bo Teklę bardziej nawiedził, niźli Haźbietę, że to durna była baba, z chłopem o bądź co się w chałupie wadziła i z sąsiadkami o lada co wciąż cięła się ząb za ząb.

— Jak się masz Tekluś?

— Witaj Franek — podniosła się z nad ziemi — adyć nikaj cię uświadczyć nie mogę od dwóch niedziel abo od dawniejsza...

— Roboty mi nie brak, nikiejem nie czasowy.

— E, Franuś, a w niedzielę nie mógłbyś to do nas zaźryć... dy niejedno miałabym ci rzec...

Franek niedzielne odwieczerze i wieczory spędzał z Zośką, odrzekł więc siostrze ni to ni owo, lecz ta, że to brata kochała i życzyła mu dobrze, wiedząc o co chodzi, powiedziała otwarcie:

— Mój Franuś, wiem, co kajindziej latasz, wlubiłeś się przez pamięci, wiem i radabym z duszy, serca... Ale pouwazuj-że dobrze: ociec za nic na to się nie zgodzą, ona juści kiejby z obrazka, ale chudobna, tych parę stajań ino po matce dostanie, a tyś przecie gospodarski syn. Kiejsi, jak pan ociec oczy zawrą, całe dziewięć dwaścia

morgów tobie będą się patrzeć, skoro Wojtka spłacisz... Oni duchem chcą, byś Jewkę Korcówne brał...

— A ja ci pedam, czy ociec chcą, czy nie chcą ja moją Zośkę wezmę! Wolę ją w jednej koszuli, niźli inną z grontem i bogactwem!...

— Toli jako-że myślisz?

— Ano myślę, co Zośka przez grontu to złoto, a Jewka z dzięsieciu morgami, to la mnie blaszany pierścionek... Ot... A te osiem morgów po niebożyczce matusi ociec muszą mi puścić, kiej się będę żenił i jeszcze od siebie i lasa i łąki dołożyć, cobym gospodarzem był jak się patrzy...

— Franek, Franek, czy ci się błąd głowy chycił... jakoże ojca przyniewolisz?

— Z pomocą boską jakoś to będzie...

— Co ci się też widzi... abo to nie znasz ojca?

— Cobym go nie znał... Kwardy jak kamień, ale i kamień się ozleci, skoro go z całej mocy zdzielić kilofem...

— Nijak nie mogę wyrozumieć...

— Dy ci mówię, jakoś z pomocą boską będzie...

— Ej nie brał byś imienia Pana Boga nadaremno. Pan Bóg kazał ojców słuchać, a ty mu się przeciwisz i jeszcze się odkazujesz, cosi o kilofie i kamieniu pleciesz... A może ty se co złego zamyślasz?! Jezu Nazareński!...

Franek spuścił głowę, zasumował się na chwilę, wreszcie rzekł:

— Nic ja złego nie zamyślam. Chcę byśwa się oba pogodzili. A coby zaś co złego się nie stało, to juże nie moja, ale ojcowa rzecz. Ja nie ustąpię!

I uderzył ją swemi srogiemi ślepiami aże do samego wnątrza, że Tekla spuściła głowę i nic się już nie obzywała, ino pochylona nad miedzą, jęła dalej żąć trawę.

A on, odchodząc, raz jeszcze powtórzył w taką mocą, kiejby ciężkim młotem zwalił w kowadło:

— Ja nie ustąpię. Powiedz to ojcu odemnie!

V.

Tekla pewnikiem na drugi dzień ojcu powtórzyła dokumentnie, co mu Franek kazał powiedzieć, bo ten po starym w te razy to poznał. Już na niego nawet nie patrzył, ani o gospodarskich rzeczach wprost z synem nie mówił.

Raz w chałupie nie mogli się na ojca doczekać z wieczerzą. Nie wrócił do dom, choć czas był brzydki, raz wraz rzucało drobnym deszczem a wicher jęczał w kominie i tłukł się do drzwi i okien. Powieczerzali więc sami, aż tu nagle wśród szumu i poświstów wiatru zadudniły cięż-

kie, powolne kroki pod chałupą — ojciec wracał. Gdy wlazł do izby, ledwie na nogach się trzymał. Spity był na umór. Nie zdejmując magierki, zatoczył się na ławę za stół.

Macocha aże ścierpła na ten widok. Oczy na chłopa wybałuszyła i zawołała, załamując ręce:

— La Boga! Przemienienie Pańskie! A cóże z tobą się stało?!

Wojtek wystraszony przypadł do kąta, Franek, zacudowany okrutnie, przystanął na środku izby i patrzy, co to będzie. Ojciec nie pijał w ostatnich rokach. Jak se w te razy przybaczył, dawno, jeszcze za życia niebożyczki matki, tak samo ochlany z karczmy wracał. Miał juści wtedy zgryza nie lada. Złapał go leśny na rabsictwie; marnego zająca ino do chałupy niósł — i nie udało się. Nie wiele on ta rabsicował; ale, że prawy lasowiak był, choć mu grosiwa nie trza było duchem, jak inkszym, chudobnym, nie strzymał i kiej nie kiej w pojedynkę do lasa szedł.

Wtedy mu się nie powiedło i do hareśtu go na dwa tygodnie zaparli. Skoro wrócił, że to nie honór było la takiego jak Zybura gospodarza w hareście siedzieć, na desperę pić począł. Ale mu to cosi za cztery niedziele przeszło. Odtąd i rabsictwu i gorzałce dał pokój, pił ino, jak inksi, we święta, abo przy jakiej okazyji.

Teraz zgryzotę miał okrutną skróś zawziętego na żeniaczkę z Zośką syna.

Od razu też Franka, skoro go ujrzał, kląć zaczął, a odkazywać się okrutnie i walić pięścią w stół.

Babę odepchnął, skoro go chciała łagodzić i dalej wrzeszczał:

— Ja tu w chałupie gospodarz i moja wola musi być... A ty se, ścierwo, nie myśl, cobyś mną kiej rządził i mnie pod siebie brał!... Moja wola, moje całe gospodarstwo!... Skoro mi się spodoba, wywiedę krowę na jarmark, sprzedam i przepiję, bo ja tu, nie kto inkszy, gospodarz i ja haw rządzę, bo wszyćko moje... moje gronta... majątek!...

— A kiej ta jutro, na to psie wesele pod las do tej czarownicy dziadówy zatraconej polecisz, to powiedz tej... tej...

I już mu dalsze wyzwisko, które miał wyrzec, uwiązło w gardle...

Franek w ten moment zwalił się na starego i obu garściami tak zdusił go za grzdykę, że ten aże posiniał, oczy przeogromne, wylękłe śmiertelnie, na wierzch mu wylazły i jął charczeć straszliwie, kiejby już ostatnią parę puszczał...

W izbie podniósł się przeraźliwy krzyk Zyburowej, lament Wojtka.

— Zadusi ojca, rety, ludzie ratujcie! zdusi na śmierć!

Macocha jęła Franka odciągać, Wojtek darł się w niebogłosy, przyleciał Jacek, który ile mo-

cy miał, zaczął kobiecie pomagać — ale wszyćko nadarmo: Franek z nabrzmiałemi żyłami na szyi, straszny, z dzikiemi, drapieżnemi ślepiami, powalił starego na ławę i trzymał, trzymał kiela sił. Darmo ojciec rozpaczliwie kolanami go bódł, darł pazurami po gębie do krwi, darmo, chyciwszy go wpół, Jacek odrywał... Franek jakby nogami w ziem wrósł, a ręce okrutne, kwarde jakby mu się w żelazo zamieniły.

Za moment możeby stary w tych kleszczach mocarnych już do krzty doszedł, gdy Franek mu huknął nad głową:

— Ani jednego złego słowa na Zośkę — nigdy! — rozumiecie?! To was puszczę!...

Zybura poruszył powiekami, że tak.

Wtedy go Franek poniechał.

Trząsł się cały. Ręce latały mu jak w febrze. Z czoła lał się w grubych kroplach pot, co mieszał się z krwią cieknącą z podrapanej twarzy i spływał czerwonemi sznurkami na wypłowiałą bluzkę żołnierską.

Padł ciężko na zydel. Dyszał chwilę.

Zwrócił się wreszcie do macochy.

— A teraz go rozebrać i na łóżko! Nie mogłem zdzierżyć — dodał jakby do siebie, ocierając krew z lic.

Podniósł się, wziął czapkę, nacisnął na czoło, rozwarł szeroko drzwi, trzasnął i poszedł w ciemną, wichrem huczącą noc...

VI.

— Zośka, ten twój Franek to prawy zbój! — mówiła na drugi dzień w chałupie Zającowa do córki. — Dzisia ino o tem na zagonach bez cały dzień pogwara szła...

Zośka płakała.

Znała Franka, wiedziała, że to ogień z siarką, ale coby tak obces na ojca się porwać, tego by się po nim nie spodziała.

— Najadłyśmy się wstydu — ciągnęła matka — gadali, gadali, a ciągiem na cię pozierali...

— Cóżem ja, matuś, winowata?...

— Wiem, dziecko, coś nie winowata, ale cóże z tego będzie, mojaś ty, kiej już tera Franek ojca mało na śmierć nie zdusił?... Juści stary ani w pomyśleniu nie ma, coby cię Franek brał... Kwardy on kiej ten krzemień, a nas, wiadomo, za nic nie ma, że to bogacz wielgi, gospodarz...

Zośka, siedząc na ławie, nie obzywała się nic, ino ciche szlochy raz wraz dobywały się z jej piersi, a oczy miała aże czerwone od płaczu...

W tem zabrzęczało okienko, znak, że Franek przyszedł.

Na izbie pochwalił Pana Boga, matkę pocałował w rękę, a zobaczywszy Zośkę spłakaną, rzucił się ją spokoić.

— Cichoj Zośka, nie płacz, wszyćko się naprawi... alem strzymać nie mógł, kiej ochlany jak

nieboskie stworzenie, zaczął na ciebie, sieroto, pomstować...

A Zającowa na to:

— Stanąłeś za moją córką — dobrze... ale rodzonego ojca chcieć w te razy zakatrupić — la Boga, chłopaku! Jak Zalesie Zalesiem tego u nas nikiej nie było! Chłopy się bijały, parobcy się za łby wodzili — bo bitka chłopska rzecz — ale coby rodzonego ojca w te razy... na śmierć... to się nie trefiło!

— Adyć mnie wyrozumcie matko, jako żywo na śmierć zdusić nie chciałem, inom mu to złe słowo na Zośkę, co jeszcze wyrzec chciał, w gardło wepchnął...

Zośka podniosła nań swe słodkie, żałośliwe oczy.

— Dobryś Franuś la mnie, juści, dobryś, nie dałeś mnie ukrzywdzić... porwałeś się w ten moment, kiejby na nieprzyjaciela, jakeś to na wojnie zwyczajny był... Ale Pan Jezus może cię za to pokarać — i ciebie i mnie... To se uwazuj! Nie słuchaj, choćby co na mnie wywoływał po pijanemu — dy mi to za nic, sumienie mam czyste. Przeciwianiem się ojcu i taką okrutną złością swego nie dońdziesz...

— Ajako-że ma być? Mam zrobić, jak stary chce: ciebie poniechać a Jewkę brać?! Niedoczkanie jego! Tyś, dzieucho, kiej z nieba... wymodliłaś u Pana Jezusa com cały z takiej okrutnej

wojny do dom wrócił!... A skorom wrócił, to Pan Jezus musi nas połączyć...

— Co wam daj, Panie Boże, amen! — szepnęła nabożnie, kiwając głową Zającowa.

Franek zaś dorzucił:

— Mądrzy ludzie mawiają, i w szkolem to jeszcze słyszał: Boga wzywaj a ręki przykładaj! Ja też do swojej doli som ręki przyłożyć muszę, zjeść się ojcu w kaszy nie dam!

— Ino — odrzekła Zośka — nie folguj jankórowi, chocia i o mnie idzie... dyś juże nie na wojnie... Baczże se na to, że to z panem ojcem, a nie obcym parobkiem sprawa... I nie najgorszy on, nie. Jak świat światem, każden gospodarz chce la syna bogatej, nie chudobnej dzieuchy, coby, jak ociec zamrą, więcej grontów pod siebie zagarnął... Tak i twój pan ociec... la twego dobra. A inkszy za to coś go mało na śmierć nie zdusił toby cię w te razy z chałupy wygnał i bez sąd wydziedziczył, a wszyćkie gronta Wojtkowi zapisał! Pouwazuj to Franuś i niech cię ręka Boska broni, cobyś się kiej na ojca porwał!

* *

*

W chałupie Zyburów po tej okrutnej termedyji wszyćko było jak przódzi. Sta y pił dalej. Nieraz go baba kole północka z karczmy wywlekała. Ale doma breweryj nie wyprawiał, a jak

klął, pomstował, to ino na babę, abo na Jacka — ale Frankowi dawał pokój. Zapamiętał dobrze jego żelazne garście.

Franek też kiej ino mógł, staremu z oczu schodził, by go nie rozeźlić, jacy w robocie, choćby najcięższej, nikiej mu się nie przeciwił.

Mijały tak dni i tygodnie — ojciec i syn, choć do nijakich okazyj między nimi nie przychodziło, kwardo przeciw sobie stali. Ino kiejniekiej ogniste ślepia Franka, abo ponure, jak czarna chmura oczy starego mówiły, że w duszach tych chłopów, młodego i starego nieustępliwa zawziętość ino przywarowała, groźnie warcząc, kiej ten zły pies na łańcuchu, tęgo kijem zdzielony.

Gorzałka staremu nie lubowała. Stracił krzepkość w kościach, gęba mu poczerwieniała i obrzękła, ręce się trzęsły, jął ciężko powłóczyć nogami.

Raz nad wieczorem zdybał Zośkę na drodze między chałupami, jak z „Kółka" wracała do dom z flaszką gajzu *). Tak nagle zjawiły się przed nim jej lica urodne, jasne od młodości i krasy, jej głębokie chabrowe oczy, aże go na ten widok zatrzęsło, zdławiło w gardle, że w pierwszym momencie słowa nie mógł wyrzec.

— Pochwalony! — pozdrowiła go, mijając szybko.

A starego Zyburę, kiejby batem podciął.

---

*) nafta.

W te razy puścił się za nią, ale juści dopędzić nie mógł. Więc ino splunął głośno, przystanął, podparł boki i zaczął na cały głos wołać:

— Cie ją, tę szelmę, wywłokę, co mi na chłopaka urok rzuciła i na moc go trzyma, a nie popuszcza, coby na mojem gospodynią ostać! A niedoczkanie twoje żołni rko, ścierwo, dziadówo zatracona! I jeszcze go bontuje, coby ojca zakatrupił! A żebyś za moją krzywdę nogi połamała, żeby cię, ścierwo, ciężka cholera...

I tak długo jeszcze wykrzykiwał.

Słyszeli to ludzie, somsiady, bo akurat pod ten czas przechodziła gdowa po Kaczorze po Wojtku, i Janielka Bartosikówna, i Bednarczyk radny i Gędosiowa.

Gdy se tak ulżył na wnątrzu, Zybura zalazł do karczmy, pił przez opamiętania, znajomkom półkwaterki stawiał, całował się z każdym i o swojem utrapieniu rozpowiadał.

Cud, co się Franek o tem nie dowiedział, choć jeszcze tego dnia baby migiem rozniesły między najbliższe chałupy, co Zybura na Zającównę wołał. I u Zyburów już o tem gospodyni z Jackiem mówiła, niczem się stary do dom przywlókł.

Ani na drugi dzień jeszcze Franek nic nie wiedział. Wieczorem był u Zośki, kobiety siedziały w izbie, łuskając groch do koszyka, dziewczyna jakasi słodsza była la niego, a dobrość aże biła z jej ufnych, oddanych ślepiów...

Wrócił do dom, uciszony w duszy, letki, spokojny, zdało się, błogość jakaś, kiejby nie z tego świata, napełniła mu serce.

Wiedziałby on był o wszyćkiem od somsiadek w te razy, ale żadna nie ważyła się pisnąć mu słowa i na sumienie brać tego, coby się potem stało. Raz ojca mało nie zdusił na śmierć za jedno złe słowo o Zośce, to tera, skoro stary na ludzkich oczach zwołał ją od ostatnich i tak okrutnie sponiewierał, pewnikiem by go zabił.

Krwie starego Zybury żadna nie chciała mieć na sumieniu.

VII.

— Franuś, mójeśty, ciężko mi to rzec, ale dzisia jużeś ostatni raz w naszej chałupie — powitała Franka za parę dni wieczór Zającowa.

Aże cofnęło chłopaka.

— Ale bez cóż, matko? Cóże wygadujecie? Błąd się wam głowy chycił? Ostatni raz? Niby u was? u Zośki?

— Wiem, com rzekła. Nie będziesz haw przychodził. Ze Zośką już musisz zrobić koniec.

Franek nic nie rozumiał. Pobladł nagle i spojrzał na dziewczynę, — ale stała przy oknie, plecami do niego zwrócona, z rękami przy oczach i okrutne łkanie wstrząsało jej ramionami.

— Matko! Zośka! La Boga! A gadajcież bez co? Cóże się stało?

— Jakto? nie wiesz? Dzisia sobota, a stało się we środę!

— Co się stało?! rety!

— Naprawdę nie wiesz?

— Dy wam sprawiedliwie mówię, nie cyganię!

— Ano, kiej tak, to ci wierzę. I ja nic nie wiedziałam. Zośka ani pisnęła, juści coby mnie nie trapić. Dopiero wczora, kiejem we wsi była, że to tera codzień u gospodarzy roboty nie ma i haw nikto nie zachodzi — mówi mi na dródze Piskorzowa, ta z Księżych Wyrębów, że Zybura we środę kole „Kółka" okrutnie Zośkę zwołał; wydzierał się ile pary w gębie miał, co cię urzekła, uczepiła się ciebie, coby gospodynią na majątku starego ostać i że taka... taka... co to wiesz... Na dródze, przy ludziach od ostatnich ją poniewierał...

Franek wbił w kobietę rozszerzone grozą ślepia i widziało się, w kamień się ścina. Nie ruszył się, jakby do miejsca wrósł. Czarniawe lica, pobladłe, w oczach mu tężały. Ino nozdrza raz wraz rozdymał, pięści zacisnął i jakieś niesamowite charczenie dobywało mu się z piersi...

Zośka otarła łzy, ujęła go za rękę, posadziła na ławie. Dał się prowadzić. Usiadł bez słowa.

Wierzchem dłoni starł z czoła zimny pot. Patrzał błędnemi oczyma...

— Franuś, Franuś — szeptała dziewczyna, potrząsając mu ramieniem. — Dy się opamiętaj! Słuchaj!... Nicem matusi nie mówiła, bo i po co... Pewnikiem pijany był... Co ta wymyślał, to wymyślał... Niby o jego gront stoję, o gospodarstwo... A co gorsze... cóże mi to wadzi, skoro Pan Jezus miłosierny wie... i ty wiesz, że to ino bez złość... A te głupie ludzkie jęzory...

— A juści, ludzkie jęzory! — wpadła jej w mowę Zającowa. — Ty se to letko ważysz, ale ja, matka, nie strzymam, coby cię ludzkie jęzory po wsi obnosiły! juści, chudobnaś, te dwa morgi piachu po mnie dostaniesz — ale nie zdzierżę, coby cię ludzie za taką mieli! Całe twoje wiano, żeś prawa dzieucha!... I tego trza strzydz, kiej oka w głowie, bogactwa, kiej złota-śrybła!... Bez to nie chcę, nie pozwolę za nic, zakazuję Frankowi haw przychodzić i z tobą się za chałupą zmawiać, bo ociec mu cię za ślubną brać nie pozwoli i nic z tego nie będzie!... Z Frankiem rozstańcie się dobrze — on nie winowaty... ale taka już kwarda dola wasza... Franek sam przecie o to stoi, coby cię baby po wsi na jęzorach nie oznosiły!...

A Franek, jakby mowę stracił. Siedział na ławie blady, ciężko robił piersiami i jak urzeczony uparcie patrzał w ziem.

— Franuś, Franuś — zalewała się na nowo łzami Zośka, stojąc pobok i głaszcząc go po głowie...

Naraz, jak podrzucony, zerwał się, wyprostował, stanął przed dziewczyną z błyszczącemi dziką zawziętością ślepiami, zmarszczką na czole i kroplą krwi na wargach zgryzionych ostremi zębami.

Spojrzał na swoją Zośkę, zapłakaną, nad miarę ludzką udręczoną i taką biedną w swem chudobnem domowem odzieniu, na jej dobre, łzami nabrzmiałe oczy.

— Za twoją krzywdę — warknął cicho, do siebie.

I w te razy, jakby się spostrzegł, że usłyszała, zagadał niby spokojnie:

— Nic Zośka... nic... cichoj... Dobrze będzie, dobrze... jako pani matka chce... Nie przyńdę haw... nie... ani jutro, ani za tydzień, ani za dwa... Jako pani matka mówi... niech cię nie obnoszą po wsi... Sprawiedliwie...

Odetchnął głęboko.

— A tera... idę... do chałupy...

I postąpił gwałtownie ku drzwiom.

Cosi strasznego dosłyszała w ostatnich jego słowach, bo w oczymgnieniu rzuciła się za nim i zastąpiła mu drogę.

— Franuś, rety, a cóże zrobisz?!...

Serce waliło jej jak cepem, dech zapierało w gardle.

Zaśmiał się dziko.

— Nic... a cóżby?...

Zadygotała cała.

— Franuś, ty chcesz ojcu coś zrobić... skróś mnie!... Jezu, Jezu!... Franuś... rety... wolę w te razy śmierć... Nie chodź do chałupy!...

— Muszę! puszczaj! — krzyknął strasznym głosem.

— Nie puszczę!

— W te razy puszczaj! Już nie zdzierżę!... Puszczaj, bo... Zośka... gorze...

I podniósł pięść, jakby ją w ten moment chciał zdzielić z całej mocy.

Padła przed nim na kolana. Złożyła ręce. Wzniesła bolesne, spłakane oczy.

— Bij mnie Franuś, zabij, ale cię tera za nic nie puszczę!... Na tę Matkę Najświętszą Nieustającej Pomocy, co cię cało haw z wojny przywiedła... na miłowanie moje... Franuś... serdeczny... ostań...

Pojrzał na nią przytomniej. Wargi jęły mu się trząść. Pogasły dzikie iskry w ślepiach.

Kochającem spojrzeniem objął złotą głowę dziewczyny.

Wyszeptał powoli:

— Wstań Zośka... cóże robisz... przedemną... grzesznikiem...

Odwrócił się ode drzwi. Opadł ciężko na ławę.

— To... jakoże myślisz?...

Usiadła przy nim. Przytuliła się mocno do jego ramienia; pogłaskała serdecznie po licach.

— Myślę... cobyś poniechał ojca... Franuś... Przybacz se... czwarte przykazanie... Pan Jezus cię za to nadgrodzi... Mocniejszy On, niźli wola ludzka, choćby najkwardsza i najnieustępliwsza. I ta Najświętsza Panna, co mnie wysłuchała... mocniejsza... I miłowanie moje wierne...

Długą chwilę milczał. Jeszcze się zmagał w sobie. Raz wraz tarł gwałtownie czoło potem zroszone.

Nareszcie wyrzekł bardzo cicho:

— Będzie, jako chcesz. Nie pójdę dzisia do chałupy...

VIII.

Przez cały tydzień w domu się nie pokazał. Siedział u Mościka, ojca kompana z wojska, co biedak przez ręki z wojny wrócił.

Nie mógł rychlej ugasić w sobie płomienia zemsty, którą pałał ku ojcu, że tak niegodziwie na oczach ludzkich sponiewierał jego dzieuchę. Nosił w sobie niby jadowitego węża, co choć zdeptany, raz wraz łeb podnosił i z otwartą pa-

szczą syczał... wciąż syczał... Trza było długo i z całej mocy go dusić, coby zaś kiej nie odżył... rety, coby nie odżył!...

Ale przyrzekł Zośce — i dotrzymał.

Wszedł do chałupy spokojnie, kiejby nigdy nic. Ojca pod ten czas nie było.

Macocha aże w ręce plasnęła, skoro go ujrzała.

— Cóże Franek z tobą się działo bez tyli czas?!

Spojrzał na nią surowo.

— Djabłam pędził od siebie, coby mnie nie kusił... Rozumiecie?... Tolim go dopiero teraz, jak się patrzy, odżenął... Adyć wiecie...

— Zaśbym nie wiedziała? Dobrze, co ci Pan Jezus dospomógł... Tak trza, mójeśty, tak trza, zawdy to ociec...

Stary dalej zaglądał do karczmy, choć rzadziej, bo gorzałka widocznie podrywała mu siły, o gospodarstwo mało dbał, do tego Jacek oberwał się we młynie przy worach z żytem i leżał. Wszyćko ino na ręce Frankowe i Zyburowej patrzało. Do syna nie obzywał się nic. Udał, że nie zbaczył, co bez tydzień doma go nie było. Mruczny był jak przódzi, a raz wraz, kiej Franek nie widział, pozierał na niego pytający, cóże jest, że po tem okrutnem zwołaniu Zośki na drodze, Franek — taki przódzi zawzięty i nieustępliwy — nie mówi mu nic. Juści — myślał w duchu —

chłopaka musi odmieniło... Może przestanie się z tą dzieuchą czarownicą zadawać...

W chałupie smutno było, ponuro. Ojciec i syn jako przódzi, zacięli się i wilkiem na się patrzyli. Nikto się nie zaśmiał, nic wesoło nie przerzekł, nawet mały Wojtek nie dokazywał już z Wiernym. Kulawy Jacek, oberwany, leżał w oborze i stękał.

Tak schodził smutny, jesienny czas. Wichry i chajawice przelatywały nade wsią, dni szły szare, zadeszczone, pola opustoszały, ino kajniebądź ludzie wyrębywali ostatnią kapustę.

Gospodarstwo u Zyburów raz wraz utykało bez chorobę Jacka i niestarobliwość gospodarza, których choć nie co wieczora, ale zawdy do kieliszka zazierał. Zyburowa się dzień na dzień źliła, że to baba o gospodarstwo dbała, ale Franek choć silny i robotny, sam wszyćkiemu nie mógł wydolić.

Po inksze roki pal na zimę był o te czasy już doma. Latoś trochę siągowego drzewa ze swego lasa nawieźli Franek z parobkiem, ale duza palu brakowało, a chaberdzi na podpałkę, abo przygrzanie wieczerzy nijakich już gospodyni nie miała. Suszyła o to staremu głowę bez parę dni, aże raz dopołednia, gdy deszcz nie padał, zaprządł Franek konia, stary siadł z nim na wóz drabiniasty, wzięli siekierki i pojechali. Juści słowa

do siebie nie przerzekli, jako zwyczajnie przy każdej robocie.

Gdy stanęli na linii leśnej, Franek zeskoczył z wozu i widząc, że ojciec, nie może się wygramolić, pomógł mu zleść.

— Cóżeś taki la mnie wysłużny, dobry? — warknął stary — zesadzasz mnie?

Franka niespodziane ojcowe słowa jakby wrzątkiem zlały od czuba, aż do pięt.

— Jušci, com dobry — jął z siebie wyrzucać w nagłem zapamiętaniu — poniechałem was... wiecie... kiej... Bez tydzień nie byłem w chałupie, coby mnie zły znowu nie skusił... Rozumiecie?... Ale tera się rozprawimy na ostatek.. Tera, abo nikiej...

Spojrzał Zybura w straszliwe ślepia Frankowe i zbladł. Chciał w te razy dobyć z wozu siekierkę, zabraną do odcinania gałązek, lecz Franek rękę mu oderwał i stanął przy drabinkach, zasłaniając sobą wóz.

— Ostawcie, nie będziewa się siekierami bić!

— A, zbóju, ale nóż, ten z wojny, masz za cholewą!...

— Żeby Pan Jezus sprawił, coby hań ostał! Wasza będzie wola...

— Moja wola, cobyś mnie haw w lesie nie zaźgał, jak wieprzka?... Nijak wyrozumieć nie mogę...

— A ino, wasza wola...

— Moja?... No, juści, nie chcę, cobyś mnie zarżnął, a potem sam do kreminału na całe życie poszedł... jako żywo, nie chcę!...

— Kiej tak, to dobrze. To juże zgoda. To i nie przeciwiacie się, cobym Zośkę Zającównę za ślubną brał!

Stary aże się zatoczył.

— Co? coś rzeknął?! Tak to mnie prosisz o pozwoleństwo ojcowskie?! haw, w lesie, kaj niema żywej duszy?! To tak, synku?! Abo pozwoleństwo, gront i majątek, abo nożem pod żebro?! Szkoda, coś se haw matareusza nie przywiózł! Duchem by ci papier wyrychtował, jabym krzyżyk pod tem dał, a on pieczęć i wszyćko gotowe...

— Gadajcie co chcecie. A kiejście o matareuszu rzekli, to wam powiem, że ja te osiem morgów po matusi niebożyczce muszę mieć, skoro się będę żenił — nie śmiecie mi ich zaprzeć, bo na hipotece stoi, a ja lata swoje mam — a od was tę łąkę za potokiem i te morgi za młynem! Tekla i Haźbieta wywianowane, Wojtkowi zapiszecie resztę, co mu się patrzy i zgoda! A Zośki nie poniecham i innej nie chcę — słychacie? — ani Jewki, ani żadnej! Co mi tam z Jewczynych morgów, majątku, kiej to nie ta moja, od Pana Jezusa przeznaczona!... Każda, choćby i najbogatsza i urodniejsza od Zośki była, (a takiej we wsi niema) — to nie ona, co choć chudobna, ale mi-

łuje mnie jako nikt na świecie i łaskę Boską ma! Na Msze dawała ten ciężko na wyrobkach zapracowany grosz na moją intencyję, jakem na wojnie był; krzyżem na ziemi całemi nocami leżała, Matce Najświętszej Nieustającej Pomocy mnie polecając!... I wymodliła, com cały wrócił!

A jeszcze wam rzekę co więcej: że dzisia po świecie Bożym chodzicie za to ino Zośce, nie komu innemu, macie dziękować! Bo jacy ona was ochroniła. Skoro wtedy, kiejście ją na dródze jak ostatnią wywłokę zwołali, z wściekłości krew mi łeb zalała, tak samo, jak na wojnie, gdym do śturmu gnał, i chciałem w te razy z ich chałupy do dom na was lecieć — ona drzwi mi zastąpiła i za nic puścić nie chciała! A mnie djabeł kiejby za włosy bez moc-przemoc duchem na was ciągnął i huział, kiej złego psa!... I użem pięść podniósł, coby nią Zośkę przez pamięci zwalić, że mi się tak przeciwiła. Wtedy padła przedemną na kolana, ręce złożyła i na tę Matkę Najświętszą, co mnie cało z wojny przywiedła, na miłowanie swoje zaklęła... I usłuchnąłem jej... Nie poszedłem do dom i u Mościka bez tydzień siedziałem, bo mnie jeszcze djabeł ciągiem na was szczuł...

— Prawda-li to, Franek... prawda?...

A Franek z rozpalonemi licami, do głębi przejęty, mówił dalej coraz gwałtowniej:

— Święta prawda! Jak na spowiedzi mówię... Tego dnia (a środa to była, dobrze baczę) coście ją na ludzkich oczach tak okrutnie sponiewierali, nie poskarżyła się ani słowem przed matką. Zającowa dopiero w piątek we wsi się dowiedziała. A ja w ich chałupie od starej, w sobotę wieczór. Bo wsiowi, juści, bali się mi o tem rzec, żem to taki ogień...

Stary, jakby w tępem zamyśleniu, trząsł głową spuszczoną.

— To tak... to tak — powtarzał do siebie.

— A tak... i do was nijakiej złości nie ma... Dość się napłakała na mnie, jakem to was wtedy tak okrutnie... za grzdykę... I wam racyję przyznawała, chocieście byli jej przeciwni... Każden gospodarz — mówiła — chce la syna bogatej nie chudobnej dzieuchy. Tak i twój pan ociec... la twego dobra, cobyś więcej grontów pod siebie zagarnął... I jak Boga przy skonaniu pragnę, te słowa jeszcze rzekła: — A inkszy ociec za to, coś go mało na śmierć nie zdusił, toby cię w te razy z chałupy wygnał i bez sąd wydziedziczył, a wszyćkie gronta Wojtkowi zapisał!...

— Tak-że to mówiła... — wyszeptał stary, patrząc w ziemię — tak-że to mnie broniła?... Na Matkę Najświętszą cię zaklęła... I mnie racyję przyznawała? Inszy jużeby gronta na Wojtka przepisał... I nijakiej złości do mnie nie ma... Rety, Jezu, nijakiej!...

Słowa uwięzgły mu w gardle, kiejby go cosi z całej mocy za grzdykę uchyciło. Poczerwieniałe, pijackie ślepia poczęły dziwnie mętnieć. Żuł w gębie jakieś niewymówione słowa...

Franek zamilkł na długą chwilę. Dyszał ciężko.

Naraz stary podniósł spuszczoną głowę i rzeknął miłościwie do syna:

— Franek...

Wtedy Franek jak długi rymnął do nóg ojcowych i w obłędnej radości buty mu zaczął całować.

Zybura pochylił się nad nim i jął go podnosić, ale chłopak pozostał dalej z czołem o ziem opartem, obejmując silnie nogi ojcowe, a z piersi dobył mu się ciężki, głęboki szloch, niemal nieludzki ryk, taki okrutny, jak okrutną była do tej chwili zaciekła złość na rodzica...

— Odpuście mi, ojcze rodzony... odpuście!... powtarzał długo, długo, z namiętnym uporem.

— A cichoj-że Franek, wstajaj... toli ci odpuszczam. Wyrozumiałem wszyćko... To taka ona... ta Zośka... Ktoby się spodział... Juści, łaskę Pana Jezusową ma... I widać, Jego wola przenajświętsza, cobyś ją, a nie inkszą, pojon...

A gdy nie wstawał i jęczał dalej głucho u stóp ojcowych, jakby z tym jękiem wyrzucając z siebie cały bezmiar nienawiści i pomsty, jakie do

ojca żywił w zawziętem sercu, stary, uspokojony już, ozwał się wesoło:

— Wnetki buczeć przestaniesz, kiej ci rzekę, co jeszcze dzisia, skoro do dom wróciwa, w te razy zrychtuję wóz galanto i sam do Zającowej pod las pojadę... z wódką!... Ociec ci będzie swatem!

JAKIE GOŚCIŃCE KUBA KOS SWOJEJ BABIE PRZYNOSIŁ

I.

Kuba Kos za parobskich czasów juże ciesielką galanto narabiał. (Był potem ś-niego bez długie roki pierwszy cieśla na trzy parafije). A że śwarny, postawny, przyścipny i tancerz, jakiego drugiego ni w Rzędzinach, ni w sąsiedniej Białej Wólce nie było, dzieuchy chodziły za nim jak urzeczone, a poniektóre baby poglądały nikiej kot na spyrkę.

— Piekny parobek z tego Kuby, aże błyszczy od niego uroda — mówili o nim we wsi.

Ale matki przestrzegały córki, kiej z którą na weselu, abo w karczmie na muzyce więcej hulał, a potem ś-nią często kóli ochłodzenia na pole wychodził.

— Nieprześpieczny on, nieprześpieczny... Uwazuj dzieucho, coby zaś z tego tańca i chłódzenia nie wypsnęło się cosi, co wrzescy...

A Kuba Kos, jak Kuba. Czarniawy, śmigły, z małym wąsikiem i kędzierzawą niesforną czupryną, co mu na czoło z pod czapki z fantazyją

spadała, zawdy se niefrasobliwy był, dufny w siebie i wesoły nikiej ten prawy kos na gałęzi, co se ano śwista i śwista o nic nie dbający...

— Wszyćkie dzieuchy w Rzędzinach moje — mówił nieraz do bab z przechwałką — byle ino mi się chciało po którą sięgnąć — ale mi się nie chce...

— A bez cóż ci się mójeśty, nie chce — spytała go raz na drodze młoda jeszcze Magda Wąsiczka, co jej chłop przed rokiem do Hameryki za zarobkiem wywędrował.

— Bez co? bo mi źrałe gruszki, takie, co juże z drzewa spadły, lepiej lubują niźli te, co jeszcze na gałęzi wiszą, i trza po nie abo w górę hyckać, abo się na drzewo drapać... Człek się ino zeznoi i portki se podrze, abo rymnie na ziem i potłucze się, wiecie, kaj nie trza... Co mi ta szkodzi, że kto inkszy przódzi zerwał... Wyrozumieliście?

Wyrozumiała, bo grzmotnęła go pięścią w ramię, aże się cofnął.

— Pokuśnik, jucha! — zaśmiała się szeroko, pokazując mu białe zęby i poszła do swej chałupy.

Ale na zakręcie drogi nie strzymała, ino obeźrała się jeszcze na Kubę, który ostał na środku gościńca, papierosa ćmił i jakiesi znaki jej dawał.

Bez te „źrałe gruszki", to się Kuba, bywało, z chłopami bijał, a poniektóre co młodsze baby

nieraz od swoich chłopów miewały piekło w chałupie.

Skoro z wojska wrócił, Kuba cosi z rok jeszcze, niby ten jurny kogut, na cudze obejścia wpadał i mątu we wsi narobił niemało (nawet sam wójt jankór miał do niego skróś swojej drugiej baby), ale naostatek ślubną wzion. Półtora morga ino za swą Józią dostał, dwie pierzyny i małego byczka, ale cieśla, robotę ciągiem mający i w Rzędzinach i po zagranicznych wsiach, o gront nie stał. A Józia była kobieta, że choć do rany przyłóż: cicha, spokojna, wlubiona w pięknego Kubę przez pamięci, że takiej drugiej nikaj by nie znalazł. Możeby się był ś-nią tak duchem nie żenił, ino co przyparło ich oboje okrutnie, bo jużе w miesiąc po weselu Pan Jezus chłopaka im dał. Bachór był smyślny, na ojca całkiem podany — toć matka radowała mu się jak zwarjowana.

Ino raz, w parę niedziel po urodzeniu chłopaka, kiej Kuba z roboty z Gajów wrócił, przyszedł na kobietę ciężki termin. Zdało się, dobrość jej la chłopa do znaku przepadnie i w chałupie już będą swary i termedyje na wieczny czas.

Wchodzi Kuba do izby, siekierę i piłę stawia w kącie, a na ręce cosi w chusty owinięte trzyma. Dawała Józia pod ten czas piersi maluśkiemu Kubie, siedząc na ławce wedle komina.

— Cóżeś to, Kubuś, przyniósł — pyta podnosząc oczy na chłopa.

— Cosi la ciebie...

— Cóże? mów.

A Kuba się śmieje, staje przed kobietą i odwija zawiniątko.

— Rety! — dziecko?! Kajżeś je znalazł?

— Nie znalazłem nikaj, ino matka mi dała...

I śmieje się dalej.

— Dy mawa już jedno swoje. Przecie dwóch karmić nie będę.

— Cobyś ta zaś nie karmiła, skorobym cię pięknie poprosił...

— E, śpasy ci ino w głowie...

— Nijakie śpasy... weź sierotę, weź...

— A kielaż matka będzie płacić?

— E, nic ona nie zapłaci, bo chłopak mój...

— Co?! coś rzeknął?! — zakrzyknęła, aże naczynia w szafce dźwiękły i kawałek wapna zleciał z pułapu, a oba maleństwa zaczęły wystraszone wrzeszczeć w niebogłosy.

Zerwała się, złożyła dziecko do kolebki i stanęła przed Kubą czerwona, wściekła, z jarzącemi od gniewu ślepiami...

— Powiedaj jak było, powiedaj w ten moment... Mów, jak było, nie śpasuj, na rany boskie!!!...

Kuba naraz spokorniał i trzymając na lewej

ręce rozpłakane dziecko, prawą grzmotnął się w piersi, aże w nim jękło.

— Moja wina Józiu, moja wielka wina... Toli jakem w Gajach na robocie był — a pożenieniśmy, wiesz, jeszcze nie byli, — ot... przygodziło się... Moja Józiu, ostaw w chałupie kruszynę, dyć chroboczkowi zamrzeć nie daj...

Ale kobieta nie dała się udobruchać.

Wzięna gonić po izbie, za włosy się targać, sądu boskiego na niegodziwca wzywać, pomstować, niech ręka boska broni, a zawodzić żałośliwie nad swoją dolą nieszczęsną.

Wśród tego Kuba położył płaczące dziecko na pierzynach na łóżku, i cichy, jak trusia, sam jął się krzątać kole wieczerzy.

Nakoniec kobiecie brakło głosu w gardle i siły w nogach. Padła na ławę i jęła płakać, płakać, płakać...

A chlipała tak rzewnie i boleściwie, aże serce Kubie do cna stajało i choć chłop miętki nie był, jęło mu się robić w ślepiach mokro...

— Józia — wykrztusił — skoro w ten moment nie ustaniesz, klnę się na wszyćkie świętości, że idę na strych i na tym rzemieniu, co portki na nim noszę, obwieszę się... Już nie strzymam.

— A idź, a obwieś się, zwodzicielu, ancykryście — jęknęła Józia z mokrą od łez, zaczerwienioną twarzą. — Jezu, Jezu miłosierny, słyszaneż to rzeczy, żeby pod ten czas, co się ze mną

schodził, chociem ta jeszcze ślubną nie była — i z drugą z obcej wsi... to samo... Rety, rety, Sodoma, Gumora!... I ze mną dziecko, i z drugą dziecko... Z dwoma dwa dziecka naraz!...

— Dym ci pedział — rzeknął nieśmiało, cichuśko — przygodziło się... Koń ma śtyry nogi a potknie się... i człek ułomny... A ja nie pierwszy i nie ostatni...

— Nie gadaj juże, nie gadaj, bo się z żalu ozpęknę...

— Ozgrzysz mnie Józia, ozgrzysz... Miej zmiełowanie nad grzysznikiem...

— Za nic nie ozgrzyszę. A tyś miał zmiełowanie nademną, jakeś się hań z drugą w Gajach, tfy!... Nie miałeś zadość mnie jednej? Czym ci się kiej przeciwiła?... zabaczyłeś? za Kulasowem uwrociem, pod Grzelową gruszą... A teraz mam ci przeniewierstwo darować?...

— Ha, kiejś taka kwarda — rozłożył Kuba ręce, westchnąwszy ciężko — to bądź zdrowa... Wszyćko ci ostawiam... i chałupę i krowę i te moje trzy morgi... Ino dziecka ućciwie chowaj, krzywdy im nie daj robić, skoro za inszego chłopa się wydasz... A nie zabacz dać na mszę i wypominki za moją grzyszną duszę...

Szerokim krokiem, pochylony, ze łbem zwieszonym wyszedł z izby na sień i jął zwolna leść po trzeszczącej drabinie.

Kobieta w ten moment porwała się jak opa-

rzona, wpadła do sieni, uchyciła go z całej siły za nogę i ściągnęła z drabiny. Z dobry pacierz barowała się ś-nim, niczem wepchnęła go do izby, bo się rzetelnie opierał...

Sielnie posadziła go na ławie, aże stęknął.

— Kuba, masz ty Boga w sercu — zaczęła mu wyrzucać, załamując ręce — Toliś taki winowaty w grzychu śmiertelnym i jeszcześ chciał duszę na wieczność djabłu zaprzedać?... A wiesz ty, coby cię hań w piekle czekało?...

A Kuba siedział ciągiem z głową spuszczoną i ino żałośnie se nią kiwał; nie obezwał się nic, jakby z tej okrutnej despery do cna zaniemówił...

— Ej, Kuba, Kuba, cóżeś ty chciał, utrapieńcze zrobić — mówiła Józia coraz spokojniej, ocierając czerwone z płaczu, nikiej królicze oczy.

— I zrobię, com se zamyślił... nie tera, to po północku — mruknął chłop głucho, patrząc w ziem, skoro mnie nie ozgrzyszysz i niewinnej kruszyny nie przygarniesz...

— Nie pleć byle czego... przygarnę już, przygarnę... Dziękować Panu Jezusowi, starczy mi pokarmu na dwoje...

Jak się na to Kuba nie porwie z ławy, jak nie uchyci swej kobiety, jak nie przyciśnie do siebie, aże jej dech zaparło, jak nie zacznie całować po licach i zapłakanych niebieskich ślepiach, a potem w zapamiętaniu przez miary w pełne, czerwone usta, że pocałunki leciały jak grad, aby

i najgęściejszy — tak w parę pacierzy Józia aże z sił opadła od tego waru mężowskiego kochania, chodziła ino za nim zamglonemi oczyma, a skoro znowu chciał ją przygarnąć, raz w raz odtrącała go łokciem, sromając się i zakrywając lica wierzchem dłoni:

— Ostaw mnie, Kuba... dy nie w te razy... po wieczerzy... Małego trza nakarmić, bo głodny... a jeszczem go nawet nie obeźrała.

Kuba uniósł dziecko pod światło lampki, a skoro Józia dobrze się nań przypatrzyła, plasnęła w ręce:

— Cały ociec! Cały ociec!

Odebrała go od Kuby i usiadłszy na ławie, przystawiła do piersi.

A chłop z rozpogodzonem czołem podjął z kolebki maluśkiego Kubę i ostrożnie podał żonie.

— A weźmijże i naszego do drugiej... Niech se mają kuntentność oba wraz...

II.

Minęło trzy roki, abo mało co więcej. Urodziła już Józia bez ten czas Marysię, był już na świecie Szymuś. U Kosów panowała zgoda, aże miło. Nieraz nawet sam jegomość Kubę i Józefę Kosów za przykład stawiał swarliwym stadłom. A dość było takich we wsi, co to dzień na dzień

żarły się z sobą w chałupach, nikiej te złe psy, chłopy skróś tego, co doma spokoju nie miały, w karczmie na desperę piły, a baby zasię chodziły z popodbijanemi ślepiami.

— Widzicie Bylica — mówił do chłopa, któren swoją babę po pijanemu do półśmierci bijał, a raz ją tak kłonicą przetrącił bez krzyże, że cudem się ino po dwóch miesiącach ciężkiego chorzenia wylizała — widzicie, jaka u Kosów zgoda i błogosławieństwo Boże... Kosowa przyjęła jego chłopaka, co go z obcej wsi przyniósł, wykarmiła razem ze swoim, i nijakich poswarek o to u nich nie ma... On gorzałki ani nie powącha, kobietę szanuje...

A Bylica na to:

— Dopraszam się łaski jegomościa.. bo też Kosowa spokojna, cichuśka, złego słowa nie powie, a moja jak gębę ozewrze, rety, to kiejby żywe piekło z pod ziemie ogniem a siarką buchnęło. Toć nijak zdzierżyć nie mogę... Dy sam anioł z nieba by nie strzymał tego wrzasku, przekleństwów i jazgotania, ino porwałby żarnówkę i kto wie, czyby kiej bez łeb tak nie zdzielił, coby ostatnią parę puściła...

U Kosów, jako jegomość mówił, naprawdę była zgoda i pokój. Kuba zarabiał dobrze i w Rzędzinach i w Białej Wólce i w Gajach i Żabich Okach, a nawet — że to był cieśla pierwszy na kilka parafij — i do dalszych wsi na robo-

tę go brali, w gorzałce nie lubował, każden grosz swej Józi oddawał, a o dziecka starobliwy był, jak mało któren ociec.

I nie miałaż kobieta być rada, że takim dobrym chłopem, a do tego urodnym jak żaden, Pan Jezus ją opatrzył? W chałupie też wszelakiego dobra przybywało i dochowali się dwóch krów, gospodyni wieprzki podpasała, zaharendowali od jegomościa łąkę — i Józia już z pierwszemi gospodyniami wzięna przyjacielstwo trzymać.

Jakosi w półtora roku, jak Kosom dał Pan Jezus Szymusia, z wiesną kobieta rozsypała się znowu — i przyszedł na świat maluśki Jacuś. Chłopak był jak kluska, krągluśki, miał wesołe ślepia jak ociec, toć chrzciny wyprawił Kuba galante. Poczęstunek postawił nie bylejaki, siła też gości było w chałupie i to co najpierwsze gospodarze, a nawet i sam jegomość na momencik zaszedł...

Józia Jacusiem radowała się okrutnie, widziało się, może więcej niźli pierworodnym i obie ze starą Jewką, co u nich służyła, a krzywą gębę miała (dla prześpieczności przed chłopem taką se do służby zmówiła) — nie mogły się dziecku nacudować...

Gdy tak raz, obrządziwszy wszyćko kole gospodarstwa i pokładłszy starsze dziecka spać, czekają obie z wieczerzą na Kubę, co pod ten czas

do Białej Wólki na robotę chodził, o późnej już godzinie posłyszały wesołe ujadanie Zagraja podle chałupy.

Juści gospodarz wracał do dom.

Porwała się Jewka do komina przygrzewać duchem warzę, bo gospodyni siedząc na zydlu i kolebiąc nogą Szymusia (że to pędrak przez kolebania uśpić się nie chciał) dawała piersi maluśkiemu Jacusiowi.

Naraz wśród radosnego skowyczenia psa, dosłyszały kobiety z sieni kwilenie dziecka.

Józię kiejby cosi ostrego źgnęło w samo serce.

— Pewnikiem znowu dziecko mi niesie... — przeszło jej przez głowę — i w te razy jęła trząść się od płaczu.

Kuba wyżenął psa na pole, zaparł drzwi od sieni i wlazł zwolna na izbę. Ogarnął oczyma płaczącą kobietę, pochwalił Pana Boga, skrzynkę z „naczyniem" ciesielskiem, siekierę i piłę kole drzwi postawił... Gęba mu się nie śmiała jak przódzi, gdy pierwsze przyniósł. Rzucił kapelusz na ławę i zasumowany okrutnie, z owiniętem w chusty dzieckiem stanął przed żoną.

Nie obezwał się nic, ino westchnął ciężko i pokiwał smutno głową.

Józię cosi jakby do cna w grzdyce zatkało. I ona nic nie rzekła, ino karmiąc dalej Jacusia, załzawione ślepia podniosła ku chłopu.

Trwali tak z dobre dwa pacierze przez nija-

kiego słowa, Jewka, wystraszona, sprawiała się cichuśko kole komina.

Nakoniec Kuba ozwał się głosem, jakby z pod ziemi idącym:

— Oj, Józia, Józia, znowu dopust boski na mnie... Jak ty mnie nie poratujesz, coże ja pocznę utrapiony?!... Widzisz ty, com haw przyniósł?

— Adyć widzę — jęknęła wśród łkań — nie ślepam... i słyszę... Toli drze się, jak opętane... Cóże to... znowu twoje?...

— E, co ta gadać... Dopust boski i tyla... Ozgrzysz mnie Józia jeszcze na ten raz, na ten jeden raziczek... Józia, Józia... weź tę kruszynę... Tyś taka la mnie dobra... na całym świecie takiej drugiej nie najdzie...

Kobieta zaniosła się na nowo od żałośliwszego jeszcze płaczu, oddała dziecko Jewce i szlochając padła twarzą na łóżko, nijak nie dając się Kubie utulić...

Ale za jakąś godzinę, choć srodze spłakana i rozżalona, już przez nijakich na chłopa pomstowań, wzięła na ręce maluśką dzieuchę, którą Kuba przyniósł, zrobiła jej krzyżyk na czole i przystawiła do piersi.

A Kuba siednął se przy niej, i ciągiem delikatniuśko głaskał ją to po licach, to po głowie i poruszał wargami, jakby pacierz mówił, abo błogosławił tę przez miary dobrą kobietę, co nawet mu złego słowa nie rzekła za tę okrutną

krzywdę, co jej zrobił i drugie już obce dziecko przygarnęła...

Naraz Józia zwróciła nań czerwone jeszcze od płaczu oczy.

— Kuba!

— Abo co?

— A kajże ja ją ułożę? Dy mawa już sześcioro, a tu ino jedno wyrko la dziecek i jedna kolebka.

— E, co ta o to... Drzewo mam w chałupie i wszyćko, co potrza... Duchem zrychtuję nową kolebkę... taką, co i Jacuś i ta maluśka pomieszczą się galanto... Choćby i zaraz do roboty się wezmę i do rana będzie gotowa...

— Abo bym ci dała? — obruszyła się Józia. — Dyś setnie upracowany z całego dnia, przespać się musisz... Ja se jeszcze jakosi poradzę...

III.

Insza kobieta, toby swemu chłopu za taką despetę, jaką Kuba żonie wyprawił już drugi raz, nie ino najokrutniejsze piekło każdziusieńkiego dnia robiła, aleby się rwała do tamtej, z którą dziecko miał, coby jej ślepia wydrapać... I nikiejby juże zgody w takiem stadle nie było.

Ale Józia była do krzty inaksza. Juże od

drugiego dnia począwszy, jak dziecko wzięna, nigdy Kubie ani słówkiem nie pisnęła o tem, co się stało.

To też i Kuba był la swej kobiety jeszcze lepszy i wysłużniejszy. Pochlebiał jej, jak ino mógł; gościńce z jarmarku przynosił, dawał czegoby ino zapragnęła. A w robocie zdało się, że nikiej ten czarownik, dwoił się i troił — bo zarabiał jeszcze więcej niż przódzi. Toć nie dziw, że Józia w parę niedziel już jakby zabaczyła do krzty, że znowu razem ze swojem cudze dziecko karmi — i w chałupie Kosów zapanowała taka jakasi święta i błogosławiona dobrość, takie miłowanie się spólne z wszyćkiemi dzieckami wraz, jakich nikaj, jak Rzędziny Rzędzinami nikto nie uświadczył.

Tak to u Kosów doma było — ale ludzie wsiowi, a naprzódzi baby, skoro ino po wsi gruchnęło, że Kuba teraz na odmianę z Białej Wólki bękarta swej babie przyniósł, wzięny Kosów okrutnie na jęzory. Pośmiechy i przykpinki z chłopa, co z zagranicznemi dziewkami dziecka miewa i z baby, co głupia ciągiem toto przez nijakiego przeciwu mamczy, szły od chałupy do chałupy, trzęsły się przy przełazach, przy studniach, huczały w karczmie.

Toć i jegomość, któren wiedział wszyćko, co się we wsi dzieje, (bo jakżeby gospodyni język utrzymała za zębami) a Kosa już dawno z pierw-

szego dziecka z Gajów ozgrzeszył, potem zaś rzetelnie go nawidził, tera do niego do imentu serce stracił.

Skoro Kos przyszedł na plebanję prosić o przepisanie metryki dzieuchy na swoje imię, że to już drugi raz taka grzyszna rzecz chłopu żeniatemu się przytrefiła — rozjendyczył się okrutnie, pięściami w biurko tłukł, ogniem piekielnym groził i sielnie Kubę zeswarzył od dziewczarzy, jurnych, przejurnych kogutów i najgorszych łajdaków.

Kuba stał przed proboszczem schylony, skrobiąc się w głowę i rzetelnie mu wszyćko, każdziusieńkie słowo przyświadczał.

— Kogut z was, jucha — krzyczał jegomość, co żadnej kurze i z cudzej chałupy nie przepuści.

A Kuba:

— A ino... święta prawda...

— Kaczor, bestyja — jankurzył się ksiądz coraz sielniej — co mało mu swoich kaczek i jeszcze co tęższe siemieniatki przysiada... Miałem takiego, tom go w te razy kazał zarżnąć...

— Sprawiedliwie jegomość mówią...

Naostatek pleban, że to Kuba mu ino przyświadcza, jakby se to, co zrobił, letko ważył, a nie rzeknie nic, jako zwyczajnie grzysznik, skruchę w sercu se wzbudzający, rozeźlił się jeszcze bardziej.

— Cóż to, Kos, ino świadczyć mi będziecie?

Nie przyrzekniecie poprawy? Dy to wstyd na całą wieś, dy obraza boska, zgorszenie...

— Juści, że wstyd i obraza boska — Kuba na to — nie przeciwię się i grzych okrutny, skoro mi Pan Jezus taką poczciwą a dobrą, kiej ten anioł, kobietę dał... Ale cóże ja pocznę, dopraszam się łaski jegomościa, kiej juże ano tak się samo jakosi dzieje... Cobym ino la śpasu, przez nijakiej grzysznej intencyji, poniektórą dzieuchę bez pół chycił — a siłę dziękować Panu Jezusowi mam — i w samą gębę raz abo dwa rzetelnie pocałował — w ten moment ślepia jej się mglą, leci mi z rąk i juże liga, kiej przez duszy... Cóże ja winowaty?...

Jegomość poźrał na Kubę strasznie, machnął ręką, zaklął i wyleciał z kancelarji, jak biczem podcięty...

A Kuba ostał na środku i czekał, co będzie dalej, choć widziało mu się, że się dzisia niczego dobrego nie doczka.

Za parę pacierzy jegomość wyszedł ze swoich pokoi i stanął we drzwiach, mierząc Kubę srogiemi ślepiami.

— Czego tu jeszcze chcecie? — huknął.

— Adyć dopraszam się łaski...

— Nie ma łaski dla grzesznika, co zamiast poprawę poprzysiądz, o spowiedź świętą prosić, bezeceństwa osobie duchownej gada... Wstydźcie się, Kos...

— A dyciem ino prawdę rzeknął...

— Wstydźcie się, mówię! Jakże to? Do cudzych dziewek w innych wsiach obces się bierzecie, chocieście waszej ślubnej kobiecie przed ołtarzem poprzysięgli miłość i wierność...

— Aboż ja ją nie miłuję? — Kuba się obruszył. — Niech sama haw przed wielebnym ojcem duchownym zaświadczy, a ona nie skłamie. Adyć jak świętą ją miłuję i wstając i ligając Panu Jezusowi za nią dziękuję... Przez niej ani mi życia ani doli... A wiernym jej chyba bardziej, niźli ten mój Zagraj memu obejściu... Dobra jej strzegę i jak ten wół haruję, coby kiejsi gospodynią całą gębą była, jak nieprzymierzający wójtowa abo Styrnalka Marcinowa.

Ale jegomość setnie rozeźlony, nic już na to się nie obezwał. Szarpnął ręką za siebie, gdy się Kuba ku niej pochylił i o nijakiem przepisaniu metryki słychać nie chciał.

IV.

Udobruchał się dopiero za parę dni, kiej przyszła do niego z dzieckiem sama Kosowa.

Pochwaliła pięknie Pana Boga, pocałowała plebana w rękę, a do maluśkiego bachorka jęła przyśmiechy stroić, po gębusi głaskać, a krąglušką główeczkę całować...

— O, widzą jegomość, jakie to miłe...

— Takeście już obce dziecko zalubili?...

— A ino, dopraszam się łaski... Straśnie to miluśkie, a ciche, jak żaden z moich pędraków w małości nie był... Jak ino possie, juże śpi bez parę godzin kamieniem... Zda się, że nijakie nowe dziecko do chałupy nie przybyło... A jaka jestem urodna dzieucha... niech no sami jegomość poźrą.

— No, bachór niczego... Aleście pewnie waszemu nagadali jak się patrzy i zeswarzyli wartogłowa i uwodziciela...

— E, kaj ta... Inom popłakała ociupinę, a że dzieucha przecie jego (bo i ślepy by zmiarkował, że na ojca do cna podana) toć przygarnęłam jak swoje...

Po licach jegomościa przeleciał uśmiech, kiejby promień Bożego słonka na nie padł i już przez niczego maluśką dzieuchę (a Magdusia jej było) na imię Jakóba i Józefy małżonków Kosów wpisać obiecał i do rządu co potrza podać, coby juże Magdusia, jak i pierwszy przyniesiony chłopak w księgach jako ich dzieci zapisane były.

Józia do dom wracała okrutnie rada, że to Kubie, jak wieczorem z roboty wróci, opowie, że z jegomościem będzie dalej zgoda, bo choć ta mruczny na niego jeszcze był, ale wiadomo, u rzędzińskiego proboszcza to jankór mijał wnetki, nikiej ta burza na wiesnę.

Idzie se tak kobieta z dzieckiem na ręku, a na duszy jej letko, że Kubie przebaczyła, bo juści sprawiedliwie mu się to patrzyło, kiej taki ućciwy, robotny, a la niej jak żaden chłop la baby dobry i wysłużny, że Magdusia już na ich przezwisko zapisana — a tu w te razy na zakręcię drogi naszły na nią Powroźniczka Nastka ze Starych Wyrębów i Wadaska Magda, pierwsze bajczary i omyłtusy baby we wsi.

Pochwaliła spiesznie Pana Boga, nie chcąc ś-niemi w pogwarkę się wdawać.

Ale baby zatrzymały się przed nią i Powroźniczka pyta urągliwie:

— A cóże to, Kosowa, niesiecie? Swoje dziecko, czy to drugie, co wam chłop znowu do karmienia przyniósł?

— Ha! ha! — zaśmiała się Wadaska w boki się biorąc — a może wnetki przyniesie wam trzecie, cobyście już wszyćkie znajdy z całej parafiji karmili...

— Na gromadzką mamkę was wyrychtuje... warknęła Powroźniczka.

A Wadaska:

— Nie na gromadzką, na parafialną ze wszyćkich trzech wsiów... Ale to chłop łajdus i hycel ostatni! Takiego ino na suchej gałęzi obwiesić!...

Józia zbladła, a za moment poczerwieniała, że zdało się, krew ją zaleje. Gorący jankór wzion podnosić się jej w piersi i obejmować gło-

wę jak płomień... Gdy zaś Powroźniczka jeszcze dorzuciła:

— Świntuch jucha, knur zatracony!... — jak Józia w ten moment nie przyskoczy ku babom, jak nie zawrzaśnie, aże się na pół wsi rozległo:

— A cholery, a psie krwie! Mój la was łajdus i świntuch i taki i taki?... A bez co?... Bo chłop jest jak się patrzy: robotny, ućciwy, a urodny, przyścipny, jakiego szukać drugiego... I dziewki se ślepia za nim wypatrują, a na waszych niedorajdów, kaprawców i zdechłych gizdoków to ani kulawa suka nie poźry!... A możebyście same były mu rade?... O, pewnikiem i jeszcze jak... ale nie la was takie dobrości i delicyje!... Niedoczkanie wasze, stare pokraki, czarownice juchy!... Tfy!...

Baby, co się takiego zapamiętałego zwołania od spokojnej kobiety nie spodziały, ozwarły ino gęby, do cna ogłupiałe i na dobre pół pacierza oniemiały. Józia tymczasem splunąwszy im pod nogi, odwróciła się i prędko ku chałupie poszła.

Ale długo jeszcze uspokoić się nie mogła.

— Oćwiary, psie dusze... — mówiła do siebie okrutnie roztrzęsiona — mego Kuby będą się czepiać, będą go jak ostatniego wyzywać — patrzajcie: *takiego chłopa!...*

CHAŁUPA „NA KRZYWDZIE“

Do Palucha do Maćka mówiło się w Paździorach — „na pustkę", do Stachury do Szymka — „na załęże", a do Gąsiora do Tomka „na krzywdę". Gąsior siedział na krzywdzie.

Nikto dzisia nie dochodził, bez co tak jego chałupę i obejście ludzie wsiowi przezwali. Osłuchali się z tem, bo tak gadali ojce, tak za ojcami dzieci. Kiejniekiej ino stary kościelny Pacuła mawiał, że przede wielu rokami, jak okrutny mór Paździory nawiedził i naród padał, by te muchy na jesieni, siedział na tem miejscu Wicherek, wsiowy szewc, ale jednego dnia z babą na cholerę pomar i dwie małe dzieuchy przez opieki i przez nijakich krewniaków ostawił. Opiekuństwo od rządu w mieście dostał Grzela Gąsior, matacz i łapigrosz groszy od żyda. On to dzieuchy Wicherkowe, skoro podrosły, z chałupy i gruntu tak galanto wykwitował, że we wsi już‑e co robić nie miały. Mówili ludzie, że kajsi służbami chodzą, insi, że do Hameryki za chlebem wywędrowały. Na pewne niewiada było, co się ś-niemi stało. Przepadły we świecie do imentu.

Skoro się ich na dobre pozbył, Gąsior swoją starą chałupę przedał i do Wicherkowej się przeniósł. Krzywdę juści o pomstę do nieba wołającą sierotom zrobił — i na krzywdzie ich osiadł.

Chałupa strzechą kryta, bielona, z jednem zastroniem stała za rozległem pastwiskiem gminnem. Stała sama jedna z obejściem, wiklinowym płotem ogrodzonem. Sąsiada nijakiego pobok nie było.

Gąsiorowi Grzeli do samej śmierci wiedło się niezgorzej. Ale już syn jego Pieter, osiadłszy „na krzywdzie", jął kapać. Nic mu, czego się chycił nie szło. Dziecek ino rodziło się moc, ale też wnetki toto na mogiłki musiał wynosić. Marły nie wiedzieć z czego. Z jedenaściorga ostało trzy: najstarszy syn Tomek i dwie dzieuchy: Rózga i Nastka. Do tego Gąsior Pieter pijał na umór. Skoro mu się najmłodszy urodził, i on i kumoter i kumoska i babka poszli na chrzest tacy ochlani, że nijak przybaczyć se nie mogli, jakie imię chłopakowi nadać. Na ostatek powiedzieli księdzu: Tomek. I ksiądz ochrzcił na Tomka. Po chrzcie wstąpili jeszcze do karczmy, do Mośka i galanto se poprawili.

Chora jeszcze Gąsiorka Pietrkowa mało z wyrka nie spadła, skoro jej kumoszka Kuciowa — od której jechała gorzałka jak z kufy — oznajmiła, że dziecku dali Tomek.

— La Boga! — załamała ręce — dyć mawa juże Tomka, najstarszego! Wnetki ś-niego będzie parobek! Cóże to ociec nie wiedział, że ma Tomka?!

— Dejcie pokój, kumosiu — zabaczył...

— Juści, ochlany jucha, na amen o wszyćkiem zabaczył!

I chciała go w te razy zwymyślać i piekło jak się patrzy zrobić, ale chłopa na izbie nie było.

— Pewnikiem ostał u Mośka, i pod ławą hań śpi... Ale skoro przyńdzie, musi duchem do jegomościa lecieć, coby mętrykę poprawił na Jaśka.

Ale ani tego dnia, ani na drugi dzień rano chłop nie wrócił.

Dopiero kole połednia ludzie przynieśli do chałupy Pietrka Gąsiora. Już nie żył. Siny był, obrzękły, cały wodą ociekał.

Znaleźli go w rowie przy pastwisku.

Wszyscy pijani wracając do dom ani nie zbaczyli, kiej, idąc pewnikiem ostatni, zatoczył się do głębokiego rowu z wodą — bo deszcze wtedy ciągiem szły — a że ruchać się juści skróś sielnego zamroczenia gorzałką nie mógł, do krzty w tej wodzie, gębą na dół padłszy, doszedł.

Za ojcem w parę niedziel maluśki Tomek, skróś jakiejś dziecińskiej chorości, na mogiłki wywędrował — ostał starszy Tomek i ten na ojcowiźnie, „na krzywdzie" w Paździorach siedział.

Skoro z wojska wyszedł, juści za babą jął się oglądać. Ale że do bogatej dziewki nie było sposobu się przyżenić, chudobną wzion — i bieda ich żarła z początku, aże hej!

Dopiero kiej do handlarzy świń przystał, zaczęło przybywać chleba w chałupie, a Tomkowa i krowinę i dwa wieprzki wydoliła przychować.

* *
*

Ze świniami, z podbijaniem cen na jarmarkach Tomkowi Gąsiorowi niezgorzej szło — ale na dzieckach mu Pan Jezus nie błogosławił. Nie marły, ale wolałby był ojciec w maleńkości je pochować. Dobrze, że dwie dzieuchy wyprawił do miasta na służbę, bo już we wsi, że to ladajakie życie wiedły, ludzie je palcami wytykali i ksiądz z ambony wywoływał, ale ostał mu najmłodszy Szymek, od maleńkości odmieniec i zdyb, niech ręka boska broni i najstarsza Marysia, co szyła babom we wsi. Że to dobrze zarabiała, harna była la ojców, kąśliwa jak osa, piekielnica.

Ale najgorsza udręka była ze Szymkiem. Na dzikiego wilka toto rosło, nie na chrześcijana, na człeka na obraz i podobieństwo boskie stworzonego. Nadarmo matka dawała na msze do Przemienienia Pańskiego, nadarmo ojciec do pół śmierci małego zdyba bijał. Cudowali się ludzie

odmieńcowi, bo takiego jeszcze nikto we wsi nie uświadczył, żadna kobieta takiego na świat nie wydała. Chude to było — skóra i kości — czarne na ciele, a kwarde — rety — co nijak dobić tego rodzice, choćby i chcieli, nie wydolili.

Czarne jego, kiej węgielki, maluśkie a jakiesi zwierzęce nie ludzkie ślepia ino wypatrowały, kajby komu, ojcu, matce, czy obcemu, co do chałupy zaszedł, na despet nie zrobić. A skoro doma większą szkodę zrobił, tem bardziej się radował, choć i skatowany potem za psotę okrutnie. Drapieżna gadzina, prawy wilk — nie chłopak.

Nie było mu jeszcze roku, smykał się dopiero na czworakach, a już na zdyba patrzał. Skoro dorwał jakiego patyka, to najwięcej go cieszyło zajść z tyłu czy Marynę, czy matkę, czy ojca i prasnąć kiela miał sił, abo maluśkie kurczątko chycić i z całej siły zdusić. Raz gwóźdź zardzewiały skądeś wyciągnął i matce nim po gołej nodze przejechał, aże krew wytrysnęła.

Tera miał osiem roków; chudy był jak ten badyl na jesieni, śmigły i chybki w nogach, że go nikto nie uchycił, jak zrobiwszy jaką szkodę w chałupie, w pole gnał.

Chłop se zawdy z zuchwalcem synem radę da; od tego rzemień i ten nikiej nie zawiedzie. Najgorszy, jak go ociec do półśmierci spierze, spokornieje i psich figlów mu się odniechce.

Ale z Szymkiem rady nie było.

Tomek Gąsior nie ino rzemieniem, ale czem dopadł przez opamiętania prał, a chłopak-odmieniec skoro po takiem okrutnem skatowaniu się wyliże, jeszcze gorsze zbereżeństwa w chałupie robi, a odkazuje się, że na tem nie koniec.

Raz matka rozcięła sobie nogę na szkle i z owiniętą stopą ledwie po izbie się plątała. Ojciec, że to poniedziałek był, poszedł na jarmark, Maryna we wieś po robotę.

Naraz Szymek, co krowę z pastwiska już zegnał i pojadł se placka z serem, patrząc na utykającą matkę, rzeknie jej urągliwie:

— Kuśtyk, mama, kuśtyk, ha! ha! Nie da wam chodzić, co? Kuśtyk? Ale wnetki wy będziecie tańcować kole chałupy!

— E, daj Szymuś pokój, noga mnie okrutnie rwie, ot, spuchnięta cała... Cobym ta zaś tańcować kole chałupy miała? Siedź-że dziecko cicho, abo se w sadku legnij... słoneczko grzeje... Niechże warzę nastawię...

Szymek potrząsł przekornie czarną, kudłatą głową, zwierzęce ślepki mu się zajarzyły.

— A przy czem-że nastawicie? Kajże ogień? Dyć ja mam wszyćkie siarniki! Ha, ha... Toli patrzcie, mam w garści...

— Oddaj siarniki w te razy!... Nie myśl o despecie.

— Oddam wam, jak rak świśnie — juści!

I jak z procy wypadł z izby, stanął przy

otwartem okienku na oczach matki, potarł siarnik o portki i rzucił go na strzechę.

— Rety! — wrzasnęła kobieta, zapomniała o bólu w nodze, porwała konewkę i wyleciała przed chałupę.

Chlusnęła wodą na strzechę — szczęście, co się nie zajęła — a Szymek uskakuje kilka kroków, pociera drugi siarnik, potem trzeci, czwarty i rzuca toto na strzechę. Matka kulejąc, goni za nim, leje wodą tam, gdzie siarnik padł, a Szymek śmieje się całą gębą i cięgiem urąga:

— Kuśtyk, mama, kuśtyk... Widzicie, co musicie tańcować za mną kole chałupy, ha, ha!... O... jeszcze haw, jeszcze mama kuśtyk, kuśtyk, ha, ha, ha!...

Ustał, aż wszystkie siarniki rzucił na strzechę.

Łaska boska, że wtedy Gąsior Tomek nie pogorzał do znaku.

Wrócił wieczorem z jarmarku dobrze podpity i Szymkowi się upiekło, dopiero na drugi dzień porządne lanie rzemieniem mu sprawił, że chłopak bez trzy dni siednąć nie mógł.

Innym znów razem, Mosiek z karczmy, co i jajami handlował, przyszedł do chałupy na krzywdzie dwie kopy jaj kupować. Gąsiorka zaczyna mu w komorze jaja do koszyka rachować, — jakiesi lekuśkie. Patrzy, a tu w każdej skorupce dwie dziurki na wylot i jajka puste do cna.

A Szymek stoi we drzwiach i śmieje się.

— Siła śrybła weźmiecie mama za jajka!!! Ha, ha!

I w ten moment pognał z chałupy, ino mu czarne pięty migały.

Do komory, przykrytej deskami, zdyb się bez strych spuszczał i przez parę dni tak ładnie matce dwie kopy jaj oporządził. Smyślny był — niema co rzec!

Za tę despetę, to skoro na noc do dom wrócił, ojciec, co się na niego w sieni za drzwiami zaczaił, prasnął nim w izbie o ziem, kolanem przygniótł i kwardą pięścią zgrzmocił caluśkiego ode łba aże do kolan, a matka i Maryna waliły też przytem od siebie ile wlez'e.

Potem go na pole wyżenęli i chałupę zaparli. choć była zimna, marcowa noc.

Nie przemarzł, chrzypota się go nie chyciła, od zimna nawet rychlej skrzepnął. Jak psa rano odegnali z przed chałupy i bez dwa dni nie dali jeść. U kościelnego Pacuły cały ser ukradł i tak se z głodem poradził.

Najgorzej to mu się przytrafiło raz z małemi, zielonemi gruszkami. Gąsior miał kilka szczepek przed chałupą i bardzo kole tego chodził. Skoro pierwszy raz obrodziły, idąc na jarmark, srogo chłopakowi przygroził, aby, broń Boże, zielonych gruszek nie tykał, boby się małe drzewiny do krzty zmarnowały i więcej nie rodziły.

Ale nie byłby Szymek Szymkiem, gdyby rodzica posłuchał i na uwziątek mu nie zrobił.

Jak ino stary zniknął z prosiakiem na gościńcu, w te razy zdyb wszystkie gruszki poobrywał, choć nieźrałe były, zeżarł i jeszcze gałązki połamał.

Tomek Gąsior na jarmarku jenteres dobry zrobił i dopiero późną nocą sielnie podpity, ledwie na nogach się trzymając, wrócił. Ale skoro rano wytrzeźwiony poźrał bez okno, poczerwieniał na gębie jak jędór, zaklął straszliwie, i rzucił się szukać Szymka.

Juści go nie znalazł; o świcie zdyb uciekł z chałupy. Nie wrócił aże na trzeci dzień przed nocą. Ojciec mełł właśnie na żarnach, gdy chłopak czarny, kudłaty łeb we drzwi wetknął. Gąsior w te razy, nikiej ten kot na mysz, na niego skoczył, za kudły wewlókł do izby i ciężką żarnówką, którą miał w drugiej garści, tak go wziął okładać po plecach, ramionach, krzyżach, kaj wytrefiło, aże Szymek wrzeszczeć ustał, zaniemówił do znaku, posiniał i zwalił się jak martwy na czarną polepę izby...

Ale go nie dobił. Nie porada było. Kamień był nie chłopak. Za dwie niedziele się wylizał.

I chował się dalej na utrapienie rodziców i obrazę boską.

Takie było to nasienie Gąsiorowe, co się od

pradziada Grzeli Gąsiora, któren na Wicherkowej krzywdzie osiadł, wywiedło.

* *
*

Maryna, co babom we wsi szywała, miała już kole trzydziestki. Podobnie jak najmłodszy brat Szymek, chuda była i śniada na gębie. Jedno czarne ślepie leciało jej w bok. Do krzty świdrowata. „Sucha Jewa" ją przezywali.

Żaden parobek przódzi a tera i gdowiec jej nie chciał, choć dobrze szyciem zarabiała, bo każdego chłopa cosi od tej dziewki odrzucało. Nadarmo się stroiła, nadarmo coraz nowe kiecki i gorsety na sumę do kościoła brała a do chłopów suszyła białe zęby — stronili od niej jak od zapowietrzonej. Baby ino przyjacielstwo ś-nią trzymały skróś kiecek, katanek, gorsetów i haftowanych koszul, co im je szywała.

Djabeł w niej siedział — takusieńki jak w Szymku.

A wylazł ś-niej bestyja cały, skoro raz latem zjechała do Gąsiorów z miasta biedna sierota przez ojca, jakasi ich krewniaczka. Było jej Jadwisia, z dwanaście roków miała, do szkoły chodziła. Maryna ją zaprosiła na „wakacje", będąc na wiesnę w mieście na odpuście. Obiecywała dobre jadło, mleko prosto od krowy, ino Jadwisiną matkę prosiła, coby jej dziewczynka kiejniebądź

w szyciu dospomogła — ot, z godzinkę na dzień, że to Jadwisia, choć taka młoda, dobrze już szyć umiała, nauczywszy się od matki.

Biedna kobieta się zgodziła, nawet Marynie dziękowała, bo w lesie skróś wyjazdu znajomych państwa do kąpiel, dużo zarobków postradała, i rada była, mając kilkoro jeszcze drobiazgu, że najstarszej córki bez dwa miesiące żywić nie będzie, a dziewczyna się na wsi na świeżem powietrzu skrzepi.

Ale na wolej skórze by nie spisał, jakie to „wakacje" Maryna Jadwisi zgotowała.

Zaczęło się odrazu, od pierwszego dnia. Przyjechała w piątek na odwieczerz. Dzień był cudny, lipcowy, powietrze czyste, pachnące. Chciała Jadwisia wyjść na słoneczko, na przyzbę, pojrzeć na błonia zielone, pola z rozkołysanemi zbożami, pełnemi maków i bławatów, przejść się miedzą pod najbliższą dziką gruszę — odetchnąć swobodnie, uradować się wsią.

Ale Maryna ani na krok jej z izby nie wypuściła.

— Jadwiś, mojaśty — rzekła do niej po przywitaniu — skrajałam sukienczynę la Pyrzówny la Nastki, bier się dziecko duchem do szycia, bo na niedzielę musi być gotowa.

I w dusznej izbie, przy kopcącej lampce, pracowała Jadwisia tego dnia coś do dziesiątej.

Rano dziewczynka spała w najlepsze, a Maryna jak nie zawrzaśnie jej nad głową:

— Jadwiś, a wstajaj dzieucho, wstajaj, dy już słonko wysoko, ociec i matka w polu, ja też muszę w te razy we wieś... A kończ sukienkę la Pyrzówny...

Dojadła śniadania, otarła gębę, Jadwisi nic nie zostawiła i wyleciała z chałupy.

Dziewczę niewyspane, głodne, ogarnęło się, spojrzało na zegar z porcelanową tarczą o jednej wadze wiszący koło komina — było pół do szóstej.

Westchnęła ciężko i wzięła się do szycia.

Że to była właśnie sobota, więc tak jak poprzedniego dnia Maryna zasadziła wieczorem dziewczynkę po całodziennej pracy do dalszej roboty.

Wszyscy powieczerzali, Szymek oberwał w stodole okrutne rżnięcie od ojca za jakąś despetę, Tomek z babą poszli legnąć do drugiej izby, cicha noc letnia wytoczyła się na niebo, a świdrowata dziewka trzyma i trzyma Jadwisię przy szyciu. Lampka naftowa kopci, godzina idzie za godziną, a Maryna zajęta swoją robotą ani nie piśnie, coby dziewczynka szycie położyła i spać poszła.

Nareszcie Jadwisia, choć potulna i nieśmiała była, podnosząc ciemną głowinę z nad jakiejś

krasej zapaski — poziera miłosiernie na świdrowatą i obzywa się cichuśko:

— Maryś, możebyśmy spać poszły... Już dawno po północy...

Maryna się żachnęła.

— E, spaćbyś ta juże szła... Naśpisz się zadość bez niedzielę... A nie widzisz, co haw leży jeszcze roboty?!... Wszyćko muszę jutro gospodyniom pooddawać...

— Kiedy już ani patrzeć nie mogę... Oczy mi się same zamykają...

— E, to nic... Wnetki ci się ozewrą...

I w te razy skoczyła ku konewce, nabrała wody do garnuszka, z garnuszka do gęby i prysnęła dziewczynce w twarz.

Sierota zerwała się z ławy, zakrzyknęła przerażona i zaczęła chustęczką lica i szyję ocierać.

A Maryna w śmiech.

— A widzisz, pomogło ci dokumentnie! Tera ci już ślepia nie będą się kleić... No, raźno bier się dalej do szycia... Czas leci...

Odtąd przez każdą noc z soboty na niedzielę Jadwisia musiała do białego rana z świdrowatą szyć. A skoro ino Maryna zbaczyła, że dziewczynce oczy się kleją i głowina opada, pryskała jej w twarz wodą, raz, drugi i trzeci, aże Jadwisi do krzty spać się odniechciało.

Biedactwo cicho znosiło swoją dolę na tych obiecanych „wakacjach", co to wypocząć miała

na wsi u krewnych, wyleżeć się na słonku, nałykać się do syta czystego powietrza z pól i łąk. Do matki nie uskarżyła się w liście ani razu. Wiedziała, jaka u niej nędza i że biedna troje jeszcze ma do wyżywienia.

Z temi bezsennemi nocami toby się jakoś pogodziła. Wezwyczaiła się nawet do tego przesiadywania przy igle do niedzielnego ranka. Ale głód jej doskwierał nie do strzymania. Maryna choć prefit miała z jej roboty, zawdy zabaczała dać dziewczynce śniadania. Juści Jadwisia, że to słabowita była, spała rano dłużej od domowników, a skoro ci pośniadali i poszli w pole, nic juże dla niej nie ostawało, ino szycie, zawdy przódzi narządzone.

Kiej zdołało toto wybiec z chałupy a zdybało którą gospodynię, to kobieta, widząc mizerne dziewczę miejskie z Gąsiorowej chałupy, zawdy czy placka, czy podpłomyka kawałek — co ta przy sobie miała — sierocie wetknęła.

Ale rzadko się to przytrafiało.

Raz Jadwisia ocknęła się bardzo późno, bo koło ósmej godziny z ciężką, bolącą głową. Tomek z babą byli w polu,, Szymek na pastwisku, Maryna nie zbudziła jej jak zwykle, bo roboty właśnie dla niej zgotowionej nie miała i poszła na chałupy, zamknąwszy dom na kłódkę.

Zwlekło się dziewczę z wyrka, zmówiło pacierz, ogarnęło. Zagląda do jednego garnka na

kominie, do drugiego — niczego do jedzenia niema. Co uwarzyli, to zjedli i poszli. W izbie ani kawałka placka, ani podpłomyka, w kobiałce ani jednego ziemniaka, coby go ugotować można — a komorę zamknęli.

Głód strasznie sierotę męczył. Koło połednia czarność już zachodziła jej na oczy, nogi się trzęsły, zdało się, padnie zemglona do cna. Wyszła na obejście oknem, ale żywego ducha w bliskości nie było, juści jak przy chałupie na odludziu, a pastuchy paśli na drugim końcu rozległego błonia. Ciągiem krzepiła się wodą z konewki, żeby dotrwać żywa, aże Tomkowie abo Maryna wrócą, ale nie pomagało: głowa rozbolała ją jak w jakiejś strasznej chorobie, w uszach szumiało, okrutny, głuchy ból skręcał wnętrzności.

Nakoniec koło pierwszej ujrzała wracającą Marynę. Gdy ta do drzwi dochodziła, zrozpaczona, spłakana, jęknęła przez okno:

— Maryś, bój się Boga, poszłaś i niceś mi nie zostawiła!...

Gdy Maryna na izbę weszła, Jadwisia zaczęła prosić:

— Daj-że mi choć jakiego placka kawałek, kroplę mleka... Padnę z głodu...

— Cobyś ta zaś z głodu padała! Zaczkaj, zaczkaj, w te razy zapalę, obiad zrychtuję. Dy i ociec z matką wnetki wrócą...

To mówiąc, wyjmuje z pod chustki bochenek chleba, ser i osełkę masła.

— Daj-że choć kawałek chleba tymczasem, wyciągnęła ręce Jadwisia, cała we łzach.

A Maryna poźry ino świdrem na udręczone dziecko i najspokojniej chowa chleb do skrzyni.

— Cie ją! Chleb byś jadła! — warknęła i wzięła się do skrobania ziemniaków — na połednie pojesz se ze wszyćkimi wraz, a tera choć haw, bier drugi kozik i skrob ze mną, będzie rychlej...

Nikto nie wejrzał na krzywdę sieroty, bo Tomkowa nie lepsza była od córki, a Tomka, co ino ciągiem o jenteresach świńskich myślał, co ta jakasi krewniaczka baby z miasta obchodziła.

Ino raz ujęła się za Jadwisią znajomka i kuma Gąsiorów Sikorzyna Magda i Marynie do żywego dopiekła.

Przyszła wczesnym rankiem skróś katanki, co jej Maryna jeszcze nie uszyła. Tomka i Tomkowej nie było, bo poszli do miasta, Szymek pognał krowę na pastwisko, a Maryna właśnie śniadała. Stały przed nią dwie miseczki: jedna z gorącą kaszą jaglaną, druga z śmietaną kwaśną. Gębę miała aże białą od gęstej śmietany, gdy pochwaliwszy Pana Boga, Sikorzyna wlazła na izbę. Jadwisia, że to bardzo wczas było, spała jeszcze.

— Maryna, a kajże moja katanka? Na kiejsi juże obiecowałaś i jeszcześ mi nie oddała... E, do

choroby z taką robotą — zaperzyła się z miejsca Sikorzyna, że to z natury popędliwa była.

— Będzie na połednie, będzie... Cóże się źlicie w te razy... Skrajana... zaraz dzieucha weźmie się do szycia...

— Dzieucha? Ta co haw śpi, co u was na wakacyjach?...

— A ino. Dy zawdy szyje ze mną...

— Płacisz jej za robotę?

— Nie... ale żywię, bo u jej matki bieda, aże piszczy, a do szkoły ją posyła. Na wyżywienie haw przyjechała.

— Nie bardzo widać po niej tego wyżywienia... Adyć leży, kiej mały umrzyk... biedota... skóra i kostecki...

— E, widzi się wam. Dobrze jej haw... u matki by tego nie miała...

Kumoszka przysiadła na ławie, a Maryna, dokończywszy śniadania i odstawiwszy na komin statki, jęła tarmosić Jadwisię i wrzeszczeć, coby w te razy wstawała.

— A daj-że dziecku spokój — obruszyła się Sikorzyna — niechże se śpi kiela chce, adyć na wypoczęcie przyjechała... Nie zwyczajna, jak my haw na wsi, zaraz raniuśko wstajać.

Jadwisia, która późno spać poszła, ledwie wydoliła się ocucić. Ciemne oczy miała podkrążone, policzki zapadłe, chudziutkie.

Skoro się ogarnęła i zmówiła pacierz, świdrowata w te razy do niej:

— Jadwiś, siadaj duchem do tej katanki i kończ, bo kumosce pilna...

Sikorzynę aże podrzuciło.

— Cóże to? Do roboty dziewczynę pędzisz, skoro ino wstała, a pośniadać jej nie dasz?...

— E, poje se później!... Będę palić na połednie...

A Sikorzyna, jak nie rozewrze gębę:

— Co? na połednie dasz jej jeść?! A kielaż to godzin do połednia, nie baczysz? Poźryj na zegar!... Ale sama toś se dokumentnie pojadła kaszy ze śmietaną... widziałam...

— A dy jej dam... może co najdę... — skrzywiła się Maryna.

Za chwilę postawiła na stole przed Jadwisią miseczkę zimnych ziemniaków, do których nalała trochę zimnego, zbieranego mleka.

Kumoszka spojrzała na to jadło, potem na świdrowatą.

— Cóżeś to dziecku dała?! — Dy ona w mieście u matki na rano zwyczajna garnuszek kawy abo ciepłego mleka, a nie zimne jałowe ziemniaki!... Adyć by pies tego nie chciał...

Przypomnienie miasta i matki przejęło dojmującym żalem dziewczynkę. Ukryła twarz w dłoniach i nie mogła z płaczu się utulić...

Sikorzyna zaczęła ją głaskać po ciemnej głowinie.

— Nie płacz, dziecko, nie płacz... przyślę ci dzisia podpłomyków bez mego Walka... Biedne to, zagłodzone, upracowane... A ciebie, Maryna, — zawrzasła do świdrowatej z zaiskrzonemi oczami — to jużе Pan Jezus nadgrodzi za tę sierotę... ty... ty... psia krew, ścierwo Gąsiorowe, ty dziedziczko na krzywdzie!... Biorę do dom katankę, kajindziej dam szyć... Nie chcę, coby łzy tego dziecka na moje obleczenie padały... Ty oćwiaro zatracona!... tfy!

Porwała katankę, plunęła jej pod nogi i wyleciała z chałupy.

* *
*

Miało się na odwieczerz skwarnego, sierpniowego dnia. Choć wrzesień był za pasem, gorąc prażył nikiej w lipcu. Żar z nieba leciał. Powietrze stało ciężkie, parne, nieruchome. Bydło na pastwisku nie chciało się imać trawy, raz wraz porykiwało niespokojnie i uciekało pod wierzby na skraju błoń rosnące, oganiając się od uprzykrzonych much.

Jadwisia z oczyma zaczerwienionemi po przepracowanej nocy (bo na ostatek, choć to nie było przed niedzielą, Maryna nastroiła jej szycia na całą noc), z węzełkiem w ręku wyszła z Gąsio-

rowej chałupy i wzięła się ku gościńcowi, co prowadził do niedalekiej od Paździorów stacji kolejowej.

Dziewczynce radość zalewała serce. Zdało się jej, że jest jak ten ptak wypuszczony z klatki. Skończyły się nareszcie te „wakacje" u Maryny, skończył się jej głód, praca nad siły i krzywda bezsennych nocy. Cieszyła się jak nigdy na powrót do domu, na powitanie matki, małych siostrzyczek, na ich ubogą izdebkę w suterenie.

Ani razu nie obejrzała się na Gąsiorowe obejście, gdzie wsparta o płot Maryna odprowadzała ją swemi złemi, świdrowatemi ślepiami.

Nie długo zresztą stała. Wnetki zniknęła w chałupie i okno i drzwi zawarła, bo gorąc okrutny parł się z pola do izby.

Po jakiejś godzinie wyszła, zamknęła drzwi na kłódkę, bo rodzice jeszcze z miasta nie wrócili, a Szymek był z krową na pastwisku i puściła się środkiem rozległego błonia, prosto ku obejściu Pacuły. Szła brać miarę Paculinie, trzeciej żonie starego kościelnego na nową krasą przyodziewę, materjał od niej zabrać i jąć się zaraz szycia, bo nie stara jeszcze kościelna ubrać się lubiła i chciała w nowym gorsecie i kiecce pokazać się w niedzielę na sumie.

— Cóże ta robi ta dziewczyna, wasza krewniaczka? Bez coś jej haw z sobą nie wzięna? —

zagadnął ją stary Pacuła, siedzący na przyzbie z fajką w zębach.

— E, już jej u nas niema... Poszła dzisia do koleje... z półtorej godziny jak poszła... Wakacyje się skończyły, do szkoły ją matka dalej posyła...

— To i szyć nie będzie z tobą wraz...

— E, co ta ona naszyła!...

— Różnie ludzie mówią — mruknął Pacuła jakby do siebie, odął wargi, pojrzał chmurnie na Marynę z pod siwych, krzaczastych brwi, splunął przed siebie i jął dalej pykać fajkę.

Za parę pacierzy, wziąwszy w izbie miarę Paculinie i pogadawszy z nią jeszcze we drzwiach o haftowanym gorsecie, jaki chciała mieć kościelna, z materją na nowe odzienie, wróciła Maryna błoniem do chałupy.

Ledwo, że doszła, bo upał doskwierał nie do strzymania. Powietrze robiło się coraz duszniejsze, kiejby w piecu piekarskim po wyjęciu chleba. Bydło zaczęło pastuchom uciekać do obór.

Wtem od zachodu niebo zmętniało, poszarzało i słońce schowało się za ciężką śrezogę niby szarą, wielgachną płachtę. Cichość zawisła nade wsią jakasi martwa, niesamowita. Ani listek nie drgnął na drzewinach, ani ptak nie obezwał się na gałęzi, ino chmara wron podniesła się skądeś z pól i poleciała ku borom. Naraz dołem, niziuśko przy samej ziemi dmuchnął mały wiate-

rek raz, drugi, trzeci, gałęzie jęły się chojdać, listki zatrzepotały, ale górą wzięły pędzić czarne, gęste chmurzyska i już za parę Zdrowasiek pół nieba przykryły.

Straszno zrobiło się nade światem. I znowu na moment przycichło. Zdało się, że wiater ustaje.

Wtedy kajś w dalekości zadudniło głucho, ciężko, kiejbyś wozem wielgachnym po drewnianym moście przejechał. Grzmoty szły od zachodu czemraz głośniejsze, czemraz bliższe, a błyskawice, jedna po drugiej, zapalały się na czarniawie chmur.

Burza szła na Paździory, wielka burza.

I uderzyła nagle, straszliwie. Wicher przeogromny, zdało się od ziem do nieba idący, rzucił się na wieś, pola, drzewiny, niby jakisi opętany, wściekły wielkolud, co ma sto nóg, sto rąk, wszyćko tratuje, łamie, wszyćkiem o ziem praska — a raduje się z tego piekielnik, a hasa, a obyrta się, a przytupuje, a śwista se na uciechę:

— Wiuu! wiuu!

A kiej świstać ustanie, to wyje jak ten pies nad umrzykiem, kwiczy jak wieprz, rży jak niesamowity czarny koń, co „złego" na grzbiecie w noce czarownic powietrzem nosi.

Tak i wtedy, czasu onej burzy w Paździorach wicher wył, rżał, świstał, łamał drzewa, młode i giętkie na ziem kładł, strzechy z chałup zdzie-

rał albo targał niemi wściekle, nikiej ten zły pies łachami proszalnego dziada, skoro go dopadnie.

Świat do cna omroczał i lunął deszcz, ale taki gruby i gęsty, jakby zły płanetnik całą wielgachną chmurę ozdarł naraz nade wsią, że już lało się nie kroplami, ale kiejby z tysiąca konewek.

A w tej okrutnej oćmie, co nade światem stanęła, wśród wycia i poświstów wichru, plusków nawałnicy, zapalały się raz wraz na wysokościach oślepiające ognie błyskawic i z hukiem kiejby stu harmat, z trzaskiem i łomotem okrutnym jęły prać w dół jasne-przejasne pierony. Rozszczepiały wysokie topole przy gościńcu, wierzby naokół pastwiska, grusze wśród pól, wpadały w staw.

Już żywej duszy dawno na pastwisku nie było. Pastuchy spędzili bydło, a najpierwszy Szymek przygnał krowę do obory, sam zaś, że to zdyb bał się burzy okrutnie, wlazł za piec i łapał zębami ze strachu.

Stary Pacuła, skoro burza nadchodziła, obszedł swą chałupę do trzech razy z dzwonkiem loretańskim, potem postawił w oknie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i zapaloną gromnicę, a gdy pierony biły we wieś, klęczał z babą przed świętymi obrazami i powtarzał:

— Jezu, miej miłosierdzie nad nami grzesznymi! Panie, bądź miłościw! Panie, bądź mi-

łościw!... (Odkąd żyję na świecie, tom takiego śturmu nie widział!...) Panie, bądź miłościw!...

I bił się w piersi, aże dudniło.

Tymczasem deszcz zaczął nacichać, od zachodu jęła rozszerzać się szerokim pasem czerwonawa jasność...

Podniósł się z klęczek stary kościelny i spojrzał w okno.

— Ustaje — rzekła kobieta.

— Ale pierony biły — rety! Juści w drzewa, dobrze, co nie w stodoły, w chałupy... Cała wieś by od ognia poszła.

Naraz zatoczył się w głąb izby tak gwałtownie, jakby go kto z całej mocy od okna odepchnął.

Zakrył dłonią twarz, bo oślepił go blask taki przeogromny, jakby ogniste niebo przed oczami mu się rozwarło. Straszliwa smuga ognia z nieopowiedzianym hukiem runęła w dół i w te razy chałupa na prost na drugim końcu błoń samotnie stojąca, bluzgnęła w górę szerokim słupem płomienia.

Nie wyrzekł ani słowa do żony. Przeżegnał się:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego — usiadł ciężko na ławie, podparł pięścią siwą głowę i ze dwa pacierze jakby nad czemś dokumentnie, bardzo dokumentnie medytował.

Wreszcie odwrócił się ku oknu, spojrzał na

pożar, podniósł oczy na święte obrazy na ścianie i wyrzekł zwolna, uroczyście:

— Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy... Gąsior Tomek gorzeje...

Po chwili dodał jakby do siebie:

— No i chałupie na krzywdzie przyszło po tylu rokach na koniec... Gąsiorów śmierć ominęła, bom ich widział, jak rano na jarmark szli i przed śturmem nie wydolili wrócić — ale Maryna, Szymek, krowa... wszyćko... wszyćko... do cna...

— E, może Maryna z Szymkiem ocaleli...

Potrząsł głową.

— Nie, nijak... Dybyśwa ich tera widzieli, jak graty z chałupy wynoszą, abo krowę wyprowadzają... Toli strzecha dopiero gorzeje... mogliby i wszyćko dobro z izb i krowę uratować... a poźryjno, nikogo przed chałupą...

I westchnąwszy, dodał:

— Dopust boski... Nie ucieckniesz przed nim człecze, nie...

Kobieta pokiwała nabożnie głową, zasumowała się.

— Juści, sprawiedliwie powiadacie... Dopust boski...

Znowu zasumowała się na moment, lecz wnet zerwała się z miejsca, gdzie stała i przerażona plasnęła w ręce:

— Rety, to już i po moim nowym gorsecie! A takem się na niego wykosztowała!...

Na niebie jeszcze przetaczały się cieżkie dudnienia grzmotów, deszcz coraz drobniejszy chlupotał przed chałupami. Burza przechodziła. Wtem od strony kościoła ozwał się głos dzwonu. Miarowe, jękliwe dźwięki leciały nade wsią, jakby raz po raz powtarzając:

— Go-re! go-re! Ra-tujcie!

Ale chłopy z osękami nie puścili się błoniem ku palącej się chałupie. Gospodarze z kobietami stali na obejściach, pozierali na ogień i uradzali ino o strasznym pieronie, co — dziękować Panu Jezusowi — wieś całą, gęsto obsiadłą ominął, tylo w chałupę na krzywdzie trefił.

Nadarmo cięgiem dzwon dzwonił, i zdało się, na rany boskie zaklinał, wołał, jak kiejniebądź pleban z ambony:

— Ludzie! Dy pospieszajcie! Ratujcie! Go-re! go-re! go-re!

Nie usłuchnął go nikt. Ino kilka pastuchów pognało bez mokre, miejscami do krzty wodą zalane błonie pojrzyć zbliska, co się hań stało z Szymkiem i Maryną, bo chłopak wegnał krowę i w chałupie ostał, a Marynę widzieli, jak od Pacułów do dom szła.

— Bez co też jegomość kazali we dzwon bić, dziwowały się kumy, wzruszali ramionami gospodarze... Adyć wiadomo, co ognia od pierona

ręka ludzka nie zmoże, pali się on zawdy, nawet wśród najokrutniejszej ulewy... I grzech nawet gasić to, co sam Pan Bóg zapalił...

A chałupa na krzywdzie samotna, daleka, na oczach całej wsi dopalała się zwolna. Raz wraz strzelały w górę to z jednego to z drugiego końca nowe słupy płomieni, buchały nowe snopy iskier. Czerwone jęzory ognia przelatywały po coraz to niższych belkach, a wiatr rozwłóczył po błoniu ciemne, kłębiaste dymy ni to Kainową ochfiarę. Ciężkie, poupalane stragarze z pułapu z głuchym hukiem waliły się do izb, rozlewając wewnątrz nowe strumienie ognia...

Przed wieczorem zgorzała do imentu. Ino czarny komin sterczał w pośrodku pogorzeliska...

JAK JEZUS MALEŃKI WE ŚWIĘTĄ WILIJĘ DUSZĘ LUDZKĄ ZBAWIŁ

Córce mojej Maryli.

Jakisi inakszy w Zbylicach widział się ten dzień. Cichość panowała kole chałup, na obejściach i w izbach nie słyszało się zwyczajnych rannych poswarek, jankórów i wymyślań na parobków, dziewki, abo własne dziecka domowe, co juże ojcom w robocie dospomagają.

Nie dziwota: była to święta wilija, a w ten dzień naród wsiowy strzeże się wszelakich pomstowań, coby ano bez cały rok potem nie swarzyli się ludzie w chałupach.

I u Szczepana Kumali spokój był i zgoda od świtania, choć w ciasnej chałupie dosyć gnieździło się famieliji: i Szczepanka Kumalina z pięćdziesiąt roków mająca, jego baba, zawdy pyskata i nagła kiej ogień, i Jan, syn gospodarza z młodą jeszcze babą, co dopiero rodzić poczynała i miała na początek dwuroczne bliźnięta Baśkę i Jantosia, a tera i maluśkiego Bartusia, któren od siedmi niedziel dopiero w kolebce wrzeszczał. Były też trzy niewydane jeszcze, choć dostałe dzieuchy Szczepanowe i babka stara, gdowa po

Kumali Łukaszu, Szczepanowa matka, rachująca se od paru roków wyżej osiemdziesiątki.

Gnietło się toto wszyćko w dwóch niedużych izbach, a od dawna juże babka skróś braku kąta sipiała czy lato czy zima w krówskiej oborze.

Szczepan Kumala, że to pazurami grontu i majątku się trzymał i chłop był nieużyczliwy, toć i żeniatemu Janowi nijakich morgów za żywobycia dać nie chciał, skróś tego ten nie miał się kaj pobudować i z babą i z dzieckami u ojców siedział. A że się Janowa jęna galanto prawie co półtora roku rozsypywać, i coraz ciaśniej było w izbach, Szczepan synowi radził, coby chcący chałupę se wystawić, do Hameryki na zarobek pojechał.

— Jasiek — przemawiał kiej niekiej do niego — a dyć zrób jak Ryjek i choć na dwa, trzy roki pojedź. Będziesz miał za co się pobudować, a ziemia po mnie ci nie przepadnie. Dy i Ryjek chłop młody, babę i dziecka ma, a wywędrował...

A Jan na to skrobał się ino w głowę i mówił:

— Ryjek pojechał, pieniądze babie posyła skróś onego kawałka słodkiej łąki kole stawu, ale o kupnie ani słychu, a u Ryjkowej sielnie juże cosi się znaczy choć od dwóch roków chłopa w chałupie niema...

— Nie pleć byle czego... Dy twoja Weronka nie taka...

— Juści nie taka, panie ojcze, ale djabeł nie śpi, a strzeżonego Pan Bóg strzeże...

I tak było zawdy. Szczepanowi chodziło, coby już nie ciżbili się w chałupie z synem, jego babą i dzieckami, a Jan bał się o swoją Weronkę.

Z babką Łukaszową, kiej jeszcze moc w kościach miała i sama jakosi wydoliła pół morgi, co jej nieboszczyk na dożywotek zapisał, obrobić, siła też było swarów i jankoru, coby z izby do obory ustąpiła.

Stara wytrząsała synowi pięścią pod same ślepia, a odkazywała się, że w destamencie zapisane stoi la niej nie ino te pół morgi na dożywotek, ale i kąt w izbie i okrycie i wyżywienie. Dzień na dzień były u Kumalów pomstowania, a najbardziej to Szczepanowa oździerała się na obejściu i wyklinała matkę, że co lepsi ludzie w Zbylicach pluli na to. Bez długie roki taka wojna była z Łukaszową.

Ale skoro ją starość, nikiej mocarna łapa wielkoluda, przycisła, zgarbione plecy i głowę trzęsącą do ziem pochyliła — Łukaszowa i te pół morgi synowi puściła, przyodziewy nijakiej się nie domagała, że w łachmanach ostała, i do obory się cicho wyniesła.

A im bardziej się jej głowa w dół kłoniła, co już jej podnieść nie mogła, ino w pół złamana, staremi, wyblakłemi ślepiami tylko co w ziem patrzeć mogła — tem-ci była cichsza, ustępliwsza,

o nijakim dożywotku synowi nie spominała, ino siedząc na przyzbie latem, a w oborze na swoim barłogu zimą, i ciężko wzdychając, bezzębnemi wargami całe różańce i przeróżne modlitwy do Pana Jezusa, Panienki Najświętszej i Świętych Patronów odmawiała.

Odtąd też nikto, nawet najzawziętsza Szczepanowa, na babkę nie pomstował, ino stało się, jakby jej wcale doma nie było. Kiej połedniowali wszyscy, a babka się kajsi zapodziała, nikto jej do misy nie zwoływał, nikto nie pytał rano, czy pośniadała. Powoli w chałupie zabaczali, że babka jeszcze żywie.

Szły roki za rokami, a starowina nikomu nie gawędząc, żyła i żyła, choć coraz bardziej maluśka, coraz bardziej w dół pochylona, a sucheńka, nikiej ten krzywy kijaszek, którym się podpierała.

* *
*

Jak zawdy, tak i w tę świętą wiliję u Kumalów nikto za babką się nie obglądnął, o babkę nie spytał.

Bo i roboty moc było w chałupie od samego rana. Szczepanowa wzięła się do rozczyniania ciasta na kołaczce, Jagna ucierała w donicy mak do klusków, starsze dzieuchy Nastka i Hanka, choć mrozik przyparzał, wynosiły drewniane

statki na obejście i szorowały toto czerwonemi rękami, Szczepan chałupę od gościńca bielił, a Jan na klepisku w stodole rżnął sieczkę la krów na święta, potem zasię wziął się do wideł i galanto z nawozu oborę wyporządził.

Choć od obejścia Kumalów do starego, drewnianego zbylickiego kościółka było obdalno, w te razy po udoju, jeszcze po ciemku babka wywlokła się o kiju i choć powolusku lazła, akurat na mszę świętą trefiła. Słabość jakasi drógą ją brała, ale do Pana Jezusa ją ciągło i duchem wysłuchać się we świętą wiliję chciała.

Wróciła do chałupy kole połednia. Wyjmowała z pieca pod ten czas gospodyni pieczone ziemniaki, co je razem z kołaczami wsadziła. Wszyscy po nie, jedno bez drugie, sięgali i że to od rana kwardo suszyli, łakomie, posypując solą a dmuchając głośno, pojadali. Nie przeciwił się nikto, że starowina, parząc się w wargi, parę ziemniaków zjadła.

Gdy ostatni kawałek przełknęła, ozwała się do Szczepanowej:

— Wiecie, synowo, dospomógł mi Pan Bóg dzisia do kościoła dojść... Wysłuchałam się, Pana Jezusa przyjenam... Takem rada, moiściewy...

Szczepanowej nie było juści w głowie słuchać co ta babka gwarzą, bo poźrała właśnie Jagnie w donicę i jak nie krzyknie na dzieuchę:

— Takeś to utarła, niedojdo? Przyłóż mi się w te razy do tego tarcia, jak się patrzy, coby mak mleko puścił!...

A babka, że to zdrożona była i ustać dłużej na starych nogach nie bardzo mogła, wysunęła się do obory legnąć se w spokoju i czekać, aże pierwsza gwiazdka zaświeci.

* *
*

Wróciła do izby, gdy stół był już białą płachtą nakryty, dymiła na nim miska z zupą z grzybów, a Jan łamał się opłatkiem z ojcem, któren mu Hameryki kóli pobudowania chałupy serdecznie więszował.

Stanęła kole drzwi na kiju wsparta, z trudem podniesła ociupinę swą, na moc złamaną w dół głowę i jasnemi, prawie wesołemi oczyma pozierała na ten stół wigilijny, na snopy żyta w kątach izby, na starego syna, synową, żeniatego wnęka, źrałe dzieuchy-wnęcki i maluśkie prawnęcki, co se rączkami pokazywały zawieszony u pułapu sadek z czerwonemi jabłuszkami i „światy" z kolorowych opłatków.

— A babka, toście haw — obejrzała się na nią Nastka — siednijcie wele mnie, pojedzcie...

I choć opłatkiem nikto się ś-nią nie łamał, ozwała się do wnęcki:

— Niech ci, Nastuś, Pan Jezus szczęści w tym roku, cobyś się dobrze wydała... I niech wam wszyćkim szczęści...

— Dobrze babko, dobrze — mruknęła dzieucha — ino biercie łyżkę, posmakujcie... grzybki haw pływają...

Po zupie przyszły kluski z makiem, potem kasza ze śliwkami. Mało co wszyscy mówili, ino pilnie sięgali do misy i każden rzetelnie pojadał, że to w jadwienty wyposzczony był, a w wiliję ino mało niewiele ziemniaków pieczonych i chleba skubnął.

Łukaszowa siedziała cichuśko, ciągiem wesoło na tę swoją famieliję poglądając. Jadła mało, wreszcie odłożyła łyżkę, cosi pomamrotała i jęła ją śpiączka brać. Zachrapała nawet, ale ocknęła się wnetki, podniesła się z ławy i rzekła do Nastki:

— No, ja już idę... Ostajcie z Bogiem... Niech wam Jezusiczek maluśki, co się dzisia o północku narodzi, da wszyćko dobre...

Jęła już sunąć się kole ściany ku drzwiom, lecz naraz wróciła, podeszła do Szczepana, stanęła przed nim — ot, taki w ziem nachylony, nędzny węzełek ludzki — i nie bacząc, że odwrócony był do syna, ozwała się tak głośno, jak już dawno do nikogo nie mówiła:

— Szczepuś, a ty juże nie miej złości do mnie, com kiejsi prawowała się z tobą o te pół morgi...

com na ciebie pomstowała... Odpuść... a Pan Jezus i tobie wszyćko odpuści... I wy, synowo, nie krzywdujcie se... odpuście... A tera ostajcie z Bogiem...

Szczepan kiwnął głową, ale nie odrzekł nic, bo właśnie gorzałką do Jana przepił, do tej Hameryki go jeszcze śląc, a starowina powlekła się do drzwi.

Za moment Szczepanowa wstała z ławy, wychyliła głowę do sieni i zakrzyknęła za nią:

— Babka, a zawrzyjcie ta dobrze oborę, coby bydło nie marzło, bo na polu ziąb!...

* *
*

Skoro ino Łukaszowa legła na swym barłogu w oborze, wnetki, wśród pierwszego Ojczenasza usnęła. Przyśpiła się na krótko, ale spała kwardo, chrapała sielnie. Naraz ocyka się, przeciera oczy, z ciężkiem stękaniem się dźwiga, ogląda się dookoła...

— Jezusiczku malusieńki, przenoświętszy, kajześ się podział?... Tom Cię dopieruśko miała haw na ręcach... Przyszedłeś do mnie grzysznej...

Ale w te razy z sił opadnięta, osuwa się z powrotem na słomę, lecz gwarzy se dalej cichuśko, kiejby śniąc:

— Jako-że to było?... Ni to stajenka betlejemska, ni nasz drewniany kościółek... Kaj wiel-

gi ontarz, tam jasność okrutna, że to niby Pan Jezus najsłodszy się narodził... A ludzie na kościele klęczą, biją się w piersi, jak podczas Podniesienia... Ktosi mówi: „Idzie już, idzie ku nam". Wszyscy usuwają się na boki... radość okrutna... płacz... strach... Da mi się poźryć: na prawdę sunie środkiem Jezus malusieńki, w białej sukience, jak na obrazie... Ktosi szepnął: „Stanął haw"... Wyciągam do niego ręce, głowy juści ze strachu nie podnosząc... a Jezusiczek malusieńkiemi nózeckami staje mi na nich... Widzę te nózecki bieluśkie... chylę się coby je całować...

I w słodkiem zachwyceniu, nie rozeznając sen-li to, czy jawa, nie czuje, że jakisi niesamowity ziąb chyta ją za nogi, lezie wyżej, za grzdykę cosi łapie... Widzi ino święte nózecki Jezusowe i ięgiem je, płacząc, całuje...

* *
*

W izbie Kumalów wieczerza się skończyła. Pojedli se wszyscy niezgorzej i podochocili. Ale choć Szczepanowej ciężko było z ławy wstać, że to ją jadło i gorzałka sielnie rozebrały, nie zabaczyła, że do doju czas.

— Nastka — zawołała na córkę — a nastrój duchem sieczkę la Łysuli. Bier cebrzyk, a naprzódzi wlej po ociupinie wszyćkiego, co z wiliji

ostało. A uwazuj, coby la Kwiaty i Czarnej, skoro im poniesiesz, jeszcze było...

Dzieucha zwinęła się raźno, a Szczepanowa z latarką, skopcem i skibkami chleba z opłatkiem la krów (jako że taki zwyczaj) wyszły na obejście.

Gdy do obory dochodziły blask latarki padł na wrota. Były niedomknięte.

— Znowu stara nie zawarła obory jak się patrzy... Bydło mi przemrozi... — warknęła gospodyni ze złością. — Jakby patrzała, coby nam robić na uwziątek!...

I wszedłszy do stajni w te razy zawołała:

— Babka, a bezcóżeście wrót nie zaparli? Co? Nie wiecie to, że zima? Nie słyszeliście, jakem za wami wołała?

Ale babka nie obezwała się nic.

— Cóże to? ogłuchliście?!...

Szczepanową porwał nagły jankór.

— Nawet słowa nie piśniecie? Takaście to zawzięta we świętą wiliję?!...

I choć dój miał się zacząć z drugiej strony stajni, od Łysuli, której Nastka postawiła już cebrzyk z omaszczoną sieczką, Szczepanowa w te razy rzuciła się w przeciwny kąt, do barłogu Łukaszowej i poświeciła jej w twarz latarką.

Babka leżała na bok ze złożonemi jak do modlitwy i przyciśniętemi do piersi rękami. Na licu roześmianem zamigotały nieobeschnięte łzy...

Niebieskie, wybladłe oczy miała ozwarte i przez miary szczęśliwe...

— Babka! babka! — zakrzyknęła jej nad samą głową gospodyni.

Ale już babka nie poźrała na nią, ani powieką nie ruszyła. Zapatrzona w jakiesi nieprzebyte dalekości ciągiem się uśmiechała...

KUMOTER JACENTY

Późny był odwieczerz jesienny, gdy Jacenty Mól wracał z miasta, z jarmarku. Na niebie już gwiazdy jęły się pokazywać. Szedł piechty, bo znajomkowie i swojacy z Olszyńca już do dom przejechali i nie miał się do kogo przysiąść. Popił z tym i owym w mieście u Federgrüna kóli oblania dobrego kupna krowy, do czego jako stary, mądry „przeliwacz" galanto dospomógł, toć nogi go nijak słuchać nie chciały i jakby na uwziątek ciągiem go na lewo, do przykopy niesły.

Nakoniec doszedł do wzgórka, skąd trza było spuścić się w dół, by do pierwszych chałup olszynieckich dojść.

Przystanął, pozierając markotnie z góry we wieś, tonącą w mrokach, poprawił sterczący mu pod pachą godny kawał kiełbasy i długocki bochen chleba (które zawdy dokumentnie z każdego jarmarku do chałupy przynosił) poskrobał się nad uchem pod czapką i mruknął do siebie:

— Z gó...górki tera, psia para...

Najgorzej zawdy szło mu się po jarmarku z tej górki. Zdradliwe było to miejsce. W zimie,

bywało, jak się na obcasie choć podkutym pośliźnie, to nieraz zjedzie na siedzącku abo na plecach w sam dół, ostawiając wyżej za sobą kiełbasę i chleb. Musiał potem po nie leźć pod górę na czworakach, coby zaś na śliskiej dródze nie rymnąć i nie skulać się znowu daremno.

Teraz, że było sucho lepiej mu się powiedło. Zahamować się nijak nie wydolił, bo w nogach po kilku półkwaterkach mocy juści nie miał, ale choć zdyszany i spocony w ciężkiej górnicy, jakosi szczęśliwie, raźno podnosząc kolana i lagą se pomagając, na dół zbiegł — a leciał tak duchem, jakby strzygoń, abo insze „złe" za nim goniło.

Gdy już w nizinie pierwszą we wsi chałupę Knurka Macieja mijał, zawrzasnął z obejścia Knurków Wojtek, gromadzki pastuch:

— Kumotrze Ja...Jacenty! A pro...prosto przed siebie, nie do przy...przykopy!

Nie dał na to nijakiego baczenia, kiejby do cna nie słyszał. Zwyczajny był tego, że smyki wsiowe lubiły tak za nim wołać skróś tego, co się zdziebko w mowie zacinał. Szedł dalej, sielnie dzierżąc pod pachą chleb i kiełbasę — a że zdradliwą spadzistość drogi minął i we swojej wsi się poczuł, ochota w nim wezbrała i zawiódł srogim basem:

Maryno ze dwora
chodźwa wraz na siano,

jak legniem z wieczora,
wstaniem se aż rano!
Da, dana!

Przystanął, zebrał do kupy plątające się grube nożyska w butach z cholewami, gibnął się w tył, gibnął się w przód — patrzy, u Lejzorka się świeci.

— Trza o...ociupinę spocząć... zmachanym setnie...

Kolebiąc się na boki, ciężko wylazł po ceglanych schodach do karczmy, dokumentnie ramieniem wytarł wybieloną sień, a że posłyszał w szynkowni babski śpiew, śpasów mu się zachciało.

Namacawszy klamkę i rozwarłszy drzwi, stanął w progu, podniósł z fantazyją rękę z swoją sękatą lagą i rozpoczął na nowo:

Maryno... ze dwora...

Ale stara Ciastońka, pijaczka i ladaco baba, z gębą jak burak czerwoną, obyrtając się właśnie na środku szynkowni, w ten moment pisklíwie go zakrzyczała:

Spadłam z wiśnie
naumyślnie
ozdarłam se
krasą kieckę
bardzo... smyślnie!...

Jedną ręką brała się pod bok, drugą śmignęła przed sobą, niby pokazując, kaj se to kieckę tak smyślnie ozdarła.

Chłopi siedzący wokół stołu w magierkach i baranicach przy półkwaterkach buchnęli grubym śmiechem, a Jacenty, przysiadając się do nich huknął:

— Nikto dzisia nie ciekaw, co ta pod kiecką macie... Żeby to dwaścia roków temu...

Widuch Szymon zaś, mały chudy chłopina, których u Lejzorka rad przesiadywał skróś baby latawicy, co choć ją rzetelnie bijał, że z parobkami się cięgiem zadawała, dorzucił:

— Abo trzydzieści...

I w te razy dodał, jakby do siebie:

— Psiach mać babskie nasienie... tfy!... — przyczem siarczyście splunął na środek izby.

A stary Grzdyka, co pijał na desperę skróś tego, co córka i zięć cięgiem mu łeb suszyli, coby im za żywota całe gospodarstwo puścił, skrzywił się jak po occie i rzekł:

— Tera to już nijakiej kuntentności by z tem nie było... prawda kumotrze Jacenty?...

Ale Ciastońka już setnie podpita, nie bacząc co chłopy mówią, pokazała ino w szerokim uśmiechu jeden jedyny ząb, co jej w gębie od góry sterczał, plasnęła się w udo i zawiedła:

W stawie ryby, w lesie grzyby,
na drzewie jabłka,

chodź-że do mnie pod pierzynę,
nie widzi matka!...
Hu, ha!...

Naraz drzwi się szeroko rozwarły, i nowy babski piskliwy głos wpadł do karczmy:

— Toś, pijaku, haw jeszcze zalazł? Małoś w mieście jak zawdy chlał? Wstajaj duchem i szuruj do chałupy!...

Tak wrzeszcząc, Magda Mólowa, Jacentego baba była już przy nim i brała ze stołu pod pachę chleb i kiełbasę.

Jacentego, skoro głos swej ślubnej posłyszał, jakby jakasi niesamowita siła z ławy podniesła...

Pojrzał na Magdę miłosiernie i oparłszy się rękami o stół, podniósł grzbiet i w te razy, choć ciężko, na nogi się dźwignął.

Cichuśko ino do baby przerzekł:

— Magduś, a... anim kapki gorzałki haw nie spr...spróbował... Nawet Lejzor ze swojej izby nie wyszedł... Wlazłem na mo...moment, coby se ociupinę odzipnąć...

— Odzipniesz doma... teraz dymaj do chałupy!...

Nim jednak Jacenty z babą, trzymającą go pod rękę, do drzwi doszli, Ciastońka za Magdą krzyknęła:

— Piekielnica! Jędzula zatracona! Oćwiara jucha!... A bez łeb ją kumotrze Jacenty, bez pysk!...

— Cichoj, pijacki tłuku! — odwrzasła jej Magda — bo jak się odwinę, to ci ten ostatni kieł z gęby wyleci!...

— Oćwiara!... Cholera baba, djabla mać!... leciało za odchodzącymi.

Chciała się Mólowa, że to nagła z przyrodzenia była, jeszcze ode drzwi wrócić, ale Jacenty pociągnął ją mocno ku sobie.

— Choć Magda... Będziesz się to z taką biła?!...

* *
*

Budzi się Jacenty rano, przeciera oczy garścią i rzeknie, jakby do siebie:

— Alem się bez...bezkurcyji nie dał!

— Cóże znowu pleciesz? Jeszcze ci ze łba gorzałka nie wywietrzała? — ofuknęła go Magda.

— Nie pl...pletę ja, nie pletę... Słychaj, jaką bó...bójkę miałem...

— Miałeś ta bójkę z Grzdyką Walkiem, abo Mrozikiem Staszkiem, co takie same pijusy jak ty... Wstajałbyś sieczkę rżnąć, a nie plótł ambajów...

— Kiej to nie a...ambaje... Słychaj... Nie z bele kim, ze sa...samą śmiercią z...za łbym się wodził...

— Coś pedział? Ze śmiercią? W Imię Ojca i Syna...

I Magda odszedłszy w te razy od komina, przy którym się krzątała, przystanęła przed szerokiem wyrkiem, co na niem oboje pięć dwaścia roków sipiali.

— Alem się n...nie dał! Za nic!... Ona zamierza się ko...kosiskiem raz, zamierza się dr...drugi raz, a ja podchodzę z b...boku, łaps za drzewce i kosę z ga...garścim jej wyrwał!... Wtedy j...jak się nie zamachnę — rety! I w te razy juże b...bezkurcyji w izbie niema!...

— Tak to ci się obśniło? Cóże za sen! cóże za sen!... A jakoże ta śmiertecka wyglądała?

— Ano b...babsko stare, chude i tylo...

— A trupią główkę miała?

— Ni...nijakiej trupiej główki i...ino chudą gębę z okrutnemi z...zębcami. I sz...szczyrzyła te z...zębce do mnie, jakby się ciągiem śmiała...

Pokiwała Magda głową, dziwnie zasumowana. Sen trza, wiadomo, na odwrót brać... Skoroby mu się obśniło, że śmierć go zadusiła, juści żyłby potem długo... Ale to on niby śmierć odżenął... Pewnikiem — Jezu miłosierny odwróć — wnetki go ona może uchyci...

Że to nieco grosza w skrzyni miała, a wczora, jak go pijanego do dom przywiedła i rymnęła nim na wyrko, co ino miał z pularysa mu wyciągła, w te razy umyśliła duchem do jegomościa

iść i nic chłopu nie mówiąc, na Mszę do Przemienienia Pańskiego dać...

Od kiela roków Jacenty po jarmarkach chodził, do targów stajał, ceny krów podbijał, niezgorzej się im chudobnym wiedło. Zarabiał kiejniebądź nieźle. Od kupującego odczepne brał, coby mu juże krowy nie podbijał i od sprzedającego swoim porządkiem, że przódzi kupno wygórował. Z innymi „przeliwaczami" także umiał se radę dać. Nie cierpiały go żydy handlarze, bo jenteres im psuł. Lisiczanie, Majdańscy i Magilniaki mieli go też na wątpiach, ale o to się nie frasował. Za to chłopy i gospodynie olszynieckie rzetelnie go nawiedziły, bo swojakom, choć nie zadarmo, przy kupnie czy sprzedaży zawdy smyślnie dospomógł. To też był Jacenty „kumotrem" jak Olszyniec długi i szeroki, choć ino dwoje dziecek do chrztu somsiadom trzymał.

Baba, jak baba, mało kiej dała mu dobre słowo, że to podpity zawdy z jarmarku wracał i cosi grosza stracił, ale w duszy za swoim chłopem stała, bo — niema godki — że starobliwy był. Zawdy, choćby najbardziej ochlany wrócił, bochen chleba i kiełbasę przynosił, a jak wytrzeźwiał, to się w chałupie duchem roboty imał.

Choć chudziaki, mało gruntu mający, Mólowie najstarszej Jagnie wydolili dwa wieprzki, przyodziewę gospodarską i setną pierzynę we

wianie dać, a la młodszej Hanki, że dzieucha ładna była i robotna, matka juże szykowała i pościel i obleczenie i przyodziewę, skoroby jej wytrefiło za porządnego chłopa się wydać.

Zabrał im Pan Jezus w małości jednego chłopaka i dwie dzieuchy, ale rodzice z wolą Jego Przenajświętszą się zgodzili, bo i coby toto na świecie przez grontu robiło, na wieczne wyrobkami chodzenie skazane.

Skoro Jacenty pośniadał, ozwie się do baby:

— Magduś...

— Abo co?

— Frasunek mam...

— Jakiże frasunek?

— Toli bym se zakurzył, a tu ani zdziebka tabaku w macharzynie...

— Poczkaj, duchem ci z karczmy przyniesę.

Poskoczyła do skrzyni, wzięła ze spodu węzełek z pieniędzmi i juże jej w izbie nie było.

— Jezu najsłodszy, a cóże ją tak odmieniło?! — zadziwił się w duchu Jacenty, pozierając za odchodzącą.

Odkąd zapamiętał, zawdy po jarmarku (że to pijany wracał) baba odebrawszy mu w te razy pieniądze, jakby za karę nie chciała potem ani grosika na tabak wydać, trzymając skrzynię na kłódkę zamkniętą. Radził se tak, że ukradł jej z komory dwa — trzy jajka i posyłał ś-niemi

Hankę do Lejzorka po tabak, ale tak coby matka nie zbaczyła, abo sam tabak do fajki w karczmie borgował. A dzisiaj, Jezu cudowny, ani go nie spyskowała ani się nie uprzeciwiła, ale sama w te pędy po tabak poleciała.

— Sama, rety...

A skoro wróciła i przyniesła mu nie jedną, ale trzy naraz paczki tabaku, Jacenty do krzty zgłupiał.

Cosi go w serce tknęło i jakby gorąc jakisi bez ślepia mu przeszedł.

* *
*

Był jeszcze potem na dwóch ino jarmarkach. Jak z ostatniego przed godniemi świętami wrócił, uraczony setnie przez wójta Wąsika i Bąbla Ignaca, somsiada, bo im tanio zatargował mleczne, szerokiego pyska krowy, jakosi wnetki niewiedzieć bez co zachorował. Leżał rozpalony, aże gorąc buchał od niego, jak z piekarskiego pieca.

Magdę do cna złamała ta okrutna chorość chłopa. Przybaczyła se niesamowity sen, co go Jacenty miał na jesieni. Cosi jej jakby do ucha szeptało, że tera pewnikiem śmierć go zmoże. Ratowała go jak wydoliła, okadzały go baby,

uroki odczyniały, raz nawet był doktór z miasta, ale nic nie pomogło.

Do dwóch niedziel pomar.

Mało którego chłopa w Olszyńcu tak naród żałował, mało którego tak długo zapamiętał. Olszyniacy już krów z takim prefitem jak przódzi nie przedawali. Poniektóry przy przedaży abo kupnie grubo się oszukał i niebylejaki pieniądz stracił.

— Oj, bieda na nas teraz, bieda — mawiali gospodarze, zasiadłszy u Lejzorka przy półkwaterkach, abo baby podparłszy brody przed chałupami.

— Bieda, odkąd niemawa już kumotra Jacentego.

— Sprawiedliwie mówicie... Szkoda chłopa, wielka szkoda... a mógł jeszcze kiela roków pożyć...

— Wysłużny la nas wszyćkich był... Majdańskich oszwabił, Lisiczan, bywało, nieraz wyrychtował galanto, a swojaka, że to kuty na cztery nogi był, spomógł.

— Jušci... Nie żałował na jarmarku gęby, jak o bydlę la Olszyniaka szło, ochrypł, spluł się skróś zająkliwej mowy, a dobił targu tak, że prefit z tego nasz naród miał... Niech mu ta Pan Jezus da światłość wiekuistą i nie pamięta wszyćkich półkwaterków i kieliszków, co mu

bez gardło przeszły... Chłop był, jakiego drugiego nikaj nie najdzie.

I za duszę „kumotra Jacentego" nie ino biedna gdowa, ale omal cała wieś bez długie jeszcze roki na wypominki dawała.

NIEPILACZKA

Klimura Sobestjan, wójt gminy Wielka Wola, już po raz drugi siedział na tym urzędzie. Rada, gdy swoje roki odbył, nijakiego kłopotu z wyborem nie miała. Cała z jegomościem wraz była za nim. Bo też Klimura, kmieć na trzydziestu bez mała morgach, człek był wielkiej stateczności. Gorzałki nie pijał, gospodarzył dobrze, a choć niepiśmienny, rozum swój miał. Jegomość za nim kwardo stał, że to figurę świętego Sobestjana, swego patrona, przebitego strzałami, smyślnie z drzewa zrobioną i w różne kolory pomalowaną, la kościoła zafundował i koło założenia w Wielkiej Woli Bractwa Dobrej Śmierci, którego został starszym, gorliwie zabiegał.

Nawet la Bractwa, z trzech gospodarzy się składającego, czarne peleryny z kapturami na głowę i wyszytemi na nich biało przez najlepszą szwaczkę w parafji, Magdę Kukułkową, trupiemi główkami, za własny grosz kupił. Na każdym pogrzebie wójt Klimura w takiej pelerynie z kapturem nadzianym na głowę, występował, a tru-

pie główki, jakiesi nie do krzty straszne, z jego pleców do ludzi się podśmiechiwały.

Pletły jušci poniektóre baby bajczary, że nie wójt ino kasa gminna na one peleryny wyłożyła, a pisarz wciągnął to w inne wydatki, ale i pisarz i Rada i nawet sam jegomość na te niestworzone ambaje ino ramionami wzruszali.

Po prawdzie to Klimura był wójtem, jakiego daleko szukać. Grosza gminnego strzegł, jak oka w głowie, a la komorników i gdów, co jojczały o dospomogę gminną, kwardy był jak skała, bo wiadomo, wszyćko to próżniaki i wałkonie, nijakiej roboty się ućciwie imać nie chcą, ino cięgiem dospomogami żyć, nie jak grontowe gospodarze, co z babami, dzieckami i parobkami od świtu do nocy na tej świętej ziemi do siódmego potu harują.

Że Klimura grosza gminnego z garści nie popuszczał, przekonał się i jego kumoter Łękawa Kasper, także gospodarz nie bylejaki, kiej mu w chałupie stara Pierzchalina, ujna jego drugiej baby, nagle w nocy pomarła.

Wczas rano przychodzi on do wójta, chwali Pana Boga, siada na ławie i obces do sprawy przystępuje.

— Moiściewy, dzisia w nocy Pierzchalina mi nagle pomarła. Cóże wy na to?

— Ano pomarła, bo czas na nią przyszedł. Wszyćkich nas to czeka...

— Juści, wszyćkich... Ale cóże ja tera ś-nią zrobię?

— A cóżby? Pochowacie i tylo. Jaglicę Pietrka, oglądacza, zaraz wam poślę...

— Nie o oglądacza mi idzie, ino o pochów. Straśnie toto było chudobne, gdowa przez niczego, grosza se na pochowek nie ostawiła. Dwie niedziele temu, jak z Porębów rusieckich do mojej przyszła i juże, skoro się rozpogodzi, do wsi wracać miała — a tu masz!!

— Cóże się tak kumie frasujecie — wójt na to — dy pochów bele czem opędzicie. Deski doma macie, Fryc Wojtek, nasz wsiowy cieśla, trumnę wam zbije, jegomość od pokropienia tyle weźmie co nic, gróbarz też człek ugodny, a już moja głowa w tem, coby Bractwo Dobrej Śmierci przez nijakiej opłaty niebożyczkę na mogiłki odprowadziło. I paradę mieć będziecie nielada za nieduży grosz!

Łękawa się zniecierpliwił.

— Cóże mi o paradzie gadacie?... Nie stoję ja o paradę la niebożyczki... W tem rzecz, co mi się pochowu sprawiać nie patrzy, bo Pierzchalina była niepilaczka, do Porębów rusieckich przynależna... Skróś tego też zaszedłem, kumie, do was...

— Skróś tego?!... To ja niby mam pochów niepilaczce sprawiać? Rozum wam odjeno... abo co?!...

— Adyć się nie źlijcie... Nie wy, kumie, ino nasza gmina, kaj pomarła, że to stara była chudobna i na pochowek nic se nie uciułała...

— Nasza gmina?... W Imię Ojca, Syna i Ducha!... Jeszczem też nie słyszał, coby jaka gmina niepilakowi pochów sprawiała! Niech sprawiają Poręby rusieckie, kaj Pierzchalina przynależała, a nie my, Wielka Wola.

— Ale do Porębów półtorej mili... Któże hań będzie gnał?

— To już ja bez polowego, co tera jesienią czasowy, do Porębów na piśmie wiadę dam, coby gmina podwodę haw po ciało przysłała. Ale wy kumie polowemu cosi za drógę wyrzucicie...

— Bez cóż ja mam być stratny?! Dy polowego gmina płaci, toć dla gminy wysłużny powinien być...

Wójt wydął wargi i nic się na to nie obezwał. Machnął ino ręką, fajkę, co mu zagasła, siarnikiem zapalił i jął puszczać małe dymki, cykając raz wraz śliną na izbę.

* *
*

Koło połednia Jaglica Pietrek, oglądacz, co wystawiał bydlęce paszporty i umrzykom kartki śmierci wypisywał, zaszedł na Łękawowe obejście i poźrał z wrót stodoły na leżące na

klepisku na garści słomy skostniałe zwłoki starowiny.

Gdy mu Łękawa za urzędową fatygę taksy należnej nie zapłacił, sklął go na obejściu od hyclów, świntuchów i drzyskórów, niepilakom umrzykom nawymyślał — i w urzędzie gminnym, zły jak sto djabłów, kartkę śmierci nagryzmolił. Pisarz odezwę do zwierzchności gminnej w Porębach rusieckich ze wspaniałemi wykrętasami sporządził, wójt własnoręcznie pieczęć przybił i krzyżem się podznaczył, a polowy na drugi dzień rano, przywdziawszy starą górnicę i nałożywszy czapę na głowę, z temi dokumentami urzędowemi do Porębów ruszył.

Na odwieczerz, setnie zmęczony, bo deszcz go w drodze złapał, z pismem naczelnika gminy Poręby rusieckie, również pieczęcią opatrzonem, do Wielkiej Woli wrócił. W piśmie stało, że gmina Poręby rusieckie ś. p. Agatę Pierzchalinę jako tam przynależną, na swoim cmentarzu pochowa, ale podwodę wyśle tylko do granicy Porębów, dokąd podwoda z gminy Wielka Wola ma ciało dostawić.

Ale wójt Klimura rozstrzygnął, że na taki „śtuk drógi" gmina Wielka Wola nie jest obowiązana dawać podwody i że w tym wypadku ciężar dostawienia podwody winna ponosić także leżąca między Wielką Wolą a Porębami rusieckiemi Mała Wólka. Jednakże na pismo

zwierzchności gminnej w Wielkiej Woli, zwierzchność gminna w Małej Wólce nie dała żadnej pisemnej odpowiedzi, ino wójt tamtejszy Łaciak Bartłomiej, (mający złość do Klimury skróś przegrania ś-nim przed trzema rokami prewizoryji *) kazał mu się przez polowego z Wielkiej Woli po pierwsze: pocałować... gdziesik, a po drugie: odpowiedzieć, że nijakich babskich umrzyków z Wielkiej Woli bez Małą Wólkę przewozić nie będzie.

Wobec takiego zaognienia sprawy, Klimura, ciepiąc się po całem domostwie ze złości, w te razy rozesłał dziewkę, parobka i polowego po radnych, coby duchem do naczelnika gminy na sesyję przybywali.

Gdy radni w górnicach i kożuchach zasiedli na ławach w wójtowej izbie, Klimura, oparłszy się pięściami o stół, przemówił:

— Panowie Rada! Zwołałem was, panowie Rada, tak brewiter na dzisia bez to, co ten proceśnik jucha Łaciak z Małej Wólki na moje urzędowe pisanie od zwierzchności gminnej nic urzędowo nie odpisał, ino (tfu, żeby bezkurcyję pokręciło) kazał mi się bez naszego polowego Strzygę Marcina pocałować gdziesik (uwazujecie!!!) i pedział, co nie da nijakiej podwody kóli przewiezienia ciała Pierzchaliny bez Małą Wól-

*) proces o naruszenie w posiadaniu, zaoranie miedzy i t. p.

kę. Za nastąpienie mi na honór urzędowy pan pisarz haw siedzący, dzisia do sądu skargę wyrychtuje. Zaś skróś przewiezienia ciała niebożyczki, głosujcie, jakoże z tym jenteresem począć? Sami uchwalajcie, wola wasza. Ja nic nie rzekę, zarządzę jako zechcecie, choć widzi mi się, co nasza gmina może odwieźć ciało ino do swojej granicy, ale ani kroku dalej. Co se Poręby rusieckie, kaj niebożyczka była przynależna, z ciałem potem zrobią, to już nie nasz jenteres.

Na to wezwanie do powzięcia uchwały wszyscy obecni radni — wstrzymali się od głosu. Przez parę pacierzy trwała w izbie głęboka cichość. Dwóch chrząknęło, jeden splunął przed siebie, dwóch czy trzech pociągnęło nosami. Wszyscy zgodnie jęli kiwać siwemi lub konopiastemi głowami.

Wójt ciągiem stał przed nimi z pięściami opartemi o stół.

— Jakoże uchwalacie? — zapytał nakoniec, obchodząc ślepiami radnych.

Kiwające się głowy, podniósłszy się na naczelnika gminy, znieruchomiały, gęby się zdziebko rozwarły. Wtem podwójci Rydz zabrał głos:

— Niechta będzie, jakoście panie wójcie rzekli. Odwieziewa ciało ino do granicy Małej Wólki. Ja dam od siebie podwodę przez nijakiego przyniewolenia, że to chrześcijański uczynek ostatnią przysługę choćby niepilakowi oddać, a na

podściółkę la ciała juści Łękawa da tę słomę, na której u niego niebożyczka leży. Zgoda panowie Rada?

— Zgoda! zgoda! — odpowiedzieli radni i na tem posiedzenie się skończyło.

W godzinę potem, w późny już odwieczerz, wśród jesiennej chajawicy*) przed obejście Łękawy zajechał wóz z deskami-gnojnicami po bokach, zaprzężony w jednego konia. Niepilaczkę w chudobnem obleczeniu wynieśli ze stodoły Łękawa z synem z pierwszej baby — przyczem Łękawina otarła parę razy oczy zapaską — i złożyli chudziutkie, pożółkłe zwłoki z założonemi na piersiach rękami w głębi wozu na słomie, na której w stodole leżały. Parobek podwójciego, stanąwszy szeroko na przodzie, zaciął szkapę i wywijając nad nią batem, przegnał szybko przez wieś, minął obszerne pastwisko, kawałek lasu i przy tablicy granicznej przystanął. Tu zeskoczył z wozu, rozglądnął się dookoła, podrapał za uchem, gnojnicę podniósł na ukos, słomę, z której niebożyczka skróś prędkiej jazdy zesunęła się ku tylnym kołom, na ugór przydrożny zaniósł, a potem dźwignąwszy letkie ciało pod pachy i przekroczywszy z niem płytką przykopę, na tej podściółce złożył.

Uwidziało mu się przy tem, że gdy niebożyczkę na słomie kładł, poźrała nań jednem okiem.

*) słota.

Strach go po plecach obleciał, bo już gęste mroki jęły padać na pola, więc przeżegnał się, duchem gnojnicę spuścił, wskoczył na wóz, nawrócił i nie żałując bata, galopem do wsi popędził.

Przed domem wójta się zatrzymał, wlazł na izbę i zameldował, co i jak.

Klimura z ulgą kiwnął głową.

— No, chwała Bogu, mawa już z niepilaczką spokój...

*   *
*

Ale spokój ten nie trwał długo.

Że ciało bez całą noc, aż do połednia na ugorze granicznym na deszczu leżało, komendant posterunku żandarmerji doniósł o wszystkiem panu staroście, a pan starosta w te razy Klimurę do siebie wezwał i urząd mu odebrał. Potem jeszcze i sąd czegosi chciał od niego, bo przychodziły pozwy i na termina do śledztwa musiał stajać.

Klimura, człek bardzo honorny, strącenie z wójtostwa tak se do serca wziął, że bez jakie osiem niedziel nosa z chałupy nie wyścibił, ani się w kościele ludziom na oczy nie pokazał.

Złożył nawet godność starszego Bractwa Dobrej Śmierci i swoją czarną pelerynę z trupiemi główkami, smyślnie się podśmiechującemi, jegomości odesłał.

Strach go po plecach obleciał, bo już gęste mroki jęły padać na pola, więc przeżegnał się, duchem gnojnicę opuścił, wskoczył na wóz, zawrócił i konia zaciąwszy batem, galopem do wsi popędził.

Przed domem wójta się zatrzymał, wlazł na izbę i zameldował, co i jak.

Klimura z wolna kiwnął głową.

— No, chwała Bogu, znaczy już z nieboszczką spokój!

*

Ale spokój ten nie trwał długo.

Że ciało bez całunu leżało do południa na ugorze granicznym, za czyją sprawą, komendant posterunku żandarmerji doniósł o wszystkiem panu staroście, a pan starosta w te pędy Klimurę do siebie wezwał i urząd mu odebrał. Potem jeszcze i sąd czegoś chciał od niego, bo przychodziły pozwy i wezwania go do śledztwa, musiał stawać.

Klimura, człek bardzo honorny, stracenie wójtostwa tak se do serca wziął, że bez jakie całe niedzielę nosa z chałupy nie wychylił, ani się w kościele ludziom na oczy nie pokazał.

Zdarzył nawet godność starszego Bractwa Dobrej Śmierci i swoją czarną pelerynę z trupiemi główkami, naszytemi na niej, podkomendnym jegomości odesłał.

JAK MARCINA ŻELAZNEGO NA STAROŚĆ KOCHANIE OPĘTAŁO

I.

Marcin Żelazny przed rokiem pochował swoją drugą babę, gdowcem ostał i nijak się żenić nie chciał.

— Dziw, jaki to chłop odmieniec — kręciły baby głowami — dy jak Zarębki Zarębkami, żaden, skoro mu kobieta pomarła, bez tyli czas w gdowieństwie nie wytrzymował. Toć to nawet grzych i obraza boska...

Cudowały się zwłaszcza dwie przyjazne kumy, Dziubina z nad rzeki i Czopkowa z pod cmentarza, co mu babę bogatą, na całych dziesięci morgach siedzącą gospodynię, Szałaśniczkę Kundę, raiły.

Nieraz jedna abo druga w uszy mu kładły:

— Wyście gdowiec i ona gdowa, nie za stara la was, bo jeszcze pięćdziesięci roków nie ma — toć czegóż inkszego wam szukać?... Jak gronta wasze do kupy się zeńdą, to bez mała czterdziestu morgów się dorachujecie... Moiściewy tylachny majątek!...

Baby swoje a Żelazny swoje.

— Gronta — mówił — juści, łakoma rzecz, ale la chudobnego. Mnie moich morgów zadość, nie stoję ja o morgi. A starego klepiska, do cna juże zmłóconego, mi nie potrza... Mnie się patrzy nowe, gładziuśkie, co nikto po niem cepami nie tłukł...

— E, zberezeństwa wam w głowie, wstydalibyście się kumie... we waszych rokach... — gorszyły się swatki.

Ale Żelaznemu się nie widziało, bez coby zaś wstydać się miał. Chłop był już sześćdziesięcioletni, ale prosty, w nogach krzepki, przez siwego włosa na płowej głowie i zdrów, jak ten dąb kole jego obejścia, co ponoś dwiesta roków miał, a nijakiej suchej gałązki nikto na nim nie uświadczył. Ciągiem mu się zdawało, że młody, jak za parobskich czasów. Z młodą też fantazyją zawsze się nosił, bo moc w kościach czuł i jeszcze jak ongi za najsilniejszego chłopa w Zarębkach się miał. Żeniatemu synowi, Jantkowi, nieraz dogadywał, że niemrawiec i nikiej stary grajdos przeciwko niemu.

I na Szałaśniczkę Kundę ani pożryć nie chciał.

Udawały mu się ino młódki. Kiej w niedzielę zarębskie, przylaskie i majdańskie dzieuchy do kościoła szły w swych krasych przyodziewach, od krwie młodej rumiane, z rozpuszczonemi war-

koczami, Marcin Żelazny, stojąc podle babińca i pogwarę stateczną z gospodarzami wiedąc, żywemi jak u parobka ślepiami chodził po ich świeżych jagodach, białych szyjach i podnoszących się raz wraz w chodzie krągłych biedrach.

A najbardziej to udawała mu się Kasia, Gędosia Jędrka jedynaczka. Dzieucha była chudobna, bo Gędosie z całą famieliją na sześci lichych morgach siedzieli, a oprócz Kasi było jeszcze trzech chłopaków w chałupie — ale ojce nie mogli się jakosi namyślić. Cięgiem jeszcze się wagowali, choć przecie rachować se musieli, co jenteres był dobry, bo Żelazny, gospodarz całą gębą i podwójci, obiecował u matereusza zrobić przed ślubem gruby zapis la Kasi, a Gędosiom, pokiel jego żywota, co roku korzec pszenicy, cztery kopy kapusty i wózek ziemniaków dawać.

Skróś tego ożenku z Kasią, nieraz, bywało, Żelazny zaprosi Gędosia Jędrka na gorzałkę do karczmy.

Po czwartym abo piątym półkwaterku, kiej Gędoś galanto poczerwienieje i z gorącości raz wraz pot z czoła ociera, a ślepia mu się mglą, zagadnie go Żelazny:

— No, jakże z Kasią będzie? Rzeknijcie rzetelnie...

— Ano rzekę rzetelnie: będzie, co Pan Jezus da, co wóla Jego przenoświętsza przeznaczy — i Gędoś nabożnie podnosił czapkę nad głową...

— Juści, Pan Jezus dolą ludzką rządzi... Ale — słychajcie: cobym ja ją brał...

— Kto ta wie, panie podwójci, może i wy ją weźmiecie...

— Dy wasza w tem ojcze głowa, wasz przykaz...

— A ino, moja... Ale dzieucha jeszcze roków swoich niema...

— E, kaj ta niema, adyć dziewiętnaście kole Zielnej skończyła...

— Niby tak... hy, hy — zaśmieje się grubo Gędoś — ale la was, panie podwójci, jeszcze... hy, hy... nie dość w sobie grubaśna...

— E, coby ta nie... dzieucha śliczności i obstarnia, jak się patrzy...

Gdy do takiego mniej więcej miejsca rozmowa dochodziło, Gędoś, dobrze podochocony, abo weźmie śpasować i cosi z grubsza przygadywać Żelaznemu, abo plaśnie go dłonią w kolano i zacznie się znowu śmiać, jak ten głupi...

A kiedy Żelazny uweźmie się, aby duchem się czegoś dowiedzieć, ojciec Kasi, nachyli się do niego, chuchnie mu gorzałką w gębę i w samo ucho wrzaśnie:

— Za mało jeszcze moja dzieucha la was obstarnia, boście, panie podwójci, prawy smok, coby młódkę do znaku ozdarł... hy, hy...

Żeby to nie był ojciec Kasi, Żelazny zdzieliłby go za taką mowę w te razy bez łeb, coby z ła-

wy spadł — ale z Gędosiem, że se rachował, co i tak Kasię dostanie, politycznie pogwarkę kończył, przyjacielstwo ś-nim razem trzymał i znowu na gorzałkę zapraszał.

Ale skoro się rozeszli, srogi jankór go brał, wyzywał w duchu Gędosia od ostatnich, a za Kasią rozum do imentu tracił.

Bo, coby prawdę rzec, było i za czem.

Ani w Zarębkach ani w zagranicznych wsiach takiej drugiej byś nie nadybał. Wysmukła, a w sam raz w sobie pełna, kiej bez wieś szła na swoich sarnich nózeckach, kolebiąc się zdziebko na krągłych biedrach, widziało się płynie abo tańczy, ziemie nie dotykając; a kiej przystanęła i poźrała na cię swemi czarnemi ślepiami z pod długiej, kruczej rzęsy, a ośmiała się miluśką gębusią, błysnąwszy z za malinowych ustek bieluśkiemi ząbkami — to ci od lubości aże dech zapierało. Urzeczonyś był w te razy do znaku. I cięgiem ci mało było patrzeć na tę cud-dzieuchę. Ślepia się nijak od niej oderwać nie chciały. A skoro odeszła, w te razy luto się na sercu robiło i jakasi niesamowita tęskność brała, kiejby w jasny dzień słonko nagle zaszło i szarość na cały świat padła...

II.

Żelazny nie ino u ojca o nią zabiegał. I dzieuchę samą la siebie jednał, jak ino mógł.

Podarował jej sznur korali i z jarmarków różne gościńce zwoził, coby ino ku niemu się nakłoniła. A Kasia nic. Choć ta z ociąganiem i rumieńcami, że się „pan podwójci szkodują", podarunki jednak przyjmowała, uśmiechała się mrużąc czarne ślepia, ale jeszcze o weselisku nikiej mu dokumentnie nie rzekła: będzie-li co z tego, czy nie będzie...

Rodzicom zasię w chałupie okrutnie się praszała, coby ją tak duchem za Żelaznego nie wydawali, z domu nie pędzili, bo przecie matce w gospodarstwie przydatna, a za chłopa wychodzić jej jeszcze pora. Do podwójciego serca nie miała i czekała na jakiesi, nie wiada skąd, wybawienie. Może cosi się stanie, co ją od wydania za niego wyzwoli...

Parobcy, że taka urodna była, juści kole niej sielnie się kręcili, ale żadnego dotąd nie zalubiła. Była to wszyćko zresztą biedota małorolna. Żaden gospodarski syn, skroś Gędosiów chudobności, ku niej się nie miał. Coby zaś ojce zezwolili jej za biednego iść, tego ani w pomyśleniu nie miała.

Wiedział o tem Żelazny i choć Gędoś zwlekał, dufność w sobie czuł.

A wlubiony w cud-dzieuchę był przez pamięci. Jak w niebo w nią patrzał.

Raz udało mu się w ich zastroniu, gdy siano la krowy brała, znagła chycić ją w pół, ręce

jej garścią przytrzymać i wycałować siarczyście rumianą gładziuśką gębusię, usta, szyję — kaj dopadł. Ale dziewczyna zeźliła się okrutnie i zwymyślała go od rabuśników i ostatnich zbójów.

Gdy tak ona w strasznym jankorze na niego swarzy i pomstuje, on na to nic, ino ślepia szczęśliwe na nią ozwarł, kiejby przez miary uradowany.

— Źlij-że się Kasiu dalej, kiela chcesz — rzeknie jej na wszyćkie wyzwiska — boś taka teraz cudna z temi pokraśniałemi licami, kiej ten prawy cherubin abo inkszy janioł z nieba!...

I cóż tu na to rzec?!

Gniew Kasi juści wnetki przeminął, bo to zachwycenie Żelaznego jej urodą za serce ją chyciło — i znowu szły tygodnie i miesiące, znowu podwójci gościńce jej zwoził, a Gędoś od ostatniego słowa co do wydania córki, przez nią proszony, jeszcze się wykręcał.

Minął jadwient, godnie święta, zapusty, nastała wiesna.

Cosi tam od kumoszek Żelazny posłyszał, że Kasia jęła się schodzić z Jurgaczem Staszkiem, parobkiem z Przylasku, że Jurgacz na nią za Starą Porębą wieczorami wyczekuje, ale nie bardzo w to wierzył, bo jedna baba gadała, że tak, druga zasię, że nic na tem prawdy niema, a Gędoś ojciec uroczyście Marcina zapewnił, że

rychlej mu szczeć świńska na dłoni, abo rogi capie na głowie wyrosną, zanimby córkę za takiego pędziwiatra i dziada jak Jurgacz wydał i że dzieucha przykazane ma parobka od siebie pędzić.

Ale te baby, co Marcinowi Żelaznemu donosiły, że Kasia z Jurgaczem Staszkiem się schodzi, miały racyję. Jurgacz był pędziwiatr, i wiadomo, z chudobnej famieliji. Ale że obyrtał się zgrabnie w tańcu, wąsik miał zaczepliwy, przyścipnie przegadywać umiał, dzieuszyska, że toto głupie, same w garście mu lazły. Ambaje im prawił o grontach, co mu się z Przylasku patrzą — i tem ich ćmił. Rezykant jucha był i parob mocarny, toć mu się kajniebądź siłą abo przypochlebstwem dzieuchę wianka pozbawić przydarzyło.

Że Przylasek do zarębskiej parafiji należał, juści Kasia Gędosianka, którą w kościele widywał, w łakome ślepia mu wpadła. I jej Jurgacz Staszek okrutnie się udał. Kiej zdybać się mieli, czy kole Starej Poręby, czy kajindziej, to skoro się późno wieczór z chałupy hań wymykała, krew huczała jej w skroniach, serce waliło i żywy ogień gładziuśkie lica parzył.

Raz na odwieczerz Kasia okopywała ziemniaki na stajonku za chałupą. Dostrzegłszy ją z gościńca, podszedł Żelazny i przystanął kole zagona.

— Szczęść Boże, Kasiu!

— Daj Panie Boże...

— Raźnie ci się okopuje, prawda?

— A jušci, deszczyk nocą przeszedł, ziemia miętka...

— Na bezrok nie będziesz już haw okopywała...

— A bez co?

— Bez co? Bo będziesz na swojem... Dzieuchy najemne okopią, ale już na moich... na naszych grontach, za rzeką... Dziesięć morgów rędziny zapiszę ci przed ślubem u matereusza... do tego dwie krowy, pół mojej chałupy i pół stodoły... Będziesz gospodynią całą gębą choć i mnie nie stanie... A przódzi to se gospodarzyć będziewa na całem, na dwudziestu pięci morgach...

— E, co ta pan podwójci pletą... Daleko do tego... Tatuś mnie duchem jeszcze za was nie wydają...

— Po żniwach, Kasiu, po żniwach... Jużeśwa z twoim ojcem dobili targu, ino ci może nie mówił... A zrękowiny jeszcze przedeżniwy wyprawię...

Skrzywiła się Kasia, jakby się jej na płacz zbierało.

— A ja jeszcze nie chcę... lat nie mam... mogę czekać...

— E, będziesz ta czekać i czekać... Ojcowy przykaz jest... ojcowa wola święta... A ze mną pewnikiem krzywdować se nie będziesz...

—Kiejście stary... — wzruszyła ramieniem, odwracając się bokiem od niego.

Na to Marcin, jak się nie zaśmieje całą gębą:

— Ja... stary?!... Ha, ha!... Pytaj się kogo chcesz w Zarębkach, jaką moc w kościach mam... Dy mój Jantek, rodzony syn, czy we młocce, czy przy kośbie nijak mi nie ździerży... On juże stęka, pot ze łba ociera, a ja czy to cepem, czy kosą macham dalej, przez nijakiego zadyszenia...

A Kasia, pomilczawszy chwilę:

— Zdarliście już dwie baby...

Wyprostował się Marcin Żelazny.

— Zdarłbym pewnikiem jeszcze ze dwie!... Stać mnie na to...

— Rety! — jęknęła dziewczyna — to chcielibyście i mnie wnetki na księżą oborę wywieźć?!...

Żelazny jął ją uspokajać, śpasować i przyrzekł jeszcze jeden, grubszy sznur korali, co go po drugiej niebożyczce w skrzyni ma, dziś jej do chałupy przynieść.

Przed rozstaniem Kasia, weselsza już nieco, jęła się z nim przezbywać, że korale nie pomogą, bo ona i tak za niego nie pójdzie; choć ta niby mocniejszy od rodzonego syna, widzi się jej przecie, że la niej za stary...

— Ej, dzieucho, — rzeknie na to Marcin z fantazyją — a ja ci jeszcze przed weselem pokażę, com nie stary.

— Jakoże mi to pokażecie?

— Jak?... a przyniewolę cię...

— Coście rzekli?! — zakrzyknęła, jakby ją źgnęło w samo serce.

— A ino... Wytrefi się, co cię kaj dopadnę i przyniewolę... A potem to juże przez nijakich uprzeciwiań do ontarza ze mną pójdziesz...

III.

Uśmiechnęła się jasnem słonkiem, zabrzmiała śpiewem ptactwa w sadach i na drzewach przydrożnych, upalna, czerwcowa niedziela. Wiesna była piękna, ciepłe deszczyki przechodziły, żyto poczynało okwitać, toć naród, urodzaju się spodziewając, rad był i wesół.

Po nieszporach, że to jagody jęły się pokazywać w „księżym lesie", wybrało się parę dzieuch zarębskich, zdjąwszy w chałupach wyszywane świąteczne gorsety, na poziomki. Pociągnęła jeszcze przedtem w stronę boru i garść dzieci z dzbanuszkami. Parobcy z przyśpiewkami, ćmiąc papierosy, włóczyli się w wyglancowanych butach po wsi, wychodzili dalej ku granicom i lasowi, starzy pogwarkowali przed chałupami, a matki, jako zwyczaj, iskały małe dziecka w sadach.

Poszła i Kasia, bo zmówiła się z Jurgaczem Staszkiem, coby się zdybać na odwieczerz w „księżym lesie" kole małej wyręby.

Dojrzał ją idącą bez wieś podwójci i zdala za nią, coby go nie spostrzegła, jął iść polami ku lasowi. Łaził hań długo, kołował, dziecka zbierające jagody omijał, zaczem ją uwidział na skraju małej wyręby. Rozdziana z przyodziewy świątecznej, miała na sobie jak na codzień niebieską katankę, na głowie żółtą chusteczkę. Stała pod starą sosną z czerwonym od zachodzącego słońca pniem, poglądając kajsi w bok. Dobrych parę pacierzy wyszło, zanim nachyliła się nad krzaczkami poziomek.

Las szumiał górą, ptactwo piukało i poświstywało w gałęziach, powietrze czyste, nagrzane pachniało młodą żywicą.

Marcin odetchnął szeroko, bujnie, radośnie, jakby biorąc w piersi to całe życie ziemi, lasu i ptactwa. Nozdrza mu się rozdęły, ślepia pojaśniały, w każdej kropli krwi jął tętnić war młodości, jakby mu ją ta wiesna cudem powróciła. Żeby się ino nie bał spłoszyć Kasi, zawiódłby na cały głos, jak ongi za parobskich czasów:

Szumią drzewa, szumią,
słoneczko przygrzywa,
chodź dziewczę do lasa
hań się ochłodziwa...
Da, dana!

Jużci nie zaśpiewał nic, ino kieby urzeknięty tą wiesną, słodkiem powietrzem odwieczerza, obejrzał się raz i drugi, czy nikogo w bliskości niema — i za moment jak z pod ziemi wyrósł przed Kasią.

Dziewczyna wystraszona, wyprostowała się nagle i cofnęła o krok.

— Rety, to wy, panie podwójci?...

— A ja... Na poziomkiś przyszła, Kasiu?

— A ino... ale już idę do dom, bo mało jest haw w lesie... A wyście... także na poziomki? — zaśmiała się niepewnie.

— Juści, ale na jedną ino poziomeczkę, co dzisiaj jej już muszę popróbować...

I w te razy uchwycił dziewczynę w pół, szeroką garścią w oczymgnieniu zebrał jednę po drugiej małe jej ręce, przytrzymał i jął przez opamiętania gorące, świeże lica i usta całować...

Kasia, dysząc ciężko, wydzierała się i broniła, zaczerwieniona po białka, odwracając raz wraz głowę, by uchylić ust i szepcąc wśród szamotań:

— Poniechajcie mnie, poniechajcie dzisia... Dy grzych... Ostawcie...

Ale Żelazny ani myślał ją puścić. Lica mu pociemniały, oczy jęły błyszczeć niesamowicie... Nie uśmiechał się do niej przymilnie, nie świadczył, nie cudował jej urodzie jak zawdy,

ino jakisi chmurny i dziki, grubo, ochryple odmruknął:

— Dzisia nic z tego... Za nic nie puszczę... Jakem kiejsi rzekł, przyniewolę, muszę przyniewolić...

— Rety, poniechajcie, bo na cały las wezmę krzyczeć!...

— Aha, będziesz krzyczeć... dam ci...

Wśród gwałtownego zmagania obalił ją na ziemię, lecz nim wydolił zakryć jej usta dłonią, zawołała przeraźliwie:

— Staszek! gwałtu! Staszek...

— Jaki Staszek? Kogoś wołała? Gadaj w ten moment! — warknął wściekły, srogo zajrzawszy w jej czarne źrenice.

— Ja wołałam: Staszek? Cóże się wam śni?...

— Nie głuchym... słyszałem dobrze... Nie udawaj głupka... powiedaj!...

— Poniechajcie, panie podwójci... niech wstanę... wszyćko wam powiem... Takeście mnie napadli... — szeptała rozdygotana od strachu zbielałemi wargami.

— Napadłem cię, bo moje prawo... Ociec mi cię dają...

— Niech-że już będzie jego wola... Ale tera poniechajcie... Ludzie się kręcą... Toli tak was proszę...

— Za nic nie poniecham... Tyś moja... ty...

Dziewczyna, mając uwolnione usta, zawrzasła jeszcze głośniej:

— Ratunku!... Ludzie ratuj...

Ani przez jedną Zdrowaśkę już się Żelazny z nią nie zmagał. Zachrzęściły po suchych gałęziach pod drzewami chybkie kroki. Ktosi gnał jak wicher. Zaczem Marcin z zamroczoną upałem krwi głową przeznał, co się stało, jakiesi mocarne dłonie oderwały go od dziewczyny i zwaliły na ziem. Runął twarzą w dół, rozcinając czoło o odziomek ściętej sosny.

Jurgacz Staszek zwalił się nań całym ciężarem; przygniótł kolanami plecy i jął kuć kwardą pięścią w tył głowy.

Lecz Żelazny jakby nagle podwójną moc w sobie poczuł. Z czołem, broczącem krwią, zdołał wnetki porwać się na nogi i rozpętała się straszna, zajadła bitka. Stary chłop, rozeźlony przez miary, że Kasia zmówiła się z Jurgaczem, do żywego dotknięty tą zdradą i zmiarkowawszy, że tych dwoje ma się ku sobie — stracił w bójce do cna przytomność, upamiętanie, rozum. Rozżarty, z krwawemi ślepiami, z całej mocy grzmocił parobka — z którego rąk raz wraz się uwalniał — w łeb, w boki, kaj dopadł, drapał lica pazurami, gryzł ręce, ciężkiemi butami po nogach kopał, wydając z siebie jakiesi nieludzkie ryki. Zapamiętał się w tej bitce okrutnej na śmierć. Już nie przeznawał z kim się

bije i o co. Ryczał, miotał się jak niedźwiedź zraniony, szalał. Las jął mu tańczyć przed oczyma, sosny i jedle zdały się walić na boki jak podcięte. Zawirowało przed nim wszystko naokół w czerwonej krwi, w żywym ogniu. Niby w śmigach jakiegoś djabelskiego wiatraka to leciał łbem na dół z całym lasem, to chybał wzwyż — już nie człek, nie on, Marcin Żelazny, ale kiejby ten wicher w czas okrutnej burzy, co pada z góry i praska o ziem złamaną drzewiną, abo podrywa od dołu i miota pod niebo chmary czarnej kurzawy.

Nie czuł straszliwych razów przeciwnika w łeb, w lica krwią umazane, nie czuł wilczych pazurów Jurgacza na grzdyce, ani jakiegoś niesamowitego sztychu kole serca, skąd jęła się sączyć po białej koszuli gęsta krew. Jeszcze pięściami okładał wroga, do kudłów się darł, do ślepiów i ryczał niby zwierz leśny, juchą broczący. Ale ryk przechodził zwolna w ciężkie charczenie, a las cały zaczął jakby cofać się od niego i szarzeć, coraz bardziej szarzeć i ciemnieć, kiejby już noc zapadała na ziemię...

Nie rozeznawał jeszcze, że już się z nikim nie bije, że leży na grubym mchu leśnym we własnej krwi, że noc nie na las, lecz na oczy mu zachodzi...

Wtem doleciał go, ale jakby skądeś z góry, przeraźliwy, obłędny krzyk Kasi:

— Staszek, rety, toliś go zabił!... Uciekajwa!...

Posłyszał tupot nóg — i naraz dziwna spokojność objęła mu głowę... Dobrze mu się robiło, błogo, jak przed uśnięciem... Niby leży na dnie jakiegoś głębokiego wąwozu, w którym taki spokój, prześpieczność i cichość, cichość... noc...

— — — — — — — — — — — —

Po jakimś czasie podniósł powieki — i w te razy przybaczył sobie, że to on, Marcin Żelazny bił się z Jurgaczem Staszkiem. Uźrał kolebiące się nad nim, złote od zachodzącego słonka wierzchołki sosen, posłyszał gwizd kosa, nawet kucie dzięcioła. I ożyły mu w uszach na moment słowa Kasi:

— Toliś go zabił! Uciekajwa!...

Pomyślał sennie:

— Niby to ja zabity... Jurgacz mnie zabił... Rety, tom już nie najmocniejszy chłop w Zarębkach?!... Jezu...

Szeroko rozwarte źrenice jęły nabrzmiewać wilgocią, aże zaszkliły się łzami, co poczęły cieniuśkiemi sznureczkami sączyć się w dół po skroniach, wpadać w krwawe bruzdy, zadane w śmiertelnej bójce i kapać na zielone mchy leśne...

— Staszek, rety, tela, co zabił... Uciekaj-wa!

Podwyżał łupou nóg — i naraz dawna spokojność objęła mu głowę. Dobrze mu się zrobiło, błogo, jak przed uśnięciem... Niby leży na dnie jakiegoś głębokiego wąwozu, w którym taki spokój, przestrzenność i cichość, cichość... noc...

Po jakimś czasie podniósł powieki — i w ta-raz przypomniał sobie, że to on, Marcin Zielony, bił się z Jurgaczem Staszkiem. Ujrzał kołyszące się nad nim, złote od zachodzącego słonka wierzchołki sosen, posłyszał świegot kosa, nawet kucie dzięcioła. I stały mu w uszach na moment słowa Kasi:

— Tela co zabił! Uciekajwa!

Pomyślał sennie:

— Niby to ja zabiły... Jurgacz mnie zabiły. Rety, ton juże nie najmocniejszy chłop w Zarębkach?!... leżu...

Szeroko rozwarte źrenice jęły nabrzmiewać wilgocią, aże zaszkliły się łzami, co poczęły cieniutkiemi szureczkami spływać w dół po skroniach, wpadać w krwawe bruzdy, zadane w śmiertelnej bójce i kapać na zielone mchy leśne...

SMOK

Synowi mojemu Witoldowi.

I.

Franek, a ślazuj-że z tej jabłonki, nie obskubuj jej! — wołał siwy, pomarszczony na licach Wątor Onufer, siedząc w czerwcowy skwarny odwieczerz na przyzbie, do piętnastoletniego smyka, co wylazł na najniższy konar drzewa i jął z gałęzi obskubywać liście, ładując toto do koszyka.

— Dy nie la śpasu wlazłem na drzewinę... Trza sposobić la krów do doju...

— Toliś już dopołednia obskubał moc liścia z wierzbin przy gościńcu, z leszczyny...

— Ale mało z tego ostało. La Łysuli potrza, la Smoka...

— Co mi ta o Smoku pleciesz! O nim Wicek pamięta, jako i o koniach... A Kwiaty już przecie niema i Siwuli... Przedane...

— Ale rachujcie dziadku... Łysula, Łaciata...

— Ślazłbyś, mówię ci, z jabłonki! Obdzierać w sadku drzewinę grzych! Idź na brzyżki, na malinowe liście, w olszynę, abo najlepiej na wikle kole potoka...

— Na wikle? akurat! Dy mi nie dadzą Wojtychy i Klimki, co wedle potoka siedzą! Jeszcze by mnie naprali! A na malinowe liście śtuk drogi...

Zamilkł na to dziadek Onufer. Westchnął ciężko i jął poruszać bezzębnemi wargami, jakby pacierz odmawiał.

Chłopak, posuwając się na siedzącku wzdłuż konara, obrywał dalej liście i upychał je do koszyka zawieszonego na ręce. W pewnej chwili przerwał robotę, pojrzał z góry na staruszka i rzekł:

— E, bo też tatuś wyrychlili się z przedażą Kwiaty i Siwuli, zamiast Smokowi ślepia zawiązać i na jarmark do miasta go pognać! Żre przez miary jak kuń, a jaki-że prefit ś-niego?

— Głupiś! Wiedział ociec co robi! Takiego byka nikto na całą parafiję nie ma, nawet sam dziedzic z Ugorzyc! Lepiej on się opłaci jak krowa...

— A źre jucha za dwie... I słyszane rzeczy, samemu gospodarzowi dostąpić do siebie nie da, a mnie to kiejsi o mały włos byłby na rogi wzion!... Ino Wicka nawidzi, ryczy za nim, choć ino parobek...

— Wicek dobry la niego...

— Juści, sipia ś-nim w oborze łeb przy łbie, podchlebia, sam chleba nie zje, a jemu niesie... A przybaczcie se dziadku, jaką szkodę Smok łońskiego roku zrobił! Caluśką pierzynę matusiną, co się na płocie w czerwonym wsypie suszyła, ozdarł bezkurcyja rogiem i wiater połowę pierza po wsi ozniósł! Jakbym był, jak tatuś, gospodarzem, nie byłoby juże Smoka u nas!

— Nie wydziwiaj Franek na Smoka! Nie wyrozumiesz temu, co warta taki buhaj, boś jeszcze śpik! Cichoj!

Chłopiec mający na Smoka złość, że jemu, gospodarskiemu synowi, nie dało się zawrzeć ś-nim przyjacielstwa, jak Wickowi, machnął ino ręką na słowa dziadkowe. Przygarbiony, trzęsący się Onufer zaś, nie wdając się już z Frankiem w pogwarkę, podniósł siwe, zgaszone oczy na rozpogodzone niebo i żarne słonko, co stało jeszcze wysoko.

— Ej, słonko jasne, słoneczko — szepnął z ciężkiem westchnieniem — prażysz i prażysz tę świętą ziemię przez nijakiego smiełowania, wszyćko wysuszone, zmarniałe, połowa bydła poszła ze wsi za psie pieniądze na rzeź, bo źreć nie było mu co dać... Eh, słonko, boże słonko...

A słonko nic. Przejasne, ogniem ziejące stało se w złotej chwale na niebie, pozierając jakby z przekornym prześmiechem na Płużyny, na rzę-

dy białych chałup, na oberwane do cna la głodującego bydła liście na przydrożnych drzewinach i w sadach, na żółte, do imentu wypalone pastwisko gminne i pola rozległe z niziuśko wyrosłem żytem, aże czerwonem od okrutnej spieki. Z czystego, pogodnego nieba jakby się urągliwie radowało, że tak latoś na uwziątek narodowi wsiowemu zrobiło...

Jakoż rok był do cna jakisi niesamowity. Jak w maju wzion srogi żar z nieba lecieć, tak bez sześć niedziel ani kropla deszczu na ziem zeschniętą nie spadła. Kiejniebądź kole połednia podnosił się wiater i jął napędzać chmury, aże nade wsią stanęły. Całe Płużyny wylegały wtedy przed chałupy, poglądając w górę, czekając na pierwsze krople, co już-już miały spaść, kobiety odmawiały Zdrowaśki z ciężkiem wzdychaniem, gospodarze chmurnie z pod gęstych brwi w niebo pozierali.

A deszcz, co go naród tak okrutnie był chciwy, ani myślał spaść na spopielałą ziemię, na łąki żółciusieńkie, na pola miłosierdzia zeschniętym liściem i kłosem poczerwieniałym wołające... Za jaką godzinę, abo wcześniej chmury jęły rzednieć i kajsi się podziewały i znów z wysokości niebieskich pozierało słonko, rzekłbyś, oześmiane całą ognistą, krągluśką gębą, jakby mówiąc:

— Widzicie! Znowum haw nad wami! Nie opuszczę ja wąs tak duchem! Będę wasze role

i pastwiska prażyć, przypiekać żywym ogniem i dzisia i jutro i bez długie jeszcze dni! Nie doczkacie się deszcza, nie!

Od kiela roków zapamiętał Wątor Onufer, najstarszy człek we wsi, to na Płużyny nikiej taki dopust boski się nie zwalił. Bo nie ino, co żarne, niemiłosierne słonko paliło bez caluśki dzień, ale i nocami rosy padać przestały, nie dając polom nijakiej ochłody. Studnie co płytsze do cna powysychały, sadzawki kajsi się podziały, żeś wieczorem nie posłyszał już rechotu i kumkania żab, a nocami gorąc tak doskwirał, że ludzie sipiali w sadach, bo w chałupach i szopach dusiło nie do strzymania.

W okrutnej udręce żył biedny naród. Jegomość wołał z ambony, że za grzychy, pijaństwo, bójki i zwady po chałupach, tak Pan Jezus Płużyny nawiedził, ogłosił spowiedź powszechną, codzień odprawiał msze o uproszenie deszcza i zapowiedział precesyje do krzyży i figur niby w dni krzyżowe.

Jak było we wsi kole siedemdziesięci numerów, tak z pod każdego ktosi rano wysłuchać się do kościoła szedł, toć jegomość dosyć się dopołednia napocił w konfesjonale, a na precesyję na odwieczerz to wylegała cała wieś.

Szedł jegomość w złocistej kapie z krzyżykiem w ręku i z książką modlącą, za nim gromada bab, chłopów z odkrytemi głowami, parob-

ków, dziewuch i dzieci, drepcących boso przy matkach.

Sunęli wolno suchym, bieluśkim jak mąka od pyłu gościńcem. Jegomość intonował:

Królu, Boże Abrahama

i wraz buchnęła w górę pieśń błagalna:

W Tobie moc i dobroć sama,
Wejrzyj na to ludzkie plemię,
Użycz nam deszczu na ziemię...

Pieśń niesła się z prośbą i szlochem w niebo, a wiater goniący po oberwanych z liści, bolesnych w swej nagości drzewinach przydrożnych, podawał ją dalej popękanej z żaru ziemi, i tym polom ziemniaczanym z zeschniętą i poczerniałą jak w późną jesień nacią i tym łąkom żółtym, żywcem słońcem zabitym...

Niechaj zna lud prawowierny,
Żeś Ty Pan Bóg miłosierny,
A my Cię za ten dar wielki
Wielbić będziem na czas wszelki !

Naród śpiewał z pełni utrapionego serca, chłopy grubo, donośnie, ale górowały cieńkie, piskliwe głosy kobiet, kiejniebądź w płacz i jak przechodzące. lub rwące się od żałosnego, piersi szarpiącego chlipania. Poniektóra, bywało, wszyćkich przygłuszy, wykrzykując w niebo

swój ból i żałość okrutną, skamląc o smiełowanie Pańskie!...

Szli z tem śpiewaniem bez caluśką wieś od końca do końca. Skoro stanęli wedle Męki Pańskiej, wszyćko padało na kolana w biały proch gościńca przed czarnym, wysokim krzyżem, sztachetkami ogrodzonym, a jegomość rozpoczynał Koronkę do Przemienienia Pańskiego:

„Jezu, jakoś się przemienił, gdy będąc Bogiem stałeś się człowiekiem, tak przemień wszystkie utrapienia nasze w pożądane i zbawienne pociechy. Amen".

Czytał jegomość z książki pięć takich modlitw do pięciorakiego Przemienienia Pańskiego, a po każdej naród odmawiał pobożnie, rzetelnie, ani słówka nie połykając: „Ojcze nasz, Zdrowaś Marja i Chwała Ojcu".

A słonko niemiłosierne przeglądało się w ciężkich łzach, spływających po licach kobiet i sypało dalej swój złoty żar na te przez miary utrapione głowy.

II.

Raz po północku zbudziły ludzi śpiących w sadach jakiesi huki straszliwe. Ten i ów przetarł ślepia — patrzy — dookoła czarno. Wtem jak na zachodzie nie łyśnie, rety! do oślepnięcia!

Każden na moment ujrzał, jak w dzień drzewiny, chałupę białą, oborę — wszyćko, co w bliskości stało. W oczymgnieniu pouciekali wszyscy do chałup, a w te razy nie deszcz, ale, widziało się, wiadrami woda jęła lać się z nieba. Wśród tego grzmoty coraz głośniejsze dudniały na wysokośiach, a pierony prały czemraz bliżej i czemraz to gęściej.

Dziadek Onufer postawił w oknie obrazek z Matką Boską Częstochowską i usiadłszy na ławie, szeptał pacierze.

Naraz kajsi w bliskości huknęło okrutnie i w ten moment w izbie aże się jasno zrobiło, jakby kto wielgachną pochodnię przed oknem postawił.

— Rety, Grządziel gorzeje! — krzyknęła gospodyni.

— Kaj ta Grządziel — sprzeciwił się jej chłop Wątor Błażek — dy Grządziel hań dalej... Gorzeje Bielik Jasiek...

— Jezu, zmiłuj się — jęczała kobieta — dy to bliziuśko nas...

Wszyscy uklękli na środku izby i jęli odmawiać „Pod Twoją Obronę".

A po niebie dalej chodziły straszliwe dudnienia grzmotów, pierony trzaskały, widziało się, gdziesi blisko we wsi, przed chałupą cięgiem chlustało, jakby kto z góry z wielgachnych kadzi wodę lał.

Rankiem gruchnęło po wsi, że od pierona pogorzał do cna Bielik Jasiek, Motylowi Szczepanowi do znaku spaliła się stodoła, a wójtowi Nalepie obora z trzema krowami.

Choć Pan Jezus nareszcie deszcz spuścił i to taki, że rano jeszcze woda płynęła przykopami, a na pastwisku stały szerokie sadzawki, zły to był dzień la Płużyn.

Trzech gospodarzy pogorzało, a w odwieczerz do chałupy Wątorów wpadł zdyszany Porada Jasiek, księży parobek i od progu zawołał:

— Wiecie co w Leśnej się stało?

— Cóże? Pogorzał kto od pierona?

— Pogorzało cosi dwóch, ale jeszcze hań psy się zepsuły, pogryzły moc bydła, dwie baby, jednego gospodarza i parę dziecek! Cieluch Pieter widział, jak może z godzinę temu leciała bez naszą wieś taka zepsuta bestyja, bo pianę z pyska toczył i ogon miał podwinięty pod siebie... Kto wie, czy kaj nie pogryzł naszych psów... Zawrzyjcie waszego Oboja, pilnujcie bydła!

Gdy późnym wieczorem Wicek niósł do stajni putnię z wodą do pojenia koni, gdowa Żeleźniczka, somsiadka, zakrzyknęła ze swego obejścia:

— Wicek! Pono nie ino w Leśnej, ale i w Żytniskach psy się zepsuły i ludzi i bydło pogryzły! Ziandary mają w naszych wsiach wszyćkie psy wystrzelać!

Przez parę dni wisiała nad Płużynami, nikiej ta chmura gradowa, okrutna groza. Naród bojał się strasznie wściekłych psów, bo prawda była, co się stało w Leśnej i Żytniskach, a nawet parę wsiowych psów kajsi się podziało — znaczy, pogryzione, pociekły we świat...

Nikto nie ważył się bydła wypuszczać z obór, które bez całe dni były zawarte, dzieckom matki nie dawały nosa wystawić na obejście, a chłopi idąc we wieś czy do pola, brali w garście kłonice abo widły żelazne, coby ubić zepsutą bestyję, skoroby się kaj nawinęła. Wicek nawet wyostrzył sobie widły na osełce od kosy, aże kolce się świeciły. Kiela razy był czasowy, brał je i szedł upatrywać, czy nie uświadczy kaj zepsutego psa.

— Ej, Wicek — mówił mu gospodarz — sam nie poradzisz, jeszcze cię pogryzie i będzie nieszczęście. Z innymi byś się zmówił, to byście bestyji widłami i kłonicami dali radę.

Ale Wicek, że to parob był w siłę swoją dufny i zgoła nie bojący, nie myślał gospodarza słuchać. Bywało, wychodził we wieś na pastwisko, łaził po polnych drogach, abo kręcił się kole lasa, upatrując swojej zwierzyny.

Raz rankiem, skoro ino obrządził Smoka, konie i krowy, da mu się pojrzeć z obejścia na drógę, a tu skrajem wlecze się białe, łaciate psisko.

Łeb spuszczony, z pyska piana cieknie, ogona nie widać, tak go pod siebie wzion.

Z widłami w garści w ten moment wyskoczył na drógę. Wiadomo, zepsuty pies ślepy, ale człeka abo gadzinę w mig poczuje. Toć w te razy na Wicka z wyszczerzonemi kłami wpadł. Ale ten, bystro na każdy ruch jego bacząc, skoro ino w jednem oczymgnieniu dopadł dobrej chwili, wpakował mu widły w kark, aże na wylot bez szyję jeden kolec przeszedł. Wtedy widły z nabitą jak robak na szpilkę i brocząca czerwono bestyją wparł w ziem i zakrzyknął:

— Hej ludzie! A haw do mnie z kłonicami!

III.

— Smok! Cóże stoisz jeszcze i obglądasz się? — zawołał Wicek, wchodząc do stajni buhaja. — Małom ci to przyniósł liści z wierzbiny i z malin? A nie ukradłem na przyczynek, jak gospodyni od doju odeszła, sporo jadła Łysuli ze żłobu?... Nijakiego żarcia już nie będzie, obejdź się smakiem!

Noc już była cicha i pogodna. Przez kwadratowe okienko obory poświata miesięczna padała na czarny łeb z krótkiemi, grubemi rogami i potężny kark byka.

— Nie ligasz jeszcze? — mówił Wicek, siadając na swem posłaniu tuż przy żłobie i ścią-

gając z nóg portki. — Ligaj mi w te razy! Widzisz, ja jużem se gnaty wyciągnął...

Smok nie przestając głośno chrumkać szerokim pyskiem, klęknął na przednie nogi i uwalił się ciężko na ściółkę, zwracając w ten moment łeb ku twarzy parobka.

— No, cóże rzekniesz jeszcze nicponiu? Dym ci pedział, o nijakiem żarciu se nie myśl... Prześpij się, a nie rycz bestyjo bez sen za krowami, byś mnie zaś nie zbudził, jak tamtej nocy! Uważuj, latoś dopust okrutny wieś nawiedził, moc krów gospodarze wyprzedali, to się nie będziesz, jucho, żenił codzień, jak przódzi bywało... Tak, mójeśty, tak...

Buhaj chrumkał nieustannie i jakby rozumiejąc, co Wicek mówi, trzymał łeb tuż przy twarzy parobka, raz wraz dotykając jego głowy, abo czoła wilgotnemi nozdżami. A ze Wicek położył się później na wznak i założył ręce pod głowę, Smok jął go znowu nozdżami trącać w łokieć, a potem wyciągać szyję nad głową parobka.

— Nic z tego, mójeśty — Wicek na to — nijakiego drapania dzisia nie będzie, palice mnie bolą, com bez tyla godzin liście la ciebie rwał...

I wyciągnąwszy z pod głowy rękę, odepchnął łeb buhaja od siebie.

Ale Smok był uparty i pewnikiem znał się już na takich śpasach. Wicek swoje a on swoje.

Co mu parobek łeb odepchnie, to on w te razy wyciągniętą szyję już na nim trzyma.

Wicek, czy naprawdę nie chciało mu się ręką ruszyć, czy umyślił se podroczyć się ze Smokiem, cięgiem łeb mu odpychał.

Zastanowiło to nakoniec Smoka, bo ustał przeżuwać, fuknął nozdrzami nad głową parobka raz, fuknął drugi raz, wreszcie oznajmił mu głośno i stanowczo:

— Byyy!...

Przeznał Wicek, że trza mu już dogodzić i jak to Smok lubił, po szyi podrapać, zaczął go więc pazurami potężnie skrobać aże pod samą brodę.

Buhajowi tak to lubowało, że łeb podnosił coraz wyżej, aże Wicek jak go nie zeswarzy:

— Cóże se utrapieńcze rachujesz? To mam na klęczki wstajać, coby tak wysoko dostać i cięgiem ci aże pod brodę kuntentność robić?!..

Smok liznął go na to jęzorem po czuprynie i na parę pacierzy się uspokoił.

Wnet jednak, że okrutnie duszno było w stajni, buhaj zaczął ciężko sapać i stękać.

Wicek poklepał go po karku i łagodnie rzekł:

— Gorąc cię męczy, biedaku, wiem ja, wiem, bez okienko mało powietrza idzie... I mnie haw gorąco, ale obory otwierać nie można, bo wpadłby jaki zepsuty pies i mnie i ciebie by użarł... Tolim rano jednego przed samą chałupą zgła-

dził... Cichoj, maluśki, cichoj... Wnetki ziandary bestyje wystrzelają, ozewrze się na noc drzwi, będzie nam chłodniej sipiać... Spiekoty już takiej teraz niema...

Poklepał Smoka jeszcze po szyi, ten go zaś po przyjacielstwie przejechał mokrem nozdrzem po gębie — ale nie na długo był spokojny.

Znowu zasypiającego parobka jął pyskiem trącać i sapać mu nad uchem.

— Ej, Smoczysko, Smoczysko, widzi mi się, jakiesi ciągoty cię biorą... Ale nic z tego tera, mójeśty... krów mało, nie latują się... trza rozum mieć... Co się odwlecze, to nie uciecze... Dy i ja... gadać ci nie potrza, boś probant... ale jak się nie da, to nie... To i ty poczkaj, przyńdą lepsze czasy...

I usnął.

Buhaj, posłyszawszy równy oddech przyjaciela i chrumkając ciągle, jął drzemać i aże do świtania nie zaczepiał go.

Gdy się o pierwszem słonku obudzili, Wicek mu powiada:

— Zaraziczek, skoro obrządzę tamte obory, gospodyni krowy wydoi i oba se pośniadamy, wywiedę cię na obejście i galanto ochlapię... Wiechciem wytrę, ochędożę, zgrzebłem wyczeszę... Będziesz aligant!

Smok ryknął cichuśko, jakby rad był tej mowie i za odchodzącym parobkiem tak się na łań-

cuchach szarpnął, wyciągnąwszy łeb ku Wickowi, że ten ode drzwi się wrócił, paklepał go po szyi, po łbie, przygarnął do siebie szeroki pysk, pojrzał w srogie zwykle i krwawe, a teraz spokojne i mądre ślepia ulubieńca i rzekł:

— Zaczkaj, mały zaczkaj, wnetki se pośniadasz, liście la ciebie mam, a potem galanto cię omyję, ochłódzisz się... i aligant będziesz jak się patrzy... ty... ty świadku...*) ty pazero przejęta!

IV.

Na drugi dzień do połednia przyszło z Ugorzyc, gdzie mieli posterunek, dwóch żandarmów z karabinami na ramionach i wójtowi zameldowali przykaz starostwa, co wszystkie psy w Płużynach mają być wystrzelane.

Markotno jušci było gospodarzom stróżów swoich chałup dawać na zgładzenie, ale strach we wsi był okrutny. W Leśnej i Żytniskach tyla narodu, psów i bydła zepsute psy pogryzły, tyla było z tego nieszczęścia, że lepiej, coby i w Płużynach nijakich psów już nie było, któreby się od obcych, co światami goniły, mogły zepsuć.

Z pod każdego prawie numeru wyprowadzali ludzie swoich Wiernych, Kruczków i Kusych, przywiązywali do drzewin abo ogrodzenia i „ziandary" krótki ś-niemi robili koniec, choć

*) pochlebca, przychlibiacz.

beku i lamentu dziecek i dziewuch było z tego po chałupach co niemiara. I Wątorów Obój także od kuli z ziandarskiego karabinu zginął. Czterech psów we wsi brakowało; pewnikiem pogryzione, z zarazą okrutną we wsi, kajsi dalej pociekły.

Potem to nocami było we wsi całkiem głucho. Nie słyszałeś znikąd szczekania, ino koguty o północku piały.

W jakie dwie niedziele ucichło do cna o zepsutych psach. Chyba, coby kaj dalej się pokazowały. W Płużynach był ś-niemi spokój. Naród zdziebko odetchnął. Chłopi, wychodząc do pola, nie brali już kłonic abo wideł. Zaczęto wypuszczać bydło na pastwisko, że to po deszczach trawka się puściła.

Raz z połednia, poobiadowawszy doma, wybrał się Wicek ku lasowi i malinowym brzyżkom z płachtą, coby liścia la Smoka, krów i koni nazbierać. Że to o psach nikto już nie gadał, nie wzion wideł.

Ale na gościńcu nie wiada bez co przystanął, obgląda się i skrobie w głowę.

— E, strzeżonego Pan Bóg strzeże — rzeknął do siebie i wrócił na obejście.

Widły, galanto wyostrzone, co o oborę oparte były, do garści wzion, na ramię przerzucił i z dufnością, jak zawdy, w swoją drogę poszedł.

Idzie skrajem rozległego gminnego pastwi-

ska kole przykopy, skowronki w górze śpiewają, bzykają w zbożach świerszcze, wiater żenie poczerwieniałe kłosy niskiego latoś żyta, kiejniebądź nad polami wrona zawrzaśnie. Słonko nie prażyło, jak przódzi, toć jakiesi miłe ciepło — że to niedawno poobiadował — tak Wicka przejeno, że se siednął, spuścił nogi do przykopy i juże kiwnął się raz, ale się nagle ocknął. Da mu się poźreć w bok, a tu rowem ode wsi gna prosto na niego mały, żółty kondel. Sierść na nim zjeżona, łeb spuszczony, z obwisłej dolnej szczęki leje się piana nikiej mydliny...

Jak się Wicek w te razy nie porwie na równe nogi, jak z widłami w garści nie odskoczy na pastwisko! A pies w ten moment hyc z przykopy na niego i jużby go w okamgnieniu w nogę użarł, gdyby Wicek, cofnąwszy się w mig, nie zamachnął przed sobą widłami, nikiej kosą na łące. Ostrze ozdarło psu nos, chlusnęła czerwona posoka... Wtedy Wicek przeznał, co znaczy wściekły pies... Tamten na gościńcu dosyć był spokojny, jeszcze w nim zepsuta krew się nie rozhukała. Ale ten — rety! Choć mały, ale straszny, juchą broczący, ze zjeżoną sierścią, zgaszonemi ślepiami, kłapiąc wyszczeżonemi kłami, z jakiemś niesamowitem charczeniem to doskakiwał mu do samej twarzy, to obyrtał się jak w kołowaciznie, to znowu, kiejby z procy wyrzucony, hyckał do niego coraz to wyżej!

A Wicek, choć go ciarki na widok rozjuszonej bestyji przechodzą, pilnuje każdego skoku psa, widłami się broni, a źbiczemi ślepiami upatruje ino chwili...

Nagle rozlega się zaskomlenie tak przeraźliwe, jakbyś kilka dziecek naraz ze skóry obdzierał, a Wicek, blady jak płótno, z potem, lejącym się z czoła, podnosi w górę nabitą na kolce wideł, łbem na dół, trzepiącą nogami, zakrwawioną bestyję.

V.

W późny odwieczerz wraca Wicek z lasa, godne brzemiączko liści na plecach niesie. Nie letko mu, juści, ale co poźry na widły, ślepia mu się śmieją. Będzie co miał opowiadać gospodarzowi, gospodyni, dziadkowi, Frankowi, dzieckom!... Może to był ostatni zepsuty pies, co się skądeś przybłąkał i on go zakatrupił!

Daleko jeszcze było do chałupy Wątorów, gdy dojrzał Franka na gościńcu. A i Franek uwidział go w te razy, bo puścił się pędem ku niemu, a dobiegając, zakrzyknął:

— Wicek, wiesz, co się Smokowi stało?

Przystanął Wicek, bo w ten moment dziwnie ścisnęło go kole serca.

— Cóże mu się stało? gadaj duchem!

— Toli — mówi mu chłopak zdyszany — w obie zadnie nogi okrutnie użarty... Krew ciurczkiem na ściółkę się leje...

Zimno lodowate przeszło parobkowi przez lica.

— Użarty? Jakże to?... pies?

— Pewnikiem pies zepsuty... Tatuś i mama okrutnie lamentują, że to Smok wartał gruby pieniądz, a tera trza będzie go duchem dobić...

— Jezu, Jezu... — szeptał do siebie Wicek, pędząc do chałupy.

Naraz przytrzymał Franka za ramię.

— A skądże wiesz, że to pies zepsuty? Widział go kto?

— Od nas nikto nie widział. Ino jak tatuś pojrzeli do obory Smoka, bo okrutnie jął ryczeć i ciepać się, i obaczyli, że z zadnich nóg krwawi, poleciałem po chałupach ozpytywać, czy kto jakiego psa nie widział we wsi. Każden trząsł głową, że nie. Dopiero Nastka od Żytniaka od Tomka pedziała, że jakisi żółty, mały pies — jak przechodziła kole nas — smyrgnął bez nasze obejście... Kaj się podział, nie wie...

— Rety! To ten sam, com go na pastwisku, jakem do lasa szedł, na widły nadział!... Ale jakoże do Smokowej obory mógł się dostać?

— Ano matuś przódzi uchylili drzwi, bo w oborze gorąc, a już prześpiecznie, że to nijakich psów niema...

W stajni buhaja stali kole samych drzwi gospodarz i dziadek Onufer, okrutnie zafrasowani.

Skoro tam Wicek wpadł, porzuciwszy brzemiączko z liściem na obejściu, odezwał się gospodarz ponuro:

— Wiesz?

— A ino... Franek na dródze mi pedział... Rety, rety!...

Buhaj skróś zranienia szarpał się na łańcuchach, bił ogonem i wierzgał nogami, bo użarte miejsca roje much obsiadały i krótko, urywanie porykiwał. Skoro głos Wicka posłyszał, uspokoił się na moment i obróciwszy się bokiem, łeb do niego wyciągnął.

Parobek w te razy ku ulubieńcowi poskoczył.

— Nie nabliżaj się Wicek! — upomniał go dziadek Onufer.

Ale Wicek klepał już Smoka po czarnym, lśniącym karku, po szyi... pozierał w ślepia...

Chciał przerzec do bydlęcia jakiesi dobre słowo, ale cosi kiejby żelazną garścią ścisnęło go za grzdykę...

VI.

Długo jeszcze, skoro gospodarz z dziadkiem do chałupy odeszli, Wicek w oborze Smoka pozostał.

Wiedział, że buhaj już stracony, na rychłe a nieprzeparte zgładzenie skazany. Przyńdzie z Żytnisk stary Dyba z pałką i nożem (sam miał na przykaz gospodarza po Dybę lecieć) ubije bydlę, skórę ś-niego ściągnie, a ścierwo za stodołą zakopią... Chciał choć w ostatnich chwilach ulżyć biednemu Smokowi. Zakrzątnął się, uprosił od gospodyni parę szmat, przyniósł wiaderko wody do obory i przegadując po swojemu do buhaja, żeby ustał się ciepać, rany na nogach mu obmył i pookręcał szmatami, coby juże mu ich muchy nie żarły.

Ciężko, ciężko mu było do Żytnisk się wybrać...

Nasuł Smokowi do żłobu liści, poklepał go po szyi i jak noc chmurny, poszedł.

Ale skoro do Dyby na izbę wlazł, ten ś-nim ani gadać nie chciał. Wsioski rzeźnik, wielkie barczyste chłopisko, siedział na ławie w pół złamany, klął na jasne pierony i stękał, bo rankiem kajsi go postrzał trefił i okrutne bóle w krzyże mu wlazły. Ani sprostować gnatów nie wydolił.

— Powiedz gospodarzowi — wystękał — że skoro ino ból mi minie, pewnikiem przyńdę...

— A kiej-że se myślicie?

— Naparzę się, kobieta mnie wysmaruje... Może jutro przed wieczorem...

Gdy Wicek już nocą wrócił i opowiedział co i jak, gospodarz ręką machnął.

— Skóra czy dzisia, czy jutro, czy na trzeci dzień zawdy będzie dobra... Możemy na Dybę poczkać... Oborę się zaprze, niech ta Smok stoi... Przywiązany na moc dwoma łańcuchami...

Zadumał się ponuro.

— Ej, Baśka, stara, głupia babo — zwrócił się popędliwie do swojej kobiety — poco ci było do obory byka się wrażać?! Niechby se ryczał z gorąca... Nie bijałem cię bez dwaścia roków — ale tera, psia krew, coś oborę ozwarła, wartaś, coby cię do półśmierci sprać... Stratnym na dwieście śrybła, abo na więcej, choć bydło tera skróś braku paszy tanie... Taki byk, taki byk, mój Jezus kochany!... Gdybym go był jeszcze przed niedzielą przedał, ot, choćby jegomościowi z Porąb, co mu się Smok tak okrutnie łońskiego roku udał, piekny pieniądz dzisia bym miał...

Parobek głuchy był jušci na żale gospodarza, bo co mu ta było do tego śrybła, które stracił. Powieczerzawszy, zabrał się do wyjścia.

Ale Wątor Błażek go zatrzymał.

— Wicek, a słuchaj-no jeszcze! Nie noś już Smokowi nijakiego jadła... Szkoda... Ledwo, że la krów i koni można liścia nastarczyć... Nawet go Dyba lepiej uślachtuje, jak od głodu zesłabnie, a i od samej chorości, wiadomo, sam żreć wnetki ustanie...

Jušci, że Wicek gospodarza nie usłuchnął i sporo liścia Smokowi do żłobu nasuł. Skoro ran-

kiem do jego stajni zaszedł (nie spał już przy nim tej nocy) liści w żłobie nie zastał.

Smok był spokojny. W nocy tłukł się i ryczał, teraz szyję wyciągnął, jako zwyczajny był, coby go Wicek drapał, ale nie uprzykrzał się jak przódzi. Wnetki łeb spuścił i na przyjaciela poźrał takiemi ślepiami, kiejby się chciał obezwać:

— Opuściłeś mnie, zabaczyłeś ty jeden, co cię tak nawidzę... Cniło mi się okrutnie... Wołałem za tobą bez caluśką noc...

Ciężko było Wickowi strzymać dłużej przy chorem bydlęciu. Prędko z obory odszedł.

Dyba nie przychodził. Ani czwartego, ani piątego dnia się nie zjawił. Widać ozniemógł się na dobre. Gospodarz nie stał o to, że ubije buhaja później. Łańcuchy były mocne, nie bojał się niczego.

Smok był cięgiem spokojny, ale jakisi odmieniony, smutny.

Skoro siódmego dnia Wicek rano zajrzał do niego, ten nie dźwignął się ze ściółki. Leżał, ciężko dysząc. Nasuł mu Wicek świeżego liścia, ale Smok nie wstał od żłobu, w którym ostało dawne jadło, ino podniósł ku parobkowi swój krótki, czarny łeb, odsapnął przez nozdrza i poźrał.

Senne jakiesi miał ślepia, kiejby mgłą zaszłe, do cna inksze jak zawdy.

Wyjmuje Wicek z za pazuchy kawałek pod-

płomyka, podtyka mu pod pysk. Smok powąchał, ale już nie zagarnął jęzorem jak zawdy. Obojętnie odwrócił łeb i jakosi niesamowicie, rzekłbyś, po ludzku głucho stęknął.

Odszedł Wicek zwolna od niego. Ode drzwi obejrzał się jeszcze. A i Smok łeb za nim obrócił. Nie zaryczał, jak przódzi bywało, ino patrzał weń swemi zamglonemi ślepiami...

Dobrych parę pacierzy stał Wicek kiejby urzeczony przy niezawartych drzwiach, a chory, na zgładzenie skazany Smok cięgiem jeszcze na niego patrzał, patrzał...

VII.

Jednej nocy, przed samem świtaniem, jakiesi gwałtowne łomoty zbudziły Wątorów, Wicka i dziadka. W oborze Smoka dudniało, tłukło się, w ściany raz po raz kiejby młotami waliło, brzęczały głośno łańcuchy...

Wnetki gwałt się okrutny zrobił na obejściu Wątorów. Gospodarz, dziadek Onufer, gospodyni, Wicek, któren wyleciał od koni, wszyscy, stojąc wedle Smokowej stajni, z tchem zapartym słuchali, co się hań dzieje...

— Urwał się z łańcuchów! — jęknął gospodarz. — Goni po stajni! Zaraza w nim jęła wojować!...

Gospodyni załamała ręce szepcąc z okrutnym strachem:

— Wali rogami w ściany!! Rety! Cóże teraz będzie, cóże będzie?!... A jak rymnie we drzwi i deski puszczą?! Wyleci! We wieś wyleci! Rety!...

— Cichoj — rzekł Wątor Błażek — trza radzić w te pędy!... Polecę po chałupach, z piętnastu chłopa przyńdzie haw z widłami! Nie wyleci on... obory nie ozniesie... Drzwi nowe, grube, do środka się ozwierają... Chodź Wicek, będziewa budzić somsiadów, wy do chałupy!...

A Smok szalał w zamkniętej stajni. Tłukł się coraz głośniej, grzmocił potężnemi rogami w ściany, we drzwi, dzwonił łańcuchami, ciepał się nie jak bydlę, ale jak „złe" o północku w jakimś starym młynie, kaj ciągiem straszy... Ino nie ryczał, jak to bywało, kiej był zdrowy a zeźlony, co aże na drugi koniec wsi niesło... Wśród dudnienia racicami, huków, łomotu i brzęku łańcuchów kiejniebądź ino wydarł się urywany, głuchy ryk... Zdało się, okrutna zaraza zdusiła mu gardło...

Wicek poleciał we wieś, krótko opowiedział ludziom, co się stało — i zanim się zeszli, już o dobrym dniu wrócił i po drabinie przez krówską oborę wylazł na stryszek nad stajnią buhaja.

Podniósł szeroką, nieprzybitą deskę i odsu-

nął. Przez okienko jasny dzień wpadał do wnętrza.

Smok z zakrwawionemi kolanami od ciężkich łańcuchów, co cięgiem w przednie nogi go tłukły, z łbem nisko pochylonym, grzmotnął właśnie w grubą deskę żłobu, aże bez połowę pękła... Skoczył potem ku ścianie i łeb niżej jeszcze opuściwszy, ze zgiętym w kabłąk czarnym grzbietem, ugodził w przycieś, jakby całą ścianę chciał wziąć na rogi; potem na środku obory obrócił się dookoła, zatoczył, jak pijany, rymnął bokiem o żłób, ryknął, potem znów rzucił się w górę ku okienku, jakby chciał skoczyć ku tej jasności, co stamtąd biła... Kawał białego jęzora zwisał mu z pyska, z którego toczyły się śliny, raz wraz jakiesi drgawki przelatywały mu przez czarną, lśniącą sierść...

Cierpnęła skóra na Wicku, dech mu zapierało, gdy na to wszystko patrzał...

Naraz zawołał z góry:

— Smok! Smok!

Ale Smok nie usłyszał. Orał rogami przyciesie, jakby je chciał podważyć, brzęczał łańcuchami, porykiwał krótko, chrapliwie, ciepał się skróś żelaziwa, co w żywe, skrwanione mięso go biły...

— Smok! Smoczysko! Dy to ja! Smok!

Przystanął Smok, jakby cosik w swym kwardym łbie miarkując. Łańcuchy na szyi przestały

się chybotać i zwisły wzdłuż piersi i nóg. Ucichło w stajni na moment.

Wicek głośniej zawołał:

— Smok! Czy słyszysz jeszcze, biedaku?... Smok!...

Potężny, czarny buhaj, teraz wychudzony, z zapadniętym brzuchem, wywalonym do połowy białym jęzorem, jął się niespokojnie rozglądać dookoła; nakoniec, gdy Wicek wołał dalej, podniósł łeb w górę.

Parobek leżał na brzuchu na podłodze stryszku i głowę jak mógł najniżej wychylił w dół.

— Smok! Smok!

Przybaczył se na moment Smok przyjaciela. Zamroczonemi, krwią nabrzmiałemi ślepiami poźrał w górę. Wyciągnął wzwyż pysk — i zaryczeć już nie mogąc, z bydlęcą rozpaczą, swoją bydlęcą, chrapliwą mową, jakby mu cosi chciał rzec...

Czy to, że żga i pali go na wnątrzu jakaś obca i okrutna moc, że miota nim i ciepie, że sam z własnej skóry chciałby się wydrzeć, byle ino raz to okropne złe, którego w sobie strzymać nie może, z krwie, z wnętrzności i łba ogniem objętego wytrząść, byle się go w te razy do imentu zbyć?

Nie mógł Wicek temu wyrozumieć, nijak nie mógł...

Bo cóże takie bydle, straszną opętane zarazą, w oborze na moc zawarte?... Cóże ono? Cóże?

Nie wiedział Smok, co się ś-nim wyrabia, nie przeznawał Wicek, co mu chce Smok rzec...

A może ino tyle:

— Za co mi taka krzywda, przyjacielu, za co?!...

VIII.

— Somsiady! Bracia rodzone! — posłyszał Wicek z dołu głos swego gospodarza — więc jakeśwa uradzili, kopiewa przede stajnią dół... Ostatnie dam, a poczęstunek będzie gospodarski... Ino raźno trza się pospieszać, boby było okrutne nieszczęście, kiejby — broń Panie Jezu — drzwi wywalił i wyleciał...

— E, co ta o poczęstunku gadacie — poznał znów głos Drabika Jaśka, Wątorów kumotra — mawa łopaty i kopiewa! Adyć kiejby wyleciał, na całą wieś byłoby nieszczęście, nie ino na was!... Taki wasz strach, jak i nasz!... Spluwać w garście — i do roboty!

— Ale — ozwał się grubo Rogal Mateusz — dół musi być na pięć łokci, bo bestyja wielgachna...

— Juści — dorzucił Rzeszoto Jasiek, parobek od Borusia Jacka — okrutną ma pewni-

kiem moc w nogach takie wściekłe bydlę... Trza tak głęboko ziemię brać, coby nijak nie wydolił wyskoczyć!... Ściany rychtować proste, od góry w dół, jak w izbie...

— A długi i szeroki robimy na jakie osiem łokci, coby nie przesadził, jak hycnie z obory — poznał Wicek głos wiecznie zachrypniętego Chuciela Tomka, młynarza.

— Może trza będzie i dłuższy — doradził dziadek Onufer.

Wyrzucanie ziemi w górę szło raźno. Chłopów z łopatami widać zeszła się siła. Ale dobra godzina minęła, abo więcej, zaczem Rozpędzik Łukasz, cieśla wsiowy o drabinkę zawołał, coby ci, co z samego dołu ziemię wyrzucali, mogli potem wyjść.

Ktoś zapytał o Wicka.

— Pewnikiem kajś we wsi się zadział — wyjaśnił dziadek Onufer — bo byka okrutnie nawidził i nie miałby sumienia sam mu grobu kopać.

A Smok szalał dalej po stajni. Tłukł się okrutnie, dzwonił łańcuchami, głucho porykując, deski w żłobie potrzaskał, bo słychać było, jak trzeszczały i upadały. Parę razy grzmotnął w drzwi stajni, a wtedy ustawała praca łopat, cierpnęła skóra na chłopach, żegnali się wystraszeni, a potem jeszcze raźniej chytali się wybierania ziemi.

W pewnej chwili posłyszał Wicek, że nadszedł żandarm, bo Wątor Błażek bardzo mu się uradował.

— Jak wyskoczy, to pan w te razy do niego z karabinu...

— Wyceluję w łeb... Jedna taka kulka mu wystarczy...

— Coby ino w łeb — rzekł Rzeszoto — bo bydlę straśnie kwarde...

— Nie bójcie się, już ja mu dogodzę — zapewnił żandarm.

— A możeby — zapytał nieśmiało Wątor — kiej się pan ziandar tak na szczęście haw nawinął i byka z karabinu uśmierci, dało się choć skórę ściągnąć...

— Ani se nie myślcie — oburzył się żandarm. — Ktoby ściągał, napewnoby się zaraził... Zresztą za żadne pieniądze niktby się z tem nie babrał...

Znowu kopali dalej, przegadując raz wraz do siebie, zeznoili się setnie, bo Wicek słyszał ciężkie odsapywania, a Smok bardziej widać głosami obcych ludzi podrażniony, coraz częściej kuł rogami we drzwi, aże deski w nich jęły trzeszczeć.

Naraz Wicek posłyszał głos swego gospodarza:

— Dosyć! Dół galanty... Wyłaźcie somsiady kochane po drabince. Tera ino każden widły do

garści, ja drzwi odrygluję i pchnę! Pan ziandar naprost drzwi!

— Jak wyskoczy, ja w sam łeb! — rzekł żandarm.

Wickowi serce waliło niby cepem. Już ostatni raz patrzał na biednego Smoka, co miotał się od ściany do ściany, pod przyciesie rogi podsadzał — patrzał na jego krwią zlane nogi...

Nie bacząc, czy chłopi posłyszą, zawołał na cały głos:

— Smok! Smok! Moje Smoczysko!

Ale w ten moment pchnięte od zewnątrz drzwi odskoczyły z hałasem i słonko jasną, ukośną smugą wpadło do stajni. W tej jasności na oczymgnienie zalśnił czarny grzbiet buhaja, który z łbem groźnie opuszczonym w te razy odsadził się od progu.

W jednej chwili huknął strzał i z głuchym łomotem i brzękiem żelaziwa rymnęło w dół jakby naraz kilka worów żyta...

Ryknięcie krótkie, żałosne — i okrutne dudnienie padającej ziemi!

Mnóstwo łopat strącało z góry całe zwały!

— Na pysk mu naprzódzi! — wołał Rogal — coby się w te pędy zadławił, bo nie ubity do cna!... Na pysk! na łeb!...

— O, jak zadem podrzuca! Rety! na zadnie nogi wstaje! — zawrzasnął w okrutnej trwodze zachrypnięty Chuciel.

— Więcej naraz walcie ziemi, somsiady! — krzyknął Wątor Błażek. — Tak... teraz dobrze!...

— Juże bestyji nie widać! Zasuta do krzty — rzekł Boruś i odsapnął.

— Ale porykuje! Słyszycie? — zawołał Rzeszoto.

— Niech se ta porykuje... Chwała Panu Jezusowi, juże nie wyńdzie... — westchnął pobożnie dziadek Onufer.

Nie długo już Wicek słyszał sypanie ziemi. Rozlegało się potem ino głośne przyklepywanie łopatami i ubijanie na moc ciężkiemi chłopskiemi butami.

Pogwarkowali przy tem gospodarze już spokojnie o strasznym dopuście boskim, co latoś na naród wsiowy spadł, o marnych żniwach, co wnetki się zaczną, o sianokosach do cna przepadłych, zmarnowanem skróś braku paszy bydle, zepsutych psach...

Potem Wątor Błażek, dziękując za somsiedzką usługę, zapraszał na wieczór gospodarzy do karczmy, rozchodzili się, pozdrówkowali, chwalili Pana Boga i nakoniec na obejściu do imentu ucichło.

Gdy gospodyni po późnem tego dnia wydojeniu krów, wyszła z krówskiej obory, Wicek hycnął ze stryszku, bo drabinkę chłopi do kopania dołu wzięli, i stanął na obejściu.

Przed otwartą i pustą stajnią Smoka wznosił się szeroki, żółty wzgórek. Nie zdołali ludzie zaklepać łopatami i ubić do równości mogiły Smokowej.

Zapatrzył się Wicek w to miejsce, jakby oczyma chciał przebić aże do dna tę świeżą wyrzuconą ziemię, kaj w łeb postrzelony i zduszony Smok cicho już leży, nijaka zaraza nie ciska nim po stajni, ani za gardło nie dusi, nijakie łańcuchy nie krwawią mu nóg...

Parobek był całkiem uspokojony. Spadł mu okrutny ciężar z serca. Z ulgą oddychał.

— Juże po wszyćkiem... Dzięki Ci, Panie Jezu!...

Nagle — czy bez ślepia mu cosi przeleciało, czy słonko na mogile Smokowej... rety!...

Nie, uwidziało mu się...

Ale znowu?!...

Cóże to?!

Włosy podniosły mu się na głowie.

Przyklęknął w te razy na świeżej, żółtej ziemi — położył dłoń na to miejsce...

— Jezu! — zawrzasnął nagle, wbijając palce obu rąk w jasną czuprynę — nie uwidziało mi się! nie!! nie!! Haw ziemia się podnosi!!... On jeszcze żywie!!...

O JĘDRKU WOJASIE, DESPERAKU

Wraca Jędrek Wojas do dom, do swojej wsi, do swojej kobiety. Okręt się kolebie, biją w niego wielgachne góry wodne z białemi pianami, insze zastępują mu drogę, że spinać się na nie musi, by opaść potem w dół, niby w wąwóz, huczy naokół przeogromne, jak świat nieogarnięte morze.

Gdy wody spokojniejsze, na pokładzie gwar, harmider, jak na jarmarku. Kobiety, dziecka, rozmaici ludzie gadają cudacznie, że wyrozumieć nie może, śmieją się, nawołują. Ino jeden swojak kajsi z pod Płocka, także robotnik z fabryki żelaza, jedzie ś-nim wraz. Ale nie wiele się do niego obzywa.

Ino pozierając na morze, którego okiem nie objąć, rozumem nie ogarnąć, skąd się ano takie wzieno, myśli se Jędrek Wojas w duszy:

— Niesiesz mnie do dom wodo daleka, nieprzejrzana, niesiesz po tylachnym czasie.... Miałem być w Cikago dwa — trzy roki, a tu wojna przyszła i listów ani pieniędzy do Franki nie chcieli przyjmować, anim ja nijakiej wiady od

niej nie miał. I tak sześć roków minęło, sześć godnich świąt, sześć Wielkanocy... Ale teraz obaczę Zagórze, obaczę moją kobietę... O wodo nieogarnięta, nie zatop-że mnie w drodze, święty Krzysztofie przeprowadź bez nią szczęśliwie...

Byłby on rychlej z Hameryki wyjechał, pokiel wojna z Niemcem trwała, ale na żołmirza się nie zdał bez te dwa palice, co mu je maszyna we fabryce urwała. Ale i tak nie stała mu się wielka krzywda. „Insiure" *) wzion, a że miał sporo dolarów uciułanych, dokupi se grontu, ze dwie krowy, zaharenduje łąkę i już wyrobkami, jak przódzi, cięgiem chodził nie będzie. Kobiecie teraz nie pisał nic — bardziej się ucieszy, kiej go w chałupie niespodzianie ujrzy.

Wraca Jędrek Wojas do dom, do swojej wsi, do swojej kobiety, ale mierzi go nie do strzymania ta okrutna chwiejba na okręcie, że ustać na nogach nie może — i na wnątrzu go mgli. A tej chwiejby zapowiedzieli dziesięć dni i dziesięć nocy!

I kiejże się to skończy?... Wieczorem, ligając w kajucie pod leżeniem swojaka z pod Płocka i rano wstając, cięgiem jeszcze morze i morze — i cięgiem ta okrutna chwiejba. Kolebie się pokład, hojdają się ludzie kole niego... I nie wie bez co, czy bez to utrapione hojdanie jakisi inszy się czuje... Już mniej się raduje, że oba-

*) Insurance — asekuracja.

czy swoją Frankę... Mierzi go ta jazda, ludzie, co zgiełk robią, jak na jarmarku — wszyćko.

Czy aby i w morzu, jak w naszych stawach, niema boginek, co czary na ludzi rzucają, odmieniają im dusze?...

Ale nakoniec i morze się skończyło, dziękować Panu Jezusowi...

Wsiadł do pociągu. Juści, nie był już w górnicy i w wysokich butach jak przed sześcioma rokami, gdy za chlebem wyjeżdżał, ale w aliganckiem palcie („koudzie", jak w Cikago mówili) i dętym czarnym kapelusie. Zmacał dokumentnie podszewkę, gdzie miał zaszyte dolary — i jedzie ciągiem w nabitym cudzymi ludźmi wagonie (swojak z pod Płocka kajsik się zapodział) a kolej dołem grzmi, górą maszyna: fa,fa, fa — fa, fa, fa — uciekają jeden za drugim słupy telegraficzne, drzewa, kominy fabryk...

Jedzie, jedzie... Coraz już bliżej rodzonej ziemi, coraz bliżej swojej ślubnej kobiety...

Nareszcie po trzech dniach dojechał do ostatniej małej stacyjki. Wysiadł. Jesień była — odwieczerz — białe mgły, niby płachty wielgachne, rozwieszały się nad równinami. Do nocy ze dwie godziny brakowało, do Zagórza mila drogi.

Z plecakiem na grzbiecie, z walizą w ręce wraca Jędrek Wojas po sześci rokach do chałupy. Ale ciężko mu iść, choć młody chłop przecie i zdrów. Znowu ta sama chwiejba, co na okręcie.

Co chwila potyka się, nie wie jak kroka dać, bo gościniec to zapada się pod nogami, to się podnosi...

Ale idzie, a ś-nim niby te roje komarów w lecie, oblatujące głowę, wspominki jak to było, kiej miał stąd do Hameryki wyjechać.

Widzi swoją Frankę, jak płacze i lamentuje, skoro raz wróciwszy do dom, upracowany setnie i rozeźlony na to psie życie, brewiter od samych drzwi jej rzeknął:

— Uprzykrzyło mi się haw wszyćko do cna. Jadę we świat, do Hameryki. Byli tam Grzelak, Grudzień Staszek, Koperski i wrócili z grubemi dolarami. A Witaś Szymek, ten ode stawu, dopiero bez dwa roki hań pracuje, pieniądz babie śle i już se dokupiła pół morgi za młynem...

Jak na to Franka się nie rozpłacze:

— Rety, to ostawiłbyś mnie haw samą jak palec? Miałbyś sumienie?

A kiej ją spokoił i głaskał po głowie, ona znów swoje:

— To ostawiłbyś mnie samą?!

I płacze, aże nią całą trzęsie.

On na to racyje swoje wywodzi, że haw ciągiem bieda i bieda, ciężka robota dzień na dzień, bo z tych paru lichych stajonek, co mają, pies by nie wyżył, a co człek zarobi, to przeje i nic se odłożyć na przykupienie jakiego skrawka grontu nie może. A hań w Hameryce ciężka ro-

bota będzie, a juści, ale za to będzie grosz, jak się patrzy...

A ona jojczy:

— Dobrze ci gadać, smaki se na dokupienie gruntu robić — ale ja ostanę haw we wsi przez nikogo... Ojce mi pomarli, siostry w obdalnych wsiach wydane... Nijakiej dobrej duszy kole mnie, sieroty, nie będzie... Żebym choć dziecko miała, cobym się niem w pustej izbie radować mogła, coby mi zaćwirkało, a łaziło, kiecki się trzymający...

Wtedy machnął ino ręką i rzekł:

— I dziecko będzie, poczkaj... Ze trzy roki hań popracuję, za inszemi patrzeć nie będę (bo wiesz jakim jest), a skoro wrócę — w dziewięć miesięcy kolebkę rychtuj... Insi po dziesięć roków dziecek nie mieli, a potem Pan Jezus dał, a myśwa dopiero cztery roki pożenieni... Cobym ino zdrowo wrócił, a z grubym pieniądzem...

I oto dospomógł Pan Jezus, że wraca... Nie za trzy roki, ba, za sześć, ale zdrów i pieniądz ma...

Zwolna idzie, zwolna... Pot zlewa mu czoło, gorąc obejmuje plecy. Ale dziw: czy bez tę chwiejbę, co mu się nóg uczepiła, czy bez co inksze, chwilami zda mu się wszyćko jedno, dokąd zajdzie...

Niema godki: do cna urzeczony przez złe boginki morskie...

Skoro u granic wsi stanął, za moment cosi jakby ułapiło go za grzdykę.

— Dzięki Ci Panie Jezu —rzekł do siebie — moc boginek mnie już odeszła. Adyć rymnąłbym i całował ziemię, tę naszą... Do kobiety swojej wracam, pieniądze mam, grontu dokupię... Franka gospodynią będzie... Hej!

Do chałupy miał jeszcze godny śtuk drogi. Most, kawał lasu, kamieniste ugory — i dopiero domy zagórzańskie się poczynały, a jego chałupa o trzy stajania w bok od gościńca.

— Trza pośpieszać!

Idzie dalej. Mgły dookoła. Ni żywej duszy na drodze. Nagle ogarnia go jakiś lęk.

— Bez co? bez co? Adyć radować mi się patrzy...

Już we wsi, między chałupami naszła wprost na niego mała babina. Wyrosła mu z mgły nagle przed oczyma i wraz zaskrzeczała:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Kogóż to widzę? Toście wy, Jędrzeju?

— A ja.

— Tocie nie pomarli? A ludzie mówili, że wiada przyszła, co was maszyna zabiła...

— Ambaje ludzie pletą... Nijaka maszyna mnie nie zabiła. Zdrów jak się patrzy do dom wracam.

Stara Gręboszka, zadarłszy głowę do góry,

zaźrała mu w białka swemi małemi, w dołach wśród zmarszczek zapadłemi ślepiami.

— Ano to lepiej. Dziękować Bogu, że żyjecie. I jeszcze na panaście się wyrychtowali! Prawy z was Amerykan! Ładny pieniądz musi kobiecie niesiecie i goścince. Ino nie wiadomo, jak to już teraz będzie...

Baba zniknęła w mgle, a Jędrka Wojasa jakby cosi za nogi przytrzymało. Ostał na miejscu niby ten słup wbity w ziemię. W uszach świdrowało mu:

— „Ino nie wiadomo, jak to już teraz będzie"...

Stał, wagował się długo, długo... Iść do wsi, czy może... zawrócić i we świat?!...

Poszedł. Dlaczego do wsi — nie wiedział. Nogi go niesły — chciał czy nie chciał. I wtedy stało się w nim cosi niesamowitego. W jego głowie... Zmąciło mu się w niej do krzty... Opętanie, abo co?... Zabaczył, że jest w Zagórzu... Poniesło go światami, światami hen aże do Cikago... Dzień kole dnia jednakusieńki... Pracuje, zarabia, pieniądze odkłada — i dobrze mu, rety jak dobrze! Ciężka, kwarda robota piątek czy świątek, a przecie spokój i tak letko na duszy! Bo i za dzieuchami ladajakiemi nie patrzy, nie daje się kamratom nikaj wyciągnąć... Ućciwie dotrzymuje ślubu swojej kobiecie...

Nie wie, kiedy z gościńca skręca w bok i trzy stajania przechodzi. Wiadoma chałupa... wiadome maluśkie okno... Światło w izbie...

O jakie dwaście kroków, jakby go cosi pociągnęło w tył i chciało odwrócić plecami od tego światła, coby nie zajrzał — —

Ale idzie. Chyłkiem, na palcach, cichuśko jak złodziej. Z boku zachodzi, sunie pod ścianą. Już, już sięga głową małej szybki...

Stanął. Patrzy...

W ślepiach żar, czy krew, tak jakoś czerwono widzi...

...Dwoje ich... Siedzą przy stole... Powieczerzali... Próżna miska przed niemi... Uradzają cosik... Franka podparła jasną głowę na ręce... Zasumowana... O, i dziecko mają... dzieucha... będzie jej z rok... Chce wyleźć ojcu na kolana...

Patrzy... Dwoi mu się w oczach głowa Franki... Ramieniem opiera się o ścianę. Jezusie, co za chwiejba okrutna!...

Kolana załamują się pod nim, osuwa się na ziemię...

Ciężkie powieki opadają na ślepia rozpalone. W sercu ziąb. W zamroczonej głowie przez parę pacierzy ślimaczy się: ...Dwoje ich... Siedzą przy stole... uradzają... Maluśka dzieucha chce wyleźć ojcu na kolana...

Potem już nic...

Ino mgły jesienne białe, białe, bialuśkie...

— — — — — — — — — — — —

O jakiejś godzinie ocknął się Jędrek Wojas. Noc była — mgły stały naokół gęste i nieprzejrzane. Przeniknął go dojmujący chłód.

Ciężko podniósł się z ziemi.

I nagle wszyćko se przybaczył, wszyćko...

— Tak?... dobrze... — rzekł twardo do siebie.

Ani się nie obejrzał na swoją chałupę.

Odszedł tą drogą, którą przyszedł wieczorem. Ciężko mu się szło, ciężej niźli do dom. Raz wraz opadały go wsiowe psy. Szczekając zajadle, doskakiwały mu do łydek. Ale nie opędzał się napastnikom i szedł, szedł z tą uprzykrzoną co przódzi chwiejbą pod nogami, aże chałupy zagórzańskie się skończyły.

Gdy mijał las, zatrzymał się i skręcił w bok ku stojącym we mgle drzewom.

Oparł się o starą, krzywą sosnę na skraju lasu.

Nie chciało mu się dalej iść, niczego mu się nie chciało...

Nie wiedział, jak długo tak trwał, patrząc rozwartemi ślepiami w białą, nieprzeniknioną mgłę. Cichy szum drzew niósł się górą nad jego głową, kiejby ciosem strasznym ogłuszoną.

Niczego mu się nie chciało. Już nie ruszy się z tego miejsca. Nijak nie wydoli oprzeć się tej mocy co mu haw nogi spętała...

Już się stąd nie ruszy. Do chałupy nie wróci, ani z powrotem nie pójdzie we świat.

Znów stracił miarę czasu, nie wiedział na jak długo.

Tępo patrzył w mgłę nieprzejrzaną, jak wieczność.

Naraz się ocknął, poruszył, pośpiesznie zrzucił plecak na ziemię, a potem jął sięgać ręką w górę, szukając gałęzi.

Ale jak przódzi cosi go haw pod tą sosną na moc przytrzymało, tak teraz jakby zerwało mu rękę w dół, że opadła bezsilnie, niby ta gałąź odcięta, on zaś zwalił się na ziem jak długi i w te razy szloch okrutny począł wzbierać mu w piersi, aże ryknął głośno, z całego wnątrza duszy utrapionej, z całego wnątrza ukrzywdzonego serca, a łzy grube, gęste, lejące się przez miary, niby ten deszcz nawalny, zalały mu lica.

W tym płaczu wielkim a samotnym, w nocnej głuszy i mgle, którego żadna żywa dusza nie słyszała, trząsł się cały jak liść osiki, szczęki mu latały, wylewał się we łzach bezmierny żal, jak woda wylewa się z wiadra.

A miał go w sobie taką pełność, że zdało się, nigdy go się nie zbędzie, bo łzy z rozpalonych ślepiów szły cięgiem i szły, zalewały lica przez miary — łzy zapiekłe w sercu od okrutnego, śmiertelnego jankoru, łzy zatrzymane i kiejby na lód ścięte w kwardej zawziętości na nią niewierną i na siebie, by w te razy koniec se zrobić, „kiej ona tak, to ja tak".

I w tej dusznej udręce był taki samiusieńki i opuszczony, jak ta gałązka sośniny, którą wicher jesienny od starej macierzy oderwał, jak to pożółkłe igliwie, co wokół krzywego pnia się poniewiera...

— Jezu, Jezu — szeptał wśród łkań — cóże ja tera pocznę?! Jezu ratuj, Jezu dospomóż, Jezu zmiłuj się wedle wielkiego miłosierdzia Twego!...

W głębokości swego nieprzebranego żalu wzywał Jezusa miłosiernego, jęczał, żebrał, zapamiętywał się w tem błaganiu wielkiem.

Nareszcie do cna wysilony, jak po okrutnej chorości, usiadł, odgarnął włosy z czoła. Bez myśli sięgnął po kapelusz, co mu spadł z głowy, gdy rymnął na ziem.

Zeszło nań dziwne uspokojenie i uciszenie duszy. Wiatr szumiał w wierzchołkach sosen i świerków jednostajnie, poważnie, on zaś z głową zwieszoną słuchał tego szumu niby uroczystego głosu organów w kościele, niby dobrej, kojącej mowy ojca czy dziada, co radząc mądrze, spokojąc, na niebo wskazuje:

— Cichoj, cichoj... Cóże ci jankór, zawziętość, abo lamentacyje pomogą?... Bogu krzywdę swoją ochfiaruj, a przybacz se, co mówisz codzień w pacierzu „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".

Szumiał bór nad głową desperaka, jemu zaś zdało się, że coraz wyraźniej słyszy w tym szumie:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

Wśród tego zwolna, zwolna, jakasi dobra, kojąca fala jęła wnikać mu do serca i rozlewać się w piersi. Nie przeznawał, co się ś-nim dzieje, czuł ino w sobie błogość słodką, choć żałosną i łzami oblaną.

— Tak... — rzekł do siebie, jakby komuś przyświadczając — cóże ona winowata, że dała wiarę babskim ambajom o mojej śmierci... Dała wiarę, a obcy chłop się jej czepił...

Zniskąd nieboga poratunku nie miała, dospomożenia, kiej była sama jak palec... Nikto nic pewnego nie rzeknął, listy nie dochodziły... Eh, już wiem tera, już wiem co zrobię... Wrócę do chałupy, a potem — — wola Boska...

I Jędrek Wojas uczuł się jakisi do cna inkszy, nie ten sam, co na swoje domostwo ani pojrzeć nie chciał, idąc na zatracenie.

A bór-ojciec gwarzył dalej poważnie, radził mądrze i ciągiem spokoił:

— Cichoj synu, cichoj... Wszyćko na tym świecie mija i twój ból przeminie... Rana choćby wielgachna się zabliźni... Tak i krzywda twoja... Bogu ochfiaruj... Odpuść... Idź...

I skoro świt, Jędrek Wojas poszedł...

PRZEDNÓWEK

Staszek Raźny szedł do Ispin polami na przełaj, miedzami, byle ino na krótsze drogi. Od Brzozowy rachowało się dobre trzy mile, toć pośpieszać musiał, bo przed samem połedniem od gospodarza, jak z procy wyciśnięty, w tem, co miał na sobie, wyleciał.

Choć dzień był zimny i wietrzny, raz pokazywało się słonko, raz znów chmurzyska zasnuwały niebo — ot, marcowa pogoda — srogi gorąc obejmował mu lica od okrutnego jankoru, a po prawdzie to od gospodarzowej pięści.

— Juże dłużej nie strzymam — mówił se w duchu — dość mi tego wszyćkiego dobra; i bicia i przezwisków i wszelakiej poniewierki za tę łyżkę gorącej strawy, buty, przyodziewek i marną zapłatę! Niechsta się co chce wyrabia, a u Sojki nie ostanę!

Juści, nie letką Staszek miał służbę. Sojka, choć bogacz najpierwszy w Brzozowy, ale kutwa, wydziwiacz, jakiegobyś daleko nie uświadczył; nic, ino haruj ode świtu do nocy, a nikiej mu nie ugodzisz, zawdy mu mało, zawdy źle. Tylo, co

na życie chłopak se nie krzywdował, bo gospodyni dawała jeść jak się patrzy: dużo i z omastą — ale z gospodarzem skaranie boskie.

Na swoje piętnaście roków robił, kiela ino mógł wydolić. Ani na moment za dnia nie spoczął. Dzisia zaciął się w palec przy sieczkarni, ba trza było duchem na połednie narżnąć la krów do doju, a gospodarz zamiast tego ludzkiego słowa, skoro widzi, że krew z ręki idzie, jeszcze mu w te razy do ślepiów: „A ty ciamajdo, niezdaro, gizdoku" — i nuże pięścią bez łeb, bez plecy, kaj trefił.

Od godnich świąt cierpiał Staszek taką poniewierkę. Teraz nijak już zdzierżyć nie mógł. Wracał do ojców, do Ispin — może mu kajindziej służbę wynajdą.

Koło wieczora stanął na ostatnim wzgórku, skąd już widać było ich chałupę, hen za wsią, pod lasem. Mała, z niskiemi przy ziemi okienkami o jednem zastroniu, z zieloną, omszałą od starości strzechą, tuliła się do ciemnego boru — ot biedota, jakiej drugiej może we wsi nie było.

Zdyszany, dopadł drzwi i zakołatał. W mroczniejącej już izbie zrobił się ruch, rwetes. Dwuletnia Jagnysia przebudziła się i usiadła na pościeli, wołając:

— Mama! mama!

— Cichoj, to Staszek, nie mama! Uźrałem go bez okno, kiejś spała — rzekł Szymuś, co osiem

roków skończył i pobiegł do sieni puścić brata za starszą siostrą Magdusią.

— Cóże to, Staszek, żeś przyszedł?

— Gadaj bez co? — zarzucili go pytaniami, gdy usiadł na ławie, Magdusia i Szymuś.

— Kaj ojce? — ozwał się, nie odpowiadając.

— Na jarmark poszli. Wnetki pewnikiem wrócą.

— Dajcie co jeść. Od ranam nic w gębie nie miał, a tu tyla dróga. Straśniem głodny...

— Ha, ha, toś dobrze trefił, niema co rzec. Adyć słuchajże, u nas od trzech niedziel juże się wszyćko skończyło. Ani na obliźnięcie w chałupie niczego nie znajdziesz — zapewniała Magdusia.

— Mamo! mamo! — łkała chlipiąc i pociągając nosem na szerokiem wyrku, w starą katanę odziana Jagnysia.

— Ona od głodu tak juże od połednia płacze — rzekł Szymuś. — Ociupinę fucki *) my ino zjedli i wszyćkich nas mgli... Mama przyniesą kukiełkę z jarmarku, to se pojemy. Cichoj Jagnyś — pogłaskał głowinę maluśkiej siostrzyczki — wnetki matuś wrócą, to ci dadzą jeść... cichojże, cichoj...

— Rety, to ani ziemniaków niema? — pytał Staszek.

— Nie, jakom ci rzekła.

*) kukurudza mielona, ugotowana na gęsto.

— Ale za piecem pewnikiem musi kajsi być suszona rzepa... Trza hań pożryć...

— Ostatnią jużeśmy w tamtym tygodniu zjedli...

— A z kopca wszyćkie karpiele juże wydostane? Pokrajalibyśwa w talarki i przypiekli na blasze, jakeśwa to jedli łońskiego roku o te czasy...

— Będziesz ta karpiele w talarki krajał, a juści! Dy ani jeden nie ostał... Byłam kiejsi z matusią, tom dokumentnie w kopcu widziała... Nie wierzysz, to idź wszędy, szukaj; skoro co najdziesz, to se zjedz...

— To takeście rychło dali wszyćkiemu radę? Adyć łońskiego roku byliśwa wszyscy w chałupie, a o te czasy jeszcze mama u Szlojmy nie brała kukurydzy na odrobek...

— Inkszy był rok mójeśty, a tera jak nie kukurydzę od żyda, to od Stachniczki cięgiem mama noszą to mąkę, to groch...

— A z czemże poszli na jarmark?

— Ano wzieni tata dwie skórki królicze i stare buty, co je kajsi ze strychu wyciągnęli... Ino cholewy ś-nich może co warte...

— Bez cóż ich tak długo nie widać?

— Któże ich wie? Nasi ludzie z jarmarku przeszli... Dy już miesiączek się pokazuje...

— Magduś, mnie okrutnie na wnątrzu mgli — rzekł Szymuś.

— Cóże ci poradzę, mójeśty...

— Popijam wodę po ociupinie, ale głód cięgiem dojmuje... A kajże się zapodzieli, co ich nie widać, rety! — z płaczem dokończył.

Staszek wstał z ławy.

— E, wiecie, wylecę przed ojców... I tak haw na izbie ziąb, a wypocząłem zdziebko.

— Jabym z tobą szedł... — dopraszał się Szymuś.

— Dy w czemże? boso? — sprzeciwiła się Magdusia. — Zezuję ci to buty na taki ziąb?

— Życz mi Magduś butów, mojaśty... Legniesz se bez ten czas, jako i przódzi, przy Jagnysi, to nie zmarzniesz... Moja Magdusiu, toli tak cię proszę...

Zaczął siostrę głaskać po licu i obejmować za szyję.

— Życz mi, mojaśty...

— Ano, niechże będzie... Juści, idzie ci o kukiełkę, cobyś się naprzódzi do niej wzion...

Za chwilę Szymuś w zbyt obszernych dla niego butach z cholewami, w starej chustce kraciastej na krzyż związanej na piersiach, wyszedł ze Staszkiem z chałupy. Lecz już w parę pacierzy Magdusia posłyszała około domu ciężkie kroki i gniewny, donośny głos ojca:

— Cóżeś ty głowę stracił tera, na przednówku do dom uciekać? Na taki głód?!

Wtórował mu płacz Szymusia, który wchodząc za rodzicami do izby, szepnął Magdusi:

— Nic mama nie przynieśli... Tata zgubili tę trochę grosiwa, co za skórki wzieni... Ktosi im wyciągnął z górnicy, jak se tabak kupowali... Cichojmy, bo straśnie zły... może Staszka będzie bił...

Jakoż Raźny jankórny był okrutnie. Rozdrażniony utratą pieniędzy i głodny wrzeszczał na Staszka, aże mu żyły napęczniały na szyi, jak postronki.

— Cie go! Od tłustego, gospodarskiego jadła, od gorącej warzy uciekł! Przeparzył cię hyclu gospodarz rzemieniem czy pięścią — jego prawo, a tyś miał do godnich świąt, jak się patrzy, dobyć! Takem się z Sojką ugodził. Ani se miej we łbie, co cię haw będę trzymał, jedną gębę więcej... Cóże w nią wrażę?...

— Tatusiu — jęczał chłopak — toli cięgiem mnie bili...

— Ale jeść dawali — co?

— Juści... dawali...

— A w niedzielę mięso?

— Juści...

— Toś nie miał prawa uciekać, zdybie, wałkoniu zatracony! Od bicia u Sojki nie zdechniesz, a haw od głodu zdechniesz! Ale cię jutro, skoro świt, przepędzę...

Podczas tego Jagnysia szlochała na cały głos, daremnie ciszona przez matkę.

Tomasz przyskoczył z pięściami do żony:

— Bier w ten moment tego raka, niech mi się nie drze, bo zatłukę!... Bier i leć duchem na chałupy do Stachniczki, Koziarowej abo do karczmy, kaj chcesz, niech dadzą czego na odrobek! A ty Staszek po patyki, coby mi ogień wnetki był! No, w te razy!

Z czerwonemi od łez oczyma, zasłaniając dziecko plecami, owinęła je kobieta w chustkę, przytuliła do piersi, porwała z ławy koszyczek i wysunęła się z izby, a tuż za nią Staszek.

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz zrana Tomasz Raźny ze Staszkiem wybrał się w drogę. Dzień był słoneczny, przedwiosenny, ale wiał ostry wiatr, to też ziąb imał się Staszka nie na żarty. Raz wraz przystawał i zabijał ręce, przytupując nogami. Ojciec w górnicy i czapie szedł, nie mitrężąc chwili i ciągiem chłopaka wyprzedzał.

Mijali znajome chaty, obejścia, niwy zazielenione po ostatniej odwilży. Na drugim końcu wsi stały zabudowania starego Grzeli Cwałucha, najbogatszego w Ispinach gospodarza. Wyszła właśnie na obejście dziewka z konewkami i zmierzając do studni, zawiedła wesoło:

Pójdę ja se pójdę,
wezmę ja se dujdę,
a za moją dujdą
wszyscy chłopcy pójdą!
Da, dana!

— Co ta takiej przednówek zrobi — mruknął Tomasz — pewnikiem setnie pośniadała! O, pyski ma, jak buraki! Wiadomo, Cwałuchy brzuchy se maszczą, kiej ślachta!

Staszek cichy, pokorny szedł w milczeniu za ojcem, nie śmiejąc rzec słowa.

Po paru godzinach drogi, na szerokim, bokami suchym gościńcu, rzekł Tomasz z ulgą:

— No, jeszcze ino z pół mili do Brzozowy.

— A juści...

— Będzie się szło teraz cięgiem pod górkę, ale za jaką godzinę, abo przódzi u Sojki staniewa...

— A staniewa...

W samo połednie, kiej to ze wszyćkich kominów po chałupach się kurzy, zbliżyli się do Sojkowego domostwa. Obejście leżało na wzgórku, biała chata z dala widna była w słonku. We drzwiach akurat przystanęła gospodyni, przysłoniła na moment dłonią oczy i zniknęła w sieni.

Za chwilę wytoczył się sam Sojka, chłop tęgi, rosły, z siwawym przystrzyżonym wąsem. Stanął se w progu, podparł boki i czeka.

W drewnianych wrotach obejścia zatrzymał się Staszek. Tomasz podchodząc bliżej, zdjął czapkę przed Sojką.

— Pochwalony!

— Pochwalony! Witajcie Raźny, wleźcież do chałupy, bo niby na niebie wiesna, ale ziąbi ona jeszcze, ziąbi...

W jasnej, ciepłej izbie famielija właśnie zasiadała do ogromnej misy. Para buchała z gorących klusek, suto maszczonych skwarkami.

— Siednijcie z nami wraz — zapraszał Sojka — siednijcie... Dy trzy mile drógi, nie śpas... zgłodnieliście.

Raźny przyjął drewnianą łyżkę i w milczeniu jadł pospołu z domownikami, ale „politycznie", omijając największe skwarki.

Na drugie danie przyszły ziemniaki maszczone. Gdy miska się wypróżniła, gospodyni odeszła do komina, a dziewuchy ruszyły z ławy, Raźny otarł szeroko usta rękawem górnicy.

— No, Bóg zapłać gospodarzu i wam, gospodyni... Ale ja haw... wedle Staszka...

Zaśmiał się Sojka.

— Adyć wiem... Przywędrowaliście ś-nim, nikiej szupaśnik gminny... Stoi hań przy wrotach... Ale ja go, moiściewy, już nie chcę... Wycionem go wczora, bo przy każdziusieńkiej robocie ślimak i niedorajda — palca se mało nie ucion przy sieczkarni — a ten w te pędy w nogi... Dy sa-

mibyście takiego robotnika nie chcieli... Daj ta matka pół bochenka chleba — zwrócił się do żony — weźniecie se na drógę, skoro odpoczniecie, ale chłopaka se zabiercie...

Markotno zrobiło się Tomaszowi, choć nie bardzo w postanowienie Sojki wierzył.

— Panie gospodarzu, racyja wasza... Dyciem go sam mało nie zeprał w chałupie, skorom wczora z jarmarku wrócił. Ale nie cudujcie się. Głupie to jeszcze, niczemu nie rozumie. Po cóż bym go do dom brał? Nijakiego zarobku nie mam. Bieda u mnie aże piszczy... Wczora ostatnie grosze wyciągli mi z górnicy na jarmarku. W chałupie do gęby niema co wrazić... a jeszcze tera Staszek... Dy się zmiełujcie, panie gospodarzu...

Długą chwilę wagował się Sojka, niby to nie mogąc rzeknąć tak, abo nie.

— Ociec! słyszysz? — przerwała przykre milczenie gospodyni — nie bądźże taki zawzięty, weź chłopaka... Skoro mu głód doskwirzył, przezna, jak służbę szanować...

— Juści, słyszę, ale będę to takiego trzymał, co mi znowu ucieknie?

Schylając się do kolan Sojki, prosił Tomasz:

— Zmiełujcie się, panie gospodarzu, darujcie... Już on tera nie ucieknie...

Machnął wreszcie Sojka ręką dobrotliwie:

— Ano niechże już będzie na waszem... dyciem katolik... A skoro latoś taki głód na was,

to jeszcze i krup i grochu gospodyni wam dadzą... Ale chłopaka przez ukarania nie przyjmę. Naprzódzi musi dostać co mu się patrzy, a potem będzie połedniował i do roboty... Krzyknijcie coby haw wlazł...

I jął odpasywać rzemień.

O PIETRKOWEM SZCZĘŚCIU
ALBO
JAKIEGO ZWIERZA DJABEŁ JESZCZE NIE WIDZIAŁ
(KLECHDA LASOWSKA)

Siedzi Pietrek na zydlu kole pieca, zdesperowany do cna. Zgarbił się, podparł pięścią brodę, łeb spuścił i ćmi papierosa. Patrzy w ziem swemi czarnemi jak węgiel ślepiami, puszcza dymy, wzdycha raz po raz.

I nic. Ani słowa nie przerzeknie do matki.

Stara zaś, opłukawszy po wieczerzy statki na kominie, siadła przy stole, założyła okulary, przysunęła na sam kraj lampkę i naprawia se kieckę.

Poziera zza szkieł na syna, pociąga nosem, wzrusza ramionami.

I nic.

— A niech-ta — myśli se w duchu — przetrzymam cię, cudoku. Może nareszcie gęba ci się ozewrze.

Ale Pietrek zakurzył drugiego papierosa, spluwa, puszcza dymy i ciągiem w ziem patrzy. Cichość w izbie jak w kostnicy. Ino świerszcz ćwierka za kominem.

Matka znowu pojrzała na syna. Pociągła nosem, odęła wargi.

Nakoniec nie zdzierżyła.

— Możebyś Pietrek choć kiemzelę zdjon — przerzekła grubo — boś ją w lesie stytlał do imentu.

— Kiemzelę, mówicie? Dobrze...

Powstawszy nagle, sprostował się, że głową omal pułapu nie sięgnął i ściągnął z siebie białą, zmoczoną płótniankę. Bez moment trzymał ją w garści — i naraz jak nie praśnie nią na wysłane wysoko dwiema pierzynami matczyne łóżko.

— Psiakrew! Żeby to jasne pierony! — warknął przez zęby i jął szerokiemi kroki chodzić po izbie.

— Cóże się ciepiesz a pieronami sadzisz?

— Ciepię się, bo mi się tak chce, a wam do tego zasię!

Wstała cicho, podreptała do łóżka i zdjęła płótniankę z pierzyny, aby się nie zmoczyła.

— Pietrek, poredziłabym ci cosik — zaczęła ugodowo.

— Cóże mi poredzicie — obruszył się — kiejem dzisia bez tyli czas na durno łaził po lesie w utrapionej chajawicy i dwa zające, com do nich tak galanto wycylował, smyrgnęły mi z pod nóg, kiejby se śpasy ze mnie robiły...

— Nie trap-że się tem nieboże. Abo to o nic nie stoisz ino o rabsictwo i fajne strzały? Dur ci się głowy chycił? Adyć i nieboszczyk mój

chłop, a twój pan ociec — dajże mu Panie odpoczywanie wieczne — rabsicował w pojedynkę jak ty, a skoro zająca do dom nie przyniósł, nie pomstował. Miejże pomyślenie i o czem inszem...

— O czemże będę myślał, jak nie o fuzyji i polowacce? Dym prawy lasowiak i aże mnie rwie do lasa, na swobodę, zająca, lisa, abo i sara ustrzelić, a leśnych ćmić... A tu od tyla niedziel nic i nic!! Czy ten aby psia para Skowron Wojtek fuzyji mi nie zepsuł?

— Może i to być — pokiwała stara głową — jeśli ino zmiarkował, kaj ją w lesie chowasz. Skryj ją kajindziej, prześpiecznie...

— Prawda wasza... już wiem, kaj ją od jutra będę chował — i fuzyję se zaprawię. A wiecie jak?

— Zaś bym ta nie wiedziała? Abom to nie była babą dobrego rabczyka? Trza wziąć śkła, utrzeć, wsuć do lufy przódzi proch, potem tego śkła i wystrzelić — to jak z tej fuzyji do czego strzelisz, to juże na amen ostanie.

— A nie prawda, nie wszyćko wiecie; pierwej trza octem lufę przelać, a jeszcze przedtem brzezową skórą fuzyję okadzić. Nie wszyćko do cna pan ociec wam mówili. Rabsickich sposobów nie znacie. A pono drzewiej w lasowskich wsiach to były baby, co nawet na grubego

zwierza chodziły z chłopami wraz... Te pewnikiem wszyćko wiedziały...

— Juści, ponoć tak bywało. Ale co było to było. A teraz, skoro se fuzyję zaprawisz, wnetki zająca do dom przyniesiesz...

— Cobyście ino w dobrą godzinę rzekli...

Pietrek poweselał, usiadł przy stole, matka zaś ozwała się po chwili:

— Jeszczebym ci cosi pedziała, ino się nie źlij...

— Cóże?

— Ano tak. Juści, despera cię tłucze bez to, co ci się kiejniebądź w lesie nie powiedzie, ale pod tem jeszcze cosi insze siedzi, czego ci potrza...

— A czegóż?

— Nie miarkujesz se nic?

— Sprawiedliwie, że nie.

Oburzyła się stara.

— I to młody, urodny chłop gada, co mu na bezrok będzie siedem dwadzieścia roków?! Oj, gamoniu, gamoniu! Adyć kobiety ci potrza, duchem kobiety ci potrza! Nawet grzych i obraza boska tyla roków mieć i samożyńcem*) ostawać! Musisz się z tego na Wielkanoc wysłuchać przed jegomościem. Gospodarstwo, dziękować Panu Jezusowi, choć nie najpierwsze, ale jest i mnie by do pomocy synowa się zdała, cobym już e

*) samotny, kawaler.

obcych bab nie musiała przynajmować. Tobie ino las pachnie i wydolić wszyćkiemu nie mogę. A żeś mi jeden z moich dziecek ostał, to i wnęcki od ciebie mi się patrzą...

Żachnął się Pietrek niecierpliwie.

— Nie mieliście też czego mądrzejszego rzeknąć! Nie myślę ja o kobiecie i waszych wnęckach... Fuzyja moja ślubna baba i tylo! Niech ino se ją zaprawię a galanto, coby pomogło! Hej!

— I-cie cudoka! Dy i kobietę pojąć możesz i rabsicować, bo za las, jak powiedają, niema grzychu i siubienice. Lasa nie zabaczyć, ale jak się patrzy żeniaty być i o gospodarstwo starunek mieć, bo się zaopuszcza. Pomiarkuj-że se to w głowie...

Ale Pietrek nie chciał se miarkować.

Wnetki legnął i spał jak skała do rana.

* *
*

Minęła szara, rozchlapana jesień, bialuśka zima nad lasowskiemi wsiami — rozkwieciła się wiesna. Po długockiej martwicy lasy jęły raźno oddychać, zapachniały żywicą, poweselały. Sosny, jedle i świerki puściły jasno-zielone pędy świeżego igliwia. W gąszczach aże huczało od ptasich zapustów. Wszyćko toto kiejby do cna powarjowało skróś tej złociuśkiej, słonkiem nagrzanej, nowej wiesny. Tłukło się po gałęziach,

goniło, gardziołka oździerało aże do ochrypnięcia. Kosy i drozdy, jedne głośniej od drugich pogwizdywały już od brzasku; ćwierkały i piukały szczygły, makolągwy i czyże; na skrajnych krzywych sosnach przysiadały samce-kukułki i zawzięcie zwoływały samice, aże echo oddawało obdalno: ku-kuu! ku-kuu! ku-kuu! Zwinne rude wiewiórki hyckały z drzewa na drzewo, przysiadając raz po raz z podniesionemi puszystemi ogonami. Ino dzięcioł-kowal, uczepiony nogami do pnia, kuł długim dziobem pracowicie od rana do zmierzchu. Na zielonych, słonecznych polanach polatywały nisko nad kwiatami motyle o śliczności skrzydełkach jak malowanie. Bór rozśpiewany, rozdzwoniony weselił się, kiejby cięgiem świętując, ochota w nim grała, aże hej!

Ale w Pietrkowem sercu ani krzty ochoty nie było. Zaprawił se strzelbę galanto: i skórą brzezową okadził i octem lufę przelał i szkłem tłuczonem wystrzelił — wszyćko na nic. Zwierzyna cięgiem mu umykała. Spróbował jeszcze jednego sposobu. Raz jak ino kościelny przedzwonił na sumę, ukryty w dzwonnicy pochwycił hojdający się jeszcze sznur i uskubnął ś-niego ociupinę kądzieli, którą wedle nieomylnych rabsickich przykazań, wetknął potem w wywierconą w szafcie *) fuzyji dziurkę. Miało to moc napędzania na strzelca zwierzyny. Ale i tak zaprawiona fu-

*) osad strzelby.

zyja Pietrkowi nie pomogła. Zwierzyna kiejniebądź szła na niego, juści, ale cóż z tego, skoro i postrzelona, uciekała.

Polował też „na zasiadkę". Ukrywał się w rokitowym krzaku na skraju łąki pod lasem i czekał, aże sarny po zachodzie słonka przyjdą się paść. Gdy już z lasa wyszła jedna i druga, brał w usta szeroką trawę i piskał smyślnie, że to niby młode sarnie beczy. Ale choć głos dobrze udawał, żadna się pod strzał nie nabliżyła. Skoro zaś z krzaka się podniósł, zastrzygły ino uszami i w ten moment przepadały wśród drzew.

Raz strzelił w lesie do rogacza, któren sielnie farbując, pognał dalej. Pietrek co duchu za nim, przez bór, skróś gęstego leśnego poszycia, krzaki i chojary zdrapały mu ręce i gębę, ale rogacz poszedł. Zziajany dobiegł nakoniec do polany i — raty! przeraty! — cóże tam na własne ślepia uwidział?! Do klękającego już na przednie nogi zwierza dopadł właśnie leśny, grzmotnął go kolbą w łeb, a potem wzion na bary, coby go dobrze w krzakach zadziać, a nocą do dom se przynieść! Jego sara! co sam go ustrzelił!!

Juści, leśnemu się nie pokazał. Cofnął się w las i, rozeźlony okrutnie, że se mało ręców nie pogryzł, zawołał głośno:

— Psia krew! A to zatracona dola! Ani okadzanie, ani śkło, ani kościelny sznur, ani sam djabeł nie pomoże!

— Coby zaś nie pomógł! — ozwał się w te razy za nim jakiś obcy głos.

Obziera się Pietrek, a tu stoi przed nim człek czarno odziany, nieduży, ledwie mu do pazuchy sięgający i kłania się kapeluszkiem.

Aże Pietrka cofnęło w tył. Ozwarł gębę, poziera z góry na małego człeka i dziwuje się, co to za jeden: nie rabsic, nie leśny, pewnikiem jakisi niepilak.

A nieznajomy zadziera źdźiebko wzwyż czarniawą gębę z małą capią bródką i peda:

— Ja ci pomogę. Będziesz tyla zwierza kładł, kiela razy wystrzelisz...

— A cóżeście za jeden, co taką macie moc?

— He, he, he, — zaskrzeczał czarny niesamowicie. — Toliś mnie wołał. Djasek jestem, kumoter rabsiców. Bez rok i sześć niedziel będziesz pierwszym strzelcem na całą puszczę, a po tym terminie o północku przyjadę po ciebie karetą w cztery konie i pojedziemy se wraz.

— A kajże to pojedziemy?

— Tam, kaj się ze mną jeździ, he, he, he!... Ale skorobyś pokazał mi zwierza, jakiegom nigdy nie widział — to cię nie będę prał. Zgoda?

Skrobie się Pietrek w głowę, myśli se tak i tak. Przeznał, że skoro to djabeł, to sprawa o duszę idzie. Ale był rezykant, jak każden lasowiak i fantazyję miał. Coby on zaś, katolik, takiego małego djabła się bał! Jak przyńdzie czas,

da se ś-nim jakosi radę, a przódzi bez rok i sześć niedziel będzie pierwszym strzelcem na całą puszczę!!

— Zgoda? — pyta znowu djasek i wyciąga ku niemu czarną kosmatą łapę o długich palicach z koguciemi pazurami, coby zgodę przybić.

„I tak cię bezero oszwabię" — myśli se Pietrek w duszy i jak nie plaśnie djabła w dłoń! Aże echo oddało, a czarny do ziemi się zgion i łapę o łapę zaciera, tak go zabolało.

— Zgoda?

— Zgoda!

— Ino pamiętaj: od dzisia za rok i sześć niedziel! — mówi djasek.

— A ty bacz, że mam ci pokazać takiego zwierza, jakiegoś jeszcze nie widział — mówi Pietrek.

— Rabsickie słowo? — pyta bies jeszcze, trąc bolącą dłoń o biedro.

— Juści, rabsickie.

I w te razy kajsi djabeł się zapodział. Jakby w pień sosny wsiąkł.

Pietrek nabił strzelbę i nie wydolił jeszcze wszyćkiego se w głowie przemajńdrować *), jak to za rok i sześć niedziel z djabłem będzie, a tu o jakie pięćdziesiąt kroków zajączek hyc-hyc prosto na niego. Jak nie zmierzy, jak nie pal-

*) przemyśliwać o zrobieniu komuś psoty.

nie — mój zając fik jednego koziołka, fik drugiego — leży.

Od radości aże gorąc oblał Pietrka, jakby kto ukropem na niego chlusnął. Bierze zająca za skoki, coby go prześpiecznie schować, a tu leci drugi. Juści uciekł, bo Pietrek nie wydolił jeszcze nabić swej jednorurki. Ale w te razy nabił śrutem, laśtokiem **) przybił, kapslę nasadził na panewkę i wlecze zająca w krzaki. Ledwie, że go cisnął, prawie z pod nóg smyrgnął mu lis. W ten moment bierze go na cyl, już łeb lisa ma na muszce — paf! — i lis o jakie sto kroków leży w czerwonej posoce, ino kitą jeszcze o ziem wali.

I tak mu się tego dnia szczęściło do samego zmierzchu.

Djasek rzetelnie słowa dotrzymował. Pietrek tyla zwierzyny ubijał i tyla śrybła za nią od żydów nazbierał, że banda rabsicka, juści do prześpiegów w boru pierwsza, zwiedziawszy się o tem, duchem chciała, coby się ś-nią stowarzyszył. Sam bandzista Stępor Maciej z Ługowy, okrutnie honorny chłop, nie raz i nie dwa razy nocą burzeniem do okna wywoływał go z chałupy i bez moc do bandy ciągnął. Ale Pietrek nijak skusić się nie dał. Daremnie Stępor obiecował mu podarować tak zaprawioną strzelbę, że

---

*) stępel do nabijania strzelby kapslowej.

ś-niej kulka bez dwa sary przeleci, daremnie sumitował się, że następcą swoim go zrobi i nad dziesięci rabsicami przełożeństwo mu da. Ale Pietrek trząsł ino głową. Nie i nie. Za nic na świecie. Za żadne skarby.

Nakoniec bandzista, okrutnie jankórny, że to nie honor mu przecie takiego nieżeniatego śmigoca tyla razy prosić — dał pokój i już się na oczy Pietrkowi nie pokazał.

Ten zasię wiedział, dlaczego przy swojem tak kwardo stał i zmówić się do bandy nie dał. Baczył se dobrze, co nieboszczyk pan ociec o cechu rabsiców, o pacierzu rabsickim i o strasznej ich przysiędze kiela razy w chałupie gwarzyli. Nie znał on tej przysięgi, bo żaden z bandy by jej nie zdradził, ale wiedział dokumentnie, że taki, którego banda przyjmuje, musi, trzymając w prawej ręce strzelbę lufą do góry, prze bandzistą i starszyzną rabsicką zaprzysiądz, jako wyrzeka się Boga Jedynego, Trójcy Świętej, Matki Boskiej i wszystkich Świętych. Pietrek zaś miarkował dobrze, że co insze z djabłem se śpasy robić, a co insze z Panem Bogiem. Djabła można w pole wywieść, Pana Boga nie. Przybił on z biesem zgodę, ale ino na rok i sześć niedziel i la swego prefitu, Pana Jezusa zaś i Matki Najświętszej na zawsze się wyrzekać, uważał za grzych tak wielki, że za to pewnikiem po wiek wieków gorzałby w piekle. A za oćmienie djabła, to se rachował,

że jak kiejsi, za wiela roków pomrze i przed swym Patronem, świętym Pietrem, stanie, to go ten pewnikiem pochwali, że głowę ma dubelt i furtę niebieską mu ozewrze.

* *
*

Czas się nie dłuży, komu szczęście służy. Nie dłużył się też Pietrkowi. Ani się nie spostrzegł, kiej rok i sześć niedziel minęło. Ostatni, dobry dzień na polowaczkę, w którym djabeł do niego prawa nie miał, wypadał akurat w sam święty Jan. Toć już dzień przedtem był Pietrek okrutnie zasumowany. Nie bardzo go nawet ciągnęło do lasa. Ale na odwieczerz poszedł i w te razy położył dwa sary. Zające ciągiem szły na niego, ale już nie chciał się do nich składać. Długo w noc w lesie pozostał, do cna w sobie rozbity, kiejby z duszą przetrąconą.

Siedział na skraju polany jasnej od miesiąca i medytował w utrapionej głowie, skąd wziąć zwierza, jakiego djabeł nie widział, coby mu go jutro pokazać. Ale nic wymyśleć nie mógł. Fantazyja i dufność opuściły go do imentu.

Nie wiedział, kiela mu tak godzin minęło. Naraz se przybaczył, że będzie się już miało pewnikiem kole północka, a przecie to noc świętojańska i w boru kwiat paproci znaleść można. Wstał coby w gąszcz się zapuścić, a tu w te razy wyłazi

z za drzew na jasność miesięczną i zastępuje mu drogę jakiesi stare, obdarte babsko. Widzi ją dokumentnie: łeb jak ćwierć, siwy, skołtuniony, gęba szeroka od ucha do ucha, nochal kiej ziemniak, ręcyska czarne, długockie, pod obstrzępioną krótką kiecką bose nogi.

— Cóżeście za jedna? — pyta ją Pietrek — i skądżeście się hawoj wzieni? Kwiatu paproci szukacie?

— E, nie szukam ja kwiatu paproci, ale wiem o takim, co go znalazł.

— Któże to?

— A ty.

— Ja? A kajże go mam?

— Juści, że go masz, ino cobyś był mądry i chciał go wziąć, a wtedy galanto dasz se jutro radę z djabłem.

— Skądże wiecie, co ja ta z djabłem mam?

— Wszyćko wiem, ino nie pytaj, bo rzec mi nie wolno.

Dziwuje się Pietrek okrutnie. Niczemu wyrozumieć nie może.

A baba mówi dalej:

— Jutro o północku przyńdzie on po twoją duszę. Ale skorobyś mnie tera do domu jako swoją babę wzion, to nie będzie miał nijakiej mocy nad tobą.

— Jakoże to?

— Bo pokażę mu takiego zwierza, jakiego

jeszcze nie widział. Skoro go użry, w te razy odeńdzie. Ale musisz mnie za babę swoją brać.

— Rety! was?! Taką starą?! Taką brzyćką?!

— A kwiat paproci byś wzion.

— Juści, bo szczęście by mi przyniósł.

— Toli ja ci szczęście przyniesę, z mocy złego cię uzwolnię... Ale i ty mnie uzwolnij...

Pietrek nie miarkuje nic.

— Was mam uzwolnić?

— Tak. Bo pod zaklęciem jestem. Co rok w noc świętojańską proszę chłopaków, co szukają kwiatu paproci, coby mnie za kobietę swoją brali i z pod zaklęcia uzwolnili, ale głupi nijak nie chcą, choćby tego nie pożałowali... I ty nie pożałujesz... No, jakoże? Chcesz mnie za babę swoją brać?

Patrzy Pietrek na szkaradne babsko, na jej podarte chadery i aże go otrząsa. Rety, co za oćwiara!!! Ale jak jej do chałupy nie weźmie, jutro djabeł zawiezie go czarną karytą w cztery kare konie zaprzężoną do samego Lucypera! Co tu robić?! co tu robić?! Aże zimny pot oblewa mu lica...

— W te razy mi rzeknij: tak abo tak! — napiera baba — bo za moment... przepadnę w boru...

— Niechże będzie! — jęknął Pietrek — chodźwa do chałupy...

* * *

Rano Pietrkowa matka, skoro ujrzała, że kole syna leży w łóżku jakasi smorucha z siwym, kudłatym łbem, niby ślubna kobieta, narobiła okrutnego krzyku, uchyciła za mietłę i dalejże babę prać kiela wlazło. Ale Pietrek porwał się w te razy i babę obronił. Ona zaś, skoro opowiedziała co i jak, że to o duszę jego idzie, udobruchała się ozeźlona mać, zaprosiła, coby pośniadała ś-niemi wraz, przyodziała ją pieknie w swoją kieckę i katankę a na ogromny, kudłaty łeb dała czerwoną chusteczkę. Pietrek zaś dufny, że na djabła znalazł sposób, gwiżdżąc niefrasobliwie, w kapelusie na bakier, poszedł w las.

Po wieczerzy obzywa się do Pietrka ta niby jego baba:

— Legnij se teraz mójeśty, boś się dość w boru uznoił. A jak o północku djabeł przyńdzie, to już przed chałupą będzie zwierz, jakiego ci potrza. Prześpij się, niech cię o to głowa nie boli.

Usłuchnął Pietrek baby, rozdział się, legnął na łóżku — śpi.

Wówczas baba wyprowadziła matkę do sieni i mówi jej tak:

— Dawajcie mi duchem garnek sadła i wytoczcie haw solówkę z pierzem, co je macie w kómorze, a potem na kominie nastawcie w baniakach wody, coby się przygrzała.

— A na cóż wam tego potrza?

— Sadła mi potrza, cobym się cała nim wysmarowała, pierza, cobym się w niem potem wytalała, a wody, cobym się galanto umyła, skoro już djabeł obaczy zwierza, jakiego nie widział i ucieknie.

— Moiściewy, adyć dam wam wszyćkiego czego chcecie, coby ino mego Pietrka nie porwał...

* *
*

Mija godzina, druga, trzecia. Pietrek kwardo śpi. Rozwalił się na wznak, gębę ozwarł i chrapie aże grzmi w izbie. Na stole kopci się skręcona lampka. Stara klęczy przed obrazami i odmawia pacierze.

Zapiał kogut siedzący w sieni na drabinie z kurami wraz. Juści północek.

Pietrek cięgiem śpi.

Wtem z komina obzywa się cosi niesamowite:

— Pietrek, gotóweś?

Pietrek chrapie dalej.

— Pietrek! — zawrzasło głośniej.

Pietrek nic.

Udarło się znowu.

Pietrek podniósł się, oparł na łokciu, przeciera oczy.

— Pietrek! — zawrzaśnie z komina.

— Kto mnie woła? — pyta.

— Ja, kumoter rabsiców! Zabaczyłeś to, że dzisia mamy jechać oba wraz?

— Nie zabaczyłem, ale bez cóżeś do komina wlazł?

— Leciałem górą, to mi po dródze było.

— Ja nie nauczny z komina się zwoływać. Wylazuj ś-niego na strzechę i hycnij na obejście. Ja w te razy wyńdę.

Za moment Pietrek jak nieodziany był, stanął w rozwartych drzwiach chałupy.

Patrzy: przed progiem leży zwinięte w kłębek cosi cudaczne. Opierzone całe jak gęś, a przecie zwierz: łeb duży, okrągły, plecyska szerokie, zad trzechletniego źrebca, tylne nogi podwinięte pod brzuch i fuczy jak spaśna świnia. Miesiączek jasno świeci — widno jak w dzień.

W te razy djasek, co się wygramolił z komina, hyc ze strzechy. Przed samą poczwarę.

— Widzisz? — mówi Pietrek, pokazując mu palcem cudacznego zwierza.

Poziera djasek raz, poziera drugi raz, przekręca pyskiem z capią bródką. Cuduje się okrutecznie.

— I cóż? — pyta Pietrek — widziałeś kiej takiego stwora w lesie, na paświsku, pod skałą, albo kaj?

Djabeł nic, ino boki podparł i ciągiem łbem kręci a cuduje się. Zwierz zaś fuczy coraz głośniej i ruchać się poczyna.

Bez jakie dwa pacierze stoją tak przeciw sobie Pietrek i djabeł; między nimi niesamowity zwierz.

— Jakoże będzie? jedziewa tą karytą, abo co? — urąga Pietrek.

Ale djabeł nie obzywa się nic. Do cna zaniemówił.

Ździebko jeszcze poziera na opierzoną bestyję, a potem jak nie skrzesze ognia kopytem, jak nie pryśnie w sad — i tyla go Pietrek widział.

A zwierz cudaczny rzecze do Pietrka:

— Wiesz, kto cię z mocy djabelskiej uzwolnił?

Pietrek uszom nie wierzy. Zwierz gada ludzką mową i to taką słodziuśką, jak młoda dzieucha!... We łbie mu się kręci... Cóże to wszyćko znaczy?...

— Nie wiesz Pietruś, kto? — śpiewa dalej kiejby klarynet słodziuśki dziewczyński głos — to ci rzekę: Ja, twoja baba z boru, coś mnie z pod zaklęcia uzwolnił. A zaklęta byłam bez to, com śliczniuśką dzieuchą będąc, chłopców ino zwodziła, że jeden bez to się obwiesił, a do ontarza z żadnym iść nie chciałam... Ze sto roków abo więcej pokutowałam w puszczy w tem okrutnem zaklęciu... Ale tera, skoro się galanto

omyję i ubierę, obaczysz, kogoś to se za swoją babę wzion... A może ci będzie o to markotno...

Juści, że nie było mu markotno, ba, mało błąd głowy mu się nie chycił od radości okrutnej. Bo szkaradne babsko przepadło do imentu, a do chałupy weszła cud-dzieucha z włosami nikiej kłos pszenicy, gębusią rumianą jak jabłuszko, oczyma jak chabry.

*   *
*

A skoro ją już za ślubną pojon, ani na moment chałupy i gospodarstwa nie opuszczał, by zaś ani chwili z ślepiów jej krasy nie stracić i o rabsictwie do çna zabaczył.

Pietrkowej matce zaś ze strasznej kuntentności to jakby z dwaścia roków ubyło. Bywało, uchyci kiejniebądź śliczności synowę w pół i weźmie się ś-nią jak zwaryjowana obyrtać po izbie, że to już tera pewnikiem wnęcków się doczka...

SPIS RZECZY

Z GŁOSÓW KRYTYKI O UTWORACH AUTORA „ZAWZIĘTEGO LASOWIAKA“.

... Jego nowele są napisane z wielkim talentem... Twórcy powitają w nim wybitnie utalentowanego kolegę, krytycy powinni to podkreślić. Chce on w sztuce prawdy, a na prawdę patrzy przez poezję — to jest właśnie droga do ideału sztuki. Dlatego właśnie największym pisarzem świata był Shakespeare. *(Kazimierz Tetmajer).*

... Idąc śladem Reymonta, a po części Orkana i Tetmajera, napisał on szereg utworów, w których stylizuje djalogi i pojęcia chłopskie w sposób bardzo dyskretny, a jednocześnie bardzo wyrazisty. Są tu niektóre nowele, jakby wyjęte z „Chłopów“ Reymonta. Posiadają tę samą plastykę figur, tę samą poufność rozmowy z duszą chłopską, tę samą jędrną prostotę środków... W rysunku charakterów, w malowaniu pejsażu, w rozwoju akcji, w podkreślaniu chłopskiego myślenia i czucia, staje się autor pisarzem zgoła niepospolitym.

(Jan Lorentowicz).

... P. Zechenter jest artystą czystej krwi. Jako pisarz chłopski wywodzi się wprost od Reymonta, co jednak bynajmniej nie ujmuje mu oryginalności. Obserwuje wybornie. Umie myśleć, czuć i żyć po chłopsku... Talent to miary niepoślednie j... Jest żywotny, jędrny, pełen zdrowej mocy i rozpędu... W rysunku figur jest plastyka, w malowaniu krajobrazów barwna dosadność, w odtworzeniu duszy chłopskiej — bystra przenikliwość... Wieś znalazła w nim malarza, który z zamiłowaniem studjuje wszystko, co jej dotyczy — i poetę, który ukochał gorąco ziemię i człowieka — Polskę i jej lud.

(Z. Dębicki).

... P. Zechenter... naśladowcą nie jest niczyim. ...swoim poszedł torem... Temu zawdzięczają świeżość postaci przezeń stworzone. Każda z nich żyje własnem, odrębnem życiem...

(Lucjan Rydel).

... Legendy, to drobiazgi wprost klasyczne... Nie inaczej komponował K. Tetmajer swe opowiadania ze Skalnego Podhala i tylko ten, kto tak potrafi wyręczać lud w twórczości, może się spodziewać, że lud przyjmie jego twórczość na własność.

(Prof. T. Sinko).

...Jak Reymont w „Chłopach", jak Tetmajer w cyklu „Na skalnem Podhalu", tak i Zechenter w swych opowieściach, stworzył całą galerję żywych, a oryginalnie w geście, mowie i całem byciu ujętych postaci.

...Serdecznie umiłował dolę i niedolę ludu, sięgnął w najgłębsze podkłady jego odrębnej psychiki...

...To, co dał, zapewnia mu imię jednego z najwybitniejszych naszych piewców wsi i znawców duszy chłopskiej...

Prof. Rajmund Bergel (r. 1929)

Niektóre utwory E. Zechentera przełożone zostały na języki: niemiecki, czeski, słoweński i angielski.